

Powieść nominowana do  
The Man Booker Prize 2017

# ZBIORNIK

# 13

JON MCGREGOR

CZY  
TEL  
NIK

# Spis treści

Strona tytułowa

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

Dziękuję

Przypisy

Jon McGregor

# **Zbiornik 13**

Przekład  
Jolanta Kozak

Czytelnik

*Rzeka się rusza. Widocznie leci kos*

Wallace Stevens

Pamięci Alistaira McGregora  
1945–2015

# 1

Zebrali się na parkingu godzinę przed świtem i czekali, aż ktoś im powie, co robić. Było zimno i rozmowa się nie kleiła. Nasuwały się pytania, lecz ich nie zadawano. Zaginiona dziewczynka nazywała się Rebecca Shaw. Kiedy ostatnio ją widziano, miała na sobie białą bluzę z kapturem. Na horyzoncie wrzosowiska wisiała wilgotna mgła, a ziemia była zmarznięta na kamień. Otrzymali instrukcje i wyruszyli, skrzypiąc butami po skostniałej ziemi i zostawiając za sobą wydeptany szlak, który zanikał, gdy wrzosy sprężyste wracały do pionu. Miała metr pięćdziesiąt wzrostu, włosy ciemnoblonde. Zaginęła przed pięcioma godzinami. Patrzyli pod nogi i nie rozmawiali; zastanawiali się, co mogą znaleźć. Słychać było tylko kroki, szczekanie psów przy drodze i słaby szum helikoptera od strony zbiorników. Helikopter latał przez całą noc i nic nie znalazł, chociaż ślizgał się reflektorami po wrzosowisku i wezbranych brunatnych potokach. Owce Jacksona wystraszyły się i rozbiegły przez rozwaloną furtkę, więc Jackson od kilku godzin był na nogach i zaganiał je z powrotem. Ekipy pogotowia górskiego, grotołazów i policji nie natrafiły na żaden ślad i o północy zwołano ochotników. Nietrudno było ich znaleźć. Połowa wsi i tak już wyległa z domów, rozmawiając o tym, co mogło się stać. Pora roku, mówiono, nie sprzyjała wycieczkom w góry. Część ludzi, którzy tutaj

przyjeżdżają, nie zdaje sobie sprawy z tego, jak gwałtownie pogoda może się załamać. Jak błyskawicznie zapada zmrok. Niektórzy nie wiedzą, że gdzieś tam telefon komórkowy przestaje działać, bo nie ma zasięgu. Rodzina dziewczynki kwaterowała w jednej z przerobionych stodół Hunterów. O zmierzchu wpadli z krzykiem do wsi. Noc była za zimna na przebywanie w górach. Na pewno gdzieś się chowa, mówili ludzie. Lada moment wyjdzie z kryjówki. Skręciła nogę w kostce. Po prostu chciała nastraszyć rodziców. Tak teraz robią. Ludzie mieli potrzebę gadania, wszystko jedno czego. Z pierwszym brzaskiem mgła się roziała. Ze szczytu wrzosowiska widać było wieś: buczynę i gospodarstwa, wieżę kościoła i boisko krykietowe, rzekę i kamieniołom, i cementownię przy głównej drodze do miasta. Trzeba było przeszukać duży teren, dziewczynka mogła być gdziekolwiek. Szli naprzód. Co jakiś czas błyskały światła od szosy ledwo widocznej na horyzoncie. Zbiorniki powleczone były płaską metaliczną szarością. Zaczął padać rzęsy deszcz. Ziemia szybko rozmiękła, wypływała spod ich butów oleistym brązem. Nad szeregiem ochotników leciał wolno helikopter prasowy. Trudno było nie popatrzeć w górę i nie pomachać. Później policja zorganizowała konferencję prasową u Gladstone'a, ale nie miała do zakomunikowania nic ponad to, co już wiadano. Zaginiona dziewczynka nazywała się Rebecca Shaw. Skończyła trzynaście lat. Ostatnio widziano ją w białej bluzie z kapturem, granatowej kamizelce, czarnych džinsach i tenisówkach. Miała metr pięćdziesiąt wzrostu i proste ciemnoblonde włosy do ramion. Ktokolwiek widział osobę odpowiadającą temu opisowi, proszony jest o kontakt z policją. Poszukiwania zostaną wznowione o świcie. Wieczorem nad placem snuły się dymy z domowych kotłowni, siny blask telewizorów i podniesione głosy z podwórka za pubem. Zaczynały się wyłaniać wątpliwości.

O północy, z nastaniem nowego roku, od strony miasteczka za doliną rozbłysły fajerwerki, których z powodu znacznej odległości nie było słychać, więc nikt nie wyszedł popatrzeć. Potańcówkę w świetlicy odwołano, a w przepełnionym pubie Gladstone'a nie było nastroju do zabawy. Pół godziny po północy lokal zamknięto i ludzie rozeszli się do domów. Na ulicach zostali tylko policjanci, jedni zgromadzeni przy furgonetkach, inni zdążający z powrotem w góry. Nad ranem znowu się rozpadało. Z torfowych łożysk potoków wystąpiła woda, spływająca teraz wartkim strumieniem po wydeptanych ścieżkach na skraju wrzosowiska. Rzeka zmętniała od górskich osadów i chlustała przez jazy. Na wrzosowisku oznaczono chorągiewkami miejsca, gdzie rodzice i poszukiwacze już byli. Chorągiewki trzepotały na wietrze. Parking pod centrum informacji turystycznej zapełniał się wozami transmisyjnymi, zaczynali się zbierać dziennikarze. W świetlicy umieszczono stoły na kozłach, zastawione zielonymi kubkami i talerzykami z plastiku, w termosach prawie już wrzało, woń smażonego bekonu rozmywała się w deszczu. W gospodarstwie Hunterów z przerobionej stodoły, w której kwaterowali rodzice zaginionej, dobiegały głosy na tyle donośne, że słyszał je policjant stojący na zewnątrz. Z głównego domu wyszła Jess Hunter z kubkiem herbaty. Od strony zbiorników nadlatywał helikopter, przesuając się wolno wzdłuż rzeki, ponad jazem, kamieniołomem i lasami. Nurkowie znów penetrowali rzekę. Grupa dziennikarzy, żeby zrobić zdjęcie, czaiła się za kordonem odcinającym koński most, celując obiektywami w puste lustro wody pod obłokiem zgęstniałych oddechów. Niżej na polu dwóch synów Jacksona pochylało się nad padłą owcą. Zbiorowy trzask migawek obwieścił przybycie pierwszego nurka, którego głowa w czepku gumowego kombinezonu pojawiała się powoli nad powierzchnią wody. Zza zakola wyłonił się drugi nurek, i trzeci. Po kolei



skoczyli w łuk mostu i zniknęli z pola widzenia. Operatorzy wyszarpnęli kamery ze statywów i zaczęli pakować sprzęt. Jeden z synów Jacksona nadjechał quadem przez pole i kazał dziennikarzom się wynosić. Pusta rzeka płynęła wartko. Cementownię zamknięto na czas poszukiwań. Po tygodniu pierwsze płatki śniegu spadły na grań za obszarem spękanej ziemi, chociaż zdawało się, że zima jeszcze daleko. W szkole nauczyciele nie zdejmowali w klasach płaszczy i czekali. Każde słowo zdawało się niestosowne. W rurach grzewczych zaburczało, do czego większość nauczycieli już przywykła, i atmosfera w pokoju nauczycielskim rozluźniła się. Panna Dale spytała panią French, czy jej matka ma się lepiej, a pani French naświetliła okoliczności uzasadniające odpowiedź przeczącą. Znowu zapadła cisza punktowana pyknięciami kaloryfera. Do pokoju weszła pani Simpson, aby podziękować nauczycielkom za wczesne przybycie. Oczywiście wszystkie odpowiedziały, że to żaden problem. Zwłaszcza w tych okolicznościach. Pani Simpson zaleciła, by lekcje odbyły się normalnie, z tym że nauczycielki miały być gotowe do podjęcia rozmowy o zaistniałej sytuacji, gdyby dzieci o to poprosiły. Na co się zanosilo. Rozległo się pukanie do drzwi i wszedł woźny Jones z wiadomością, że ogrzewanie wkrótce będzie działać. Pani Simpson poleciła mu, żeby koniecznie wyźwirował boisko. Jones spojrzeniem dał jej do zrozumienia, że polecenie było zbyteczne. Pani Simpson stanęła w bramie i witała przyprowadzone do szkoły dzieci, których rodzice czekali aż pociecha wejdzie do środka i zamkną się za nią drzwi. Niektórzy wyglądali, jakby mieli zamiar tak stać cały dzień. Starsze dzieci czekały na przystanku na autobus. Już nastolatki. Pierwszy dzień szkoły, a nie miały sobie wiele do powiedzenia. Od rana wypytywano je o zaginioną dziewczynkę, jakby mogły wiedzieć na ten temat coś więcej, niż usłyszały w wiadomościach. Lynsey Smith powiedziała, że pani Bowman na pewno

spyta ich, czy chcą o tym porozmawiać. Słowa „o tym” ujęła palcami w cudzysłów. Deepak zauważył, że przynajmniej przypadnie im dzięki temu francuski. Sophie obejrzała się i na drugim przystanku zobaczyła Andrew: czekał z Irene, swoją matką. Był ich rówieśnikiem, ale chodził do szkoły specjalnej. Podjechał ich autobus i James przestrzegł Liama, żeby nie robił sobie jaj z Becky Shaw. Śnieg padał i osadzał się grubą warstwą. W kościele odprawiono nabożeństwo. Pastor poprosiła policję o niedopuszczanie mediów. Powiedziała, że zaprasza wszystkich, ale żadnych zdjęć, żadnego nagrywania, żadnych notatek. Nie życzyła sobie robienia widowiska ze zbiorowej modlitwy. Kościelni wystawili dodatkowe krzesła, a i tak ludzie tłoczyli się w przejściach. Mężczyźni nienawykli do przebywania w kościele stali ze zwiniętymi kapeluszami w dłoniach, opierając się o końce ławek. Niektórzy wyczekująco pozakładali ręce. Ministranci rozdawali im modlitewniki otwarte na właściwej stronie. Pastor Jane Hughes wyraziła nadzieję, że nikt nie przyszedł po łatwą odpowiedź. Nie ma pocieszenia, mówiła, w sytuacji, w jakiej się dzisiaj znajdujemy. Nie ma pocieszenia dla rodziców dziewczynki ani dla krewnych, którzy specjalnie przyjechali do wsi, żeby podtrzymać ich na duchu. Nie ma pocieszenia dla policjantów uczestniczących w poszukiwaniach. Możemy jedynie ufać, że w tym trudnym czasie Pan Bóg jest z nami. Możemy tylko modlić się, by nas nie ogarnęła rozpacz, w której pławić się nie godzi, żeby wiara dodała nam siły do udzielenia cierpiącej rodzinie wszelkiej potrzebnej pomocy. Pastor urwała i przymknęła oczy. Wyciągnęła ręce w geście modlitewnym. Mężczyźni, którzy stali z założonymi rękami, nie zmienili pozycji. Kościelny zadzwonił trzy razy i dźwięk poniósł się o brzasku poranka przez całą dolinę, aż po stary kamieniołom. Pod koniec miesiąca pokazało się słońce i ziemia na polach zmiękła. Nieruchomym powietrzem wstrząsały głucho tąpnięcia osuwającego się z dachów śniegu.

Chodziły plotki, ale tylko plotki, o rodzicach zaginionej dziewczynki. Że podobno odchodzą od zmysłów.

W lutym policja przeprowadziła rekonstrukcję z udziałem aktorów z Manchesteru. Prasę dopuszczono do gospodarstwa Hunterów z wyraźnymi instrukcjami, co wolno filmować. Dzień był pogodny, lekko mroźny. Przedstawiciel prasy poprosił o ciszę. Drzwi przerobionej stodoły otwały się, ukazując parę ludzi po czterdziestce z trzynastoletnią dziewczynką. Kobieta była szczupłą, krótkowłosą blondynką. Miała na sobie granatowy płaszcz od deszczu i obcisłe czarne dżinsy, wpuszczone w buty z cholewami. Mężczyzna był wysoki i kanciasty, miał ciemne kręcone włosy i okulary w czarnej oprawie. Ubrany był w grafitową wiatrówkę z kapturem, luźne spodnie i czarne buty. Dziewczynka, wysoka jak na trzynastolatkę, miała ciemnoblonde włosy do ramion i dobrze odegraną wściekłą minę. Była w czarnych dżinsach, białej bluzie z kapturem, granatowej kamizelce i tenisówkach. Cała trójka wsiadła do srebrnego samochodu zaparkowanego przed przerobioną stodołą i odjechała wolno w kierunku szosy. Fotoreporterzy biegli obok auta. Pod centrum turystycznym aktorzy zaczęli czekać w samochodzie na fotoreporterów, zanim wysiedli i ruszyli na wrzosowisko. Dziewczynka ciągnęła się w ogonie i aktorzy grający rodziców odwracali się trzykrotnie, żeby ją zawołać, na co odpowiadała w ten sposób, że kopała z furią ziemię i jeszcze bardziej zwalniała krok. Dwoje dorosłych aktorów wzięło się za ręce i poszło dalej, a wtedy dziewczynka przyspieszyła. Jak się potem okazało, kolejność zdarzeń odtworzono na podstawie zeznań zebranych przez policję. Para dorosłych pokonała pierwszą grań i zniknęła z pola widzenia, z którego po paru chwilach ulotniła się również dziewczynka. Fotoreporterzy utrwalali pustą scenografię. Rzecznik prasowy podziękował wszystkim za udział.

Trójka aktorów zeszła z powrotem ze wzgórza. Cementownia wznowiła pracę, więc wszystkie drogi posrebrzał drobny pył. Długi pociąg towarowy z hurgotem przeciął wzgórze i za łagodnym zakrętem znikł między drzewami. Białe światło pełzło powoli przez wrzosowisko, zahaczając o zalane jary i rowy i rozbłyskując tuż przed całkowitym zamknięciem się chmur. Na brzegu rzeki od strony jazu stała czapla zapatrzona w wodę. Przez noc ze wzgórz zeszła leniwa mgła. O czwartej rano Les Thompson już nie spał i prowadził krowy przez podwórze do dojenia. W późniejszych godzinach porannych widziano pastora jadącą samochodem do domu Hunterów. Spędziła tam godzinę z rodzicami zaginionej dziewczynki i po wyjściu nie rozmawiała z nikim.

Dochodzenie trwało. Pod koniec marca zrobiło się cieplej, a rodzice dziewczynki wciąż mieszkali u Hunterów. Żadnych wieści. Jane Hughes wybrała się do nich któregoś ranka, a mijając po drodze gospodarstwo Jacksona, zobaczyła go, jak stał z synami przed szopą, w której kociły się owce. Jacksonowie mieli miny mężczyzn, którzy ciężko się napracowali, ale nie widzą potrzeby, żeby się tym chwalić. Trzymali kubki z herbatą i papierosy. Z domu pachniało szykowanym śniadaniem. Dopiero na widok pierwszych dzieciaków idących do szkoły Will Jackson przypomniał sobie, że miał pojechać do matki swojego syna i odwiedzić chłopca do szkoły. Furgonetka nie chciała zapalić, więc wziął quada, chociaż już po drodze nabrał pewności, że matce jego syna to się nie spodoba i da jej dodatkowy argument przeciwko niemu. Gdy zajechali pod szkołę, brama była już zamknięta, więc Will musiał zawołać Jonesa z kotłowni, żeby ją otworzył. Odprowadził syna do klasy. Pani Carter przyjęła jego przeprosiny, usadziła chłopca na miejscu i spytała Willa, czy klasa mogłaby odwiedzić jego gospodarstwo w czasie kocenia się owiec. Odpowiedział, że jagnięta już

zaczęły się rodzić, co wyraźnie ją zdziwiło. Spytała, czy urodzi się ich więcej, na co Will powiedział, że jeśli chce urządzić szkolną wycieczkę, to musi zwrócić się z tym na piśmie do jego ojca. Była to najdłuższa od tygodni wypowiedź Willa Jacksona. Kiedy wrócił do siebie na podwórze, wszyscy jego bracia byli w szopie. Jedna owca padła pod jego nieobecność. Odbyło się zebranie rady parafialnej. Brian Fletcher z trudem utrzymywał porządek obrad i w końcu musiał zgodzić się z ludźmi, że w takiej sytuacji trudno się skupić na kwestiach parkowania. Zebranie zamknięto. Policja urządziła w sali zebrań u Gladstone'a konferencję prasową, aby ogłosić, że poszukuje kierowcy czerwonej furgonetki LDV Pilot. Dziennikarze dopytywali się, czy kierowca jest podejrzany, a odpowiedzialny za sprawę detektyw stwierdził, że wszystko jest brane pod uwagę. Siedzący obok detektywa rodzice dziewczynki nie odzywali się. Po południu zerwał się wiatr gnający chmury na wschód. Po ogrodzie pana Wilsona skakał kos z dziobem pełnym suchej trawy do wymoszczenia gniazda. Pod bukami za Close pełno było skoczogonków żywiących się pokruszonymi opadłymi liśćmi. Nocą ze wzgórz widać było światła autostrady, czerwień i biel płynęły obok siebie, a górą wiatr przepędzał chmury. Zaginionej dziewczynki szukano cały czas. Szukano jej wszędzie. W pokrzywach obrastających suche dąb na podwórzu Thompsona. Podważano płyty chodnikowe i arkusze sklejki. Szukano w gospodarstwie Huntera, na tyłach przerobionych stodół, w wiatkach parkingowych, szopach i warsztatach, w lasach i w szklarniach, i w ogrodzonych murami ogrodach. Szukano jej w cementowni, penetrując niepewnie wielkie hale, zaglądając ostrożnie za palety i wózki widłowe, sprawdzając w pomieszczeniu pracowniczym i w stołówce. Biały pył pokrywał ręce i twarze ludzi, gdy jak duchy wyłonili się na szosę. W nocy śniono o możliwych miejscach jej pobytu. W snach dziewczynka schodziła z wrzosowiska w przemoczonym ubraniu,

z posiniałą skórą, a śniący pierwszy dobiegał do niej z kocem i sprowadzał ją bezpiecznie do domu.

W kwietniu, gdy pojawiły się pierwsze jaskółki, na wzgórze wrócili turyści. Na parkingu, zarzucając plecaki na ramiona, snuli domysły na temat dziewczynki. Dokąd mogła pójść, jak daleko mogła zejść. Gdyby ruszyła na północ, przed zapadnięciem nocy byłaby na autostradzie. Gdyby udała się na wschód, drogę zagroziłyby jej zbiorniki. Gdyby poszła na zachód, dotarłaby do urwiska, gdzie wrzosy i ziemia urywały się strzępiasto, a po zboczu osuwał się żwir. Jaka pogoda towarzyszyła jej wędrowni. No i w tych butach. Tyle było miejsc, w które można wpaść. Jak to możliwe, że jeszcze jej nie znaleźli, chociaż dni były coraz dłuższe, słońce sięgało coraz głębiej w dolinę, a pod jesionami z zimnej, czarnej ziemi wyłaziły pierwsze świeże pastorały paproci. Wieczorami w wiadomościach pokazywano wciąż te same zdjęcia: lotnicze ujęcie ekipy poszukiwawczej idącej gęsiego przez wrzosowisko, nurków penetrujących wodę, rodziców dziewczynki odwożonych z miejsca akcji, samej dziewczynki. Dziewczyna na zdjęciu była w ubraniu odpowiadającym opisowi, a twarz miała odwróconą półprofilem. Komentowano, że wygląda przez to tak, jakby chciała być gdzie indziej. Matkę dziewczynki znów odwiedzili detektywi. Czasem padały nowe dla niej pytania. W szkole przed przybyciem dzieci panna Carter napełniła wodą aluminiowe dzbanki ze stołówki i wstawiła do nich gałęzie wierzby z baziami. Na działkach zaczynały wschodzić fioletowe brokuły, kruche i tak słodkie, że rzadko udawało się donieść przyzwoitą ilość do domu. Na gruntach wokół Kamiennych Sióstr widziano geodetów. Chodziły plotki, że pracują dla firmy prowadzącej kamieniołomy. O mało nie odwołano dorocznego balu wiosennego<sup>1</sup>, ale gdy Irene zaproponowała, żeby dochód z niego

przeznaczyć na fundusz dobroczynny na rzecz zaginionych dzieci, trudno było czynić obiekcje. Sally Fletcher zgłosiła się do pomocy w organizacji balu, bo Irene długo i wymownie na nią patrzyła. Zabezpieczeni linami nurkowie znowu zeszli w głąb zbiornika, a czapła odfrunęła w górę. Drzewa na nowo okryły się liśćmi. Lekki deszczyk kropił z szarych chmur nad polami.

Przed weekendem pierwszomajowym u rzeźnika była kolejka, ale gdzie jej tam do kolejek z dawnych czasów. Nie takiej kolejki potrzebowali Martin i Ruth, żeby utrzymać sklep. Martin nic na ten temat nie mówił, ale sprawa była oczywista i nikt nie zadawał pytań. Irene stała na początku kolejki i opowiadała wszystkim, co wie o sytuacji u Hunterów. Sprzątała tam, więc jako tako się orientowała. Możecie sobie wyobrazić, co to znaczy dla rodziców tej dziewczynki, mówiła. Choćby samo to, że muszą patrzeć, jak my tutaj chodzimy koło codziennych spraw. Trudno wymagać, żeby całe życie we wsi stanęło, powiedziała Ruth. Przyszedł Austin Cooper z nowym numerem „Echa Doliny” i położył plik gazet na ladzie. Ruth złożyła mu gratulacje, na co Austin w pierwszej chwili się zmieszał, ale zaraz się uśmiechnął i rakiem wycofał do drzwi. Irene, patrząc za nim, zapytała, czy Su Cooper jest przy nadziei. Ruth odpowiedziała, że tak, nareszcie, a Gordon Jackson z końca kolejki spytał, czy ma szanse zostać obsłużony przed narodzinami dziecka. Samochód pomocy drogowej nadjeżdżał wolno wąską ulicą, a za nim, przed wozem policyjnym, wlokła się na holu czerwona furgonetka LDV Pilot. Furgonetka opakowana była w przezroczysty plastik. Martin wytarł ręce o fartuch i wyszedł przed sklep na nią popatrzeć. Towarzyszył mu Gordon, który zapalił papierosa. Martin pokiwał głową. To zmienia postać rzeczy, powiedział. Ładny mi, kurwa, przełom, burknął Gordon. Jaskółki wróciły tłumnie; widziano, jak polatują

w tę i z powrotem przez otwarte wrota owczarni Jacksona i obory Thompsona, i zabudowań gospodarskich na wyżej położonej działce Hunterów. W Komitecie dekoracji studni wywiązała się dyskusja, czy w ogóle wypada dekorować plansze w tym roku. W tych okolicznościach. Nikt nie pamiętał roku bez dekorowania studni. Ale też nigdy nie było takiego roku, jak ten. Koniec końców postanowiono zrobić dekorację, ale skromną. Kilka razy widziano dziewczynkę. Pierwsza zobaczyła ją Irene, na pieszym moście koło herbaciarni: dziewczynka szła po drugiej stronie rzeki. Sama, samiuteńka, mówiła Irene. Buzię odwróciła półprofilem i nie patrzyła mi w oczy. Znikła, zanim do niej dobiegłam, nie wiem, w którą stronę poszła. Ale to na pewno była ona. Zawiadomiono o tym policję, ale wysłany patrol powrócił z niczym. Tego dnia w okolicy było dużo rodzin z dziećmi, powiedziała rzeczniczka policji. Kiedy ja wiem, że to była ona, upierała się Irene. Padało, rzeka wezbrała, a głogi na niskich łąkach rozkwitły pienistą bielą. Trybuła leśna porastała obficie pobocza ścieżek, a cienie pod drzewami zgęstniały. Żywy inwentarz przegnano na wyższe pastwiska, a herbaciarnia przy stawie młyńskim otworzyła się na nowy sezon. Ludzie Thompsona szykowali w szopie snopowiązałkę, żeby była gotowa na żniwa. Trawa już wybijała, ale przez wiele dni pogoda była kiepska. Deszcz głośno i miarowo bębnił o dach. Zbiorniki napełniły się po brzegi.

Furgonetkę znaleziono za budynkami magazynów przy zbiorniku nr 7. Teren ten przeszukiwano przez wiele dni po zaginięciu dziewczynki, więc samochód musiano tam podrzucić później. Ktoś mógł widzieć przejazd furgonetki. Ktoś mógł zapamiętać kierowcę. Policja apelowała do świadków o ujawnienie się i próbowała namierzyć właściciela wozu. Tablice rejestracyjne były fałszywe, a numer podwozia został usunięty.



Furgonetkę zarekwirowano i poddano gruntownemu badaniu. W konferencji prasowe zaczęła się wkładać upiorna normalność. Wystawiono krzesła, zgrupowano kamery w stałym miejscu. Procedura naznaczona była niejakim znużeniem. Najgłośniejszym brzmiało to, co nie zostało powiedziane. Pokój opustoszał i krzesła wyniesiono. Podłoga została zamieciona, światła pogaszono i Tony wrócił za bar. W szopie w starym kamieniołomie wzeszedł dziki koper, jasnozielony jak paprocie, a kiedy Winnie poszła go narwać, znalazła tam znowu zasupłane kondomy. Najbardziej dziwiły ją te supły. Widziano mężczyznę w grafitowej kurtce z nasuniętym kapturem, jak stał dłuższy czas po drugiej stronie zbiornika nr 8, po czym odwrócił się i wszedł między drzewa. Martin Fowler zgłosił się na posterunek na placu i zeznał wszystko, co wiedział o kierowcy czerwonej furgonetki. Zrobił to po rozmowie z Tonym. Martin wspomniał mu, że zna nazwisko tego człowieka – Woods – a Tony spytał, dlaczego jeszcze nie powiedział tego policji. Martin na to, że o takich facetach lepiej nie gadać z policją. Tony go namówił. W opowieści o Woodsie, którą Martin przedstawił policji, były pewne luki. Miały one związek ze złomem, kłusownictwem i czerwonym dieslem. Wiadomo było, że Woods siedzi w tym sprawach i Martin raz dał się wkręcić w jego interesy. Lepiej żeby policja nie wiedziała. Policję interesowało, gdzie jest Woods, dlaczego furgonetka była schowana i czemu widziano ją w czasie zniknięcia dziewczynki. Martin zeznawał z oporami, lecz wyciągnięto z niego informacje. Później, w barze, spięty Martin mówił Tony'emu o możliwych reperkusjach. Woods należy do tych, co cenią sobie dyskrecję, powiedział. A człowiek jest wmieszany. To tylko, żebyś wiedział, w co mnie wpakowałeś. Daj spokój, Martin. Ona miała trzynaście lat. Myśl trochę. Ty nie znasz Woodsa, powiedział Martin. Patrzyli sobie w oczy, kiedy Martin opróżniał szklanę, a potem wyszedł. W wieczornych wiadomościach

pojawił się portret pamięciowy mężczyzny. Policja informowała, że chce wyłączyć tego człowieka z postępowania. W pawilonie krykietowym nastolatki zbierali się na picie. Sophie Hunter przyniosła butelkę wina podprowadzoną z piwniczki rodziców, którzy, jak zapewniła, zorientują się w braku za sto lat. Długo mocowali się z korkiem, aż w końcu Liam wepchnął go śrubokrętem do butelki. Znowu rozmawiali o tej dziewczynce. James Broad zastanawiał się, czy nie powinni jednak czegoś powiedzieć. Pozostali zakrzyczeli go, że to nie ma sensu. Ta dyskusja trwała już od pewnego czasu. To niczego nie zmieni, odezwała się Lynsey. Ona zaginęła. A my się tylko wpakujemy w jakieś gówno. Ciebie tam nie było, odparł James. To było zwyczajne nieporozumienie, powiedział Deepak. Ty nic złego nie zrobiłeś. Siedzieli na schodkach pawilonu, pili wino i wypytywali się nawzajem, czy już na nich działa. Żadne z nich właściwie nie wiedziało, jak powinni się poczuć. Przestali gadać na długo przed opróżnieniem butelki. Sophie schowała flaszkę pod schodami pawilonu i wszyscy poszli do domu. Zrobiło się niespodziewanie ciepło, a oni co chwila zataczali się, wpadając na siebie. Nie zdawali sobie sprawy z tego, jak głośno rozmawiają.

Rodziców dziewczynki widziano w pobliżu centrum informacji turystycznej: wspinali się na wzgórze z dwoma detektywami. Z daleka ich ruchy wydawały się sztywne i powolne. Szerokim łukiem obeszlą miejsce, w którym ostatnio ją widziano. Chorągiewki już usunięto i teren był nieoznakowany. Nikt nie zwróciłby na niego uwagi, gdyby nie wiedział. Szli starą ścieżką konną, która mijając Skały Czarnego Byka, wiodła ku zbiornikom. Nie było ich przez prawie całe popołudnie, a gdy wrócili, na parkingu czekali już fotoreporterzy. Minęło ponad sześć miesięcy i wciąż nic. Żadnych odcisków palców, żadnych części garderoby, żadnych nagrań

na kamerach przemysłowych. Jakby ziemia się rozstała i pochłonęła ją w całości. Dziennikarze posługiwali się tą frazą jako metaforą albo hiperbolą; ludzie we wsi wiedzieli, że coś takiego może się zdarzyć. Spekulowano, jak długo jeszcze rodzice dziewczynki zostaną we wsi. Hunterowie odwołali wszystkie rezerwacje w przerobionej stodole, ale nikt nie wiedział, ile to jeszcze może potrwać. Rodzice dziewczynki mało się pokazywali, a Hunter był zdania, że nie dadzą za wygraną. Wszyscy wiedzieli, że bywa u nich wielebna Hughes. Do centrum informacji turystycznej wciąż znoszono kwiaty i świece; powstał problem, co z nimi zrobić. Podobno widziano ojca dziewczynki – spacerował. Trudno powiedzieć, co chciał przez to osiągnąć. Irene powiedziała, że facet źle znosi tę sytuację, na co ją spytano, czego innego się spodziewała. Znalaziono Woodsa: pracował jako ochroniarz na budowie w Manchesterze. Został aresztowany i długo go przesłuchiowano. Nie stwierdzono żadnych związków między nim a zaginioną dziewczynką, a poza tym miał alibi na tamtą noc. Okazało się, że jego furgonetka nie była tą, którą widziano. Woodsa zwolniono, ale zaraz potem aresztowano go ponownie pod zarzutem kradzieży i paserstwa. Po łąkach, na południe od kościoła, spacerowały grupkami dzikie bażanty; bażancie matki sterowały dziećmi za pomocą podskubywania i okrzyków, a cała gromada rozpraszała się na najmniejszy obcy hałas. Cathy Harris okrążyła łąkę i przeszła przez rzekę z psem pana Wilsona. Wchodząc do lasu, spuściła psa ze smyczy i precyzyjnie się przez obrotową bramkę. Ludzie czekali na powrót dziewczynki, bo chcieli, żeby im powiedziała, gdzie była. Mogła zniknąć na zbyt wiele sposobów, o których często myślano. Może zbiegła ze wzgórza i jakiś mężczyzna zaproponował, że ją podwiezie, po czym wywiózł gdzieś daleko i zakopał jej ciało w gęstej kępie drzew przy węźle autostrady, sto sześćdziesiąt kilometrów na północ od wsi, gdzie leży ono

teraz w zimnej, nasiąkłej ziemi. Ludziom się śniło, że dziewczynka idzie do domu. Wędruje poboczem autostrady, przecina wrzosowisko i wynurza się z jednego ze zbiorników, wyłania się z ciemnoszarej wody z ociekającymi włosami i ubraniem obwieszonym długimi zielonymi sznurami wodorostów.

Ostatnie dni sierpnia były ciężkie od upału; wszystko, co musiało się ruszać, poruszało się powoli. Na działkach rosły bujnie fasole i kabaczki, roślinność powychodziła na ścieżki. Pszczoły przelatywały ciężko z kwiatu na kwiat, a ślimaki obżerały się nieprzyzwoicie. Pierwsze jagnięta już były gotowe na sprzedaż, więc synowie Jacksona uwijali się, selekcjonując je i ładując do przyczepy. Na boisku krykietowym wieś przegrała doroczny mecz z Cardwell. Matka dziewczynki od czasu do czasu chodziła do kościoła. Pojawiała się tuż przed rozpoczęciem nabożeństwa – pastor eskortowała ją do zarezerwowanego dla niej miejsca w bocznej nawie – a wychodziła w trakcie ostatniego hymnu. Obowiązywała niepisana umowa. Czasem Jess Hunter czekała na nią w samochodzie przed kościołem. Ludzie zrozumieli, że trzeba dać jej spokój. Gdy przekazywano sobie znak pokoju, podawała rękę krótko, z uśmiechem, który jedni odbierali jako defensywny, a inni jako pełen wdzięczności. Późnym latem młodzież zorganizowała poszukiwania na własną rękę. Postanowili, że obejdą wrzosowisko i dojdą aż do zbiornika nr 13, sprawdzając wszystkie znane sobie miejsca, które nie przyszłyby do głowy policji. Gdyby coś znaleźli, pokazano by ich w wiadomościach. Liam zaproponował, aby wziąć kilka puszek, zrobić z tego imprezę. Imprezę poszukiwawczą. Lynsey odparła, że to nie jest temat do żartów. Wyruszyli wcześniej rano – Liam, James i Deepak, Sophie i Lynsey, mówiąc rodzicom każdy coś innego. Spotkali się na parkingu przy działkach i przecięli bukowy zagajnik jeszcze

o porannym chłodzie. Mieli swoje poglądy na to, co stało się z Becky, oparte na tym, co o niej wiedzieli, na własnych domniemanych zachowaniach w takiej sytuacji i na znajomości terenu. Poznali Becky poprzedniego lata, kiedy przez dwa tygodnie mieszkała z rodzicami u Hunterów, i spędzili z nią więcej czasu, niż ludzie się domyślali. Dlatego czuli się zaangażowani w jej sprawę. Około południa zwolnili kroku z powodu upału i zatrzymali się na rozwidleniu drogi. U stóp wzgórza stała rudera stodoły, w której Jackson trzymał paszę i sprzęt. Chciało im się pić, więc podzielili się dwiema zaledwie puszkami lagera, które udało im się zdobyć. We wrzosach cykały świerszcze, a po ręce Lynsey chodził żuczek. Owce wpychały się co chwila do stodoły w poszukiwaniu cienia. Czy ktoś przeszukał to miejsce? – spytał Deepak. Jasne, odparł Liam. Ja sam. Pożyczyłem aparat termowizyjny – nic. Deepak walnął go standardowo za robienie ludzi w konia. Policja szukała wszędzie, powiedział James, więc co my tu robimy? Nikt nie odpowiedział. Lynsey i Sophie już pozamykały oczy, a skóra Sophie zaczynała brązowieć w niskim popołudniowym słońcu. Na wrzosach pasły się motyle. Górą przeleciał samolot. Która godzina? – spytał Liam. Koło dwunastej, rzucił na chybił trafił James, nie otwierając oczu. Wrzosy sprężynowały pod jego plecami. Leżeli bliżej siebie, niż to mieli w zwyczaju. Komuś zaburczało w brzuchu, ale obeszło się bez komentarza. Z daleka słyhać było ruch na szosie i pracę maszyn rolniczych. Zasnęli. W pewnej chwili James zobaczył mężczyznę idącego w ich stronę: szedł i dźgał wrzosy kijem, a potem minął ich, jakby nie zauważył. Był w grafitowej kurtce z kapturem. James wstał, skinęli sobie głowami; James chciał powiedzieć, że mu współczuje z powodu córki, ale wybąkał tylko *sorry*. Mężczyzna ponownie skinął głową i poszedł dalej. Później James zastanawiał się, czy to się w ogóle zdarzyło. Przecież za gorąco było na kurtkę z kapturem. Po południu całą piątką wdrapali się na

szczyt wzgórza nad zbiornikiem nr 8 i okazało się, że Liam przyniósł wódkę. Znaleźli wejście do kopalni, którego wcześniej nie widzieli, i wleźli tam z latarkami, żłobiąc za sobą koleinę w błocie i strasząc się nawzajem. W chwilach wielkiego strachu Lynsey łąpała za rękę Deepaka. Gdy stamtąd wyszli, było już po zachodzie słońca i po ciemku zeszli po niewłaściwej stronie wzgórza. Kiedy wreszcie dotarli do domów, czekała ich dużo większa awantura, niż się spodziewali. Rodzice, wściekli, tłukli ich mocno, a policja, która też była na miejscu, czekała, żeby z nimi porozmawiać.

Su Cooper zmieniała pod kątem bliźniaków wystrój małej sypialni w mieszkaniu nad przerobioną stajnią. Austin chciał jej w tym pomóc, ale mu powiedziała, że i tak ma po uszy roboty z „Echem”, a ona chce już mieć to z głowy. Zapytał ją, czy to jakaś aluzja. Pozawieszała w oknach zasłony w zwierzątka, złożyła drugie łóżeczko sprawniej niż pierwsze i powkręcała w sufit haki do zawieszenia karuzelek dla niemowląt. Poskładała w szufladach małe białe ubranka, na szafie ułożyła stertę pieluch, a na półce poustawiała zabawki. Mieszkanie było małe, ale jakoś zmieściło się w nim wszystko, co potrzebne dla dzieci. Dawniej na tym stryszku sypiali stajenni. Nie był przeznaczony na dom dla rodziny. Ale Su i Austin zakochali się w nim od pierwszej chwili i postanowili zostać tu za wszelką cenę. Su kupiła pudła na rzeczy, które dawało się wsunąć pod łóżeczka. Wiedziała, że podobno nie należy przygotowywać wszystkiego tak gruntownie ani tak wcześnie. Wiązały się z tym pewne przesady. Ale chciała mieć to z głowy. Chciała być gotowa. Jeszcze nie znała miejscowych tak dobrze, żeby wiedzieć, czy w razie czego pomogą. Nie wiedziała, czy Austin stanie na wysokości zadania. Obawiała się, że nie. Podejrzewała, że jest on z tych mężczyzn, którzy z zachwytem patrzą na swoje maleństwo, ale nie przyjdzie im do głowy, żeby mu zmienić pieluchę albo je nakarmić. Była za

to pewna, że Austin zarobi na ich utrzymanie. Czekwała z ciężką, aż się co do tego upewni. Ale co zrobić przy dziecku, nie miałby pojęcia. Na to była przygotowana. Austin był sentymentalny i kompletnie niepraktyczny, chyba że chodziło o pisanie, redagowanie i drukowanie. Nakręciła obie karuzelki i wsłuchiwała się w mrużące melodyjki, patrząc jak ślimaki i żabki zataczają kręgi w słońcu. Zamknęła za sobą drzwi, zanim pozytywki umilkły. Borsuki w buczynie zajadały pospiesznie, gromadząc tłuszcz na nadchodzącą zimę. Ryły w liściach węższą, rozbrykaną bandą, wygrzebując dżdżownice i opadłe jagody. Porastały gęstą sierścią. Rzeka zakręcała pod końskim mostem i płynęła dalej do jazu na młyńskim stawie.

Cofnięto zegary i noce prześcignęły krótkie dni. Nastolatki po ciemku wracały szkolnym autobusem do domu. Mężczyznę odpowiadającego opisowi ojca zaginionej dziewczynki widziano chodzącego coraz dalej od wsi, po drugiej stronie lasu Ashbrook, za ostatnim z trzynastu zbiorników. Donoszono o mężczyźnie w grafitowej kurtce z kapturem, wędrującym twardym poboczem autostrady. Ludziom śniło się, że zaginioną dziewczynkę znaleziono leżącą twarzą w dół w wodzie albo że bezpiecznie wywieziono ją ze wsi. Minęła psotna noc<sup>2</sup>, ale nie taka, jak ostatnimi laty. Nikt właściwie nie miał humoru, poza tym kimś, kto napchał budkę telefoniczną balonami. Synowie Jacksona przegnali stado na ostatnią łąkę, gdzie przez cały dzień przycinali ogony, szykując owce do pokrycia. W szkole widać było wcześniej pozapalane światła i unoszący się z kotłowni czarny dym. W pokoju nauczycielskim panna Carter sprawdzała tygodniowy plan lekcji z panią Simpson. Gdy skończyły, pani Simpson spytała pannę Carter, jak się aklimatyzuje. Panna Carter skwapliwie skinęła głową i odpowiedziała, że dobrze, tylko ma trudności z rozpoznawaniem ludzi. Pani Simpson roześmiała się i powiedziała, że zna ten ból – sama

miała pomysł, żeby przy listach obecności zamieszczać małe portreciki uczniów. Panna Carter wyjaśniła, że nie miała na myśli dzieci. Sądziłam, że chodziło pani o aklimatyzację w miejscowym środowisku, powiedziała. Pani Simpson przeprosiła i oznajmiła, że aby na przyszłość uniknąć nieporozumień, może zapewnić, że nigdy nie wypytuje o życie prywatne nauczycieli. Nas obchodzi tylko to, co dzieje się w obrębie szkoły, dodała. Przy zbiornikach ponownie sprawdzono tamy, zaznaczając miejsca budzące niepokój. O zmierzchu grzywacze zlatywały się na nocleg. Ich pióra lśniły blado resztkami światła, a gruchanie przechodziło w pomruk, zanim ucichło na całą noc.

W listopadzie Austin Cooper i jego żona wrócili do domu z bliźniętami – wnieśli je po schodach do mieszkania nad przerobioną stajnią. Austin odwrócił się, żeby zamknąć drzwi i stanął w progu, spoglądając z góry na ulicę, jakby spodziewał się oklasków czy wręcz już je słyszał. Czuł, że aplauz byłby zasłużony. Nigdy nie wyobrażał sobie, że połączy go z kimś tak głęboka przyjaźń jak z Su, a pojawienie się po dziesięciu latach bliźniaków było premią, której już dawno przestał się spodziewać. Widocznie kiedyś, w jakimś życiu, zrobił coś dobrego. Irene widziała, jak Austin zamyka drzwi, widziała ciepłe światło w oknach Cooperów i przypomniało jej się, jak przed czternastu laty przyniosła do domu swojego Andrew. Ale gdy poszła do Gladstone'a i oznajmiła nowinę siedzącym tam ludziom, jedynym komentarzem było: no to użyje z tymi schodami jak pies w studni. Jak ona stamtąd staszczy wózek dla bliźniaków? Tej pierwszej nocy Austin nie zasnął. Parzył gorące napoje dla Su, która obdzwaniała rodzinę i przyjaciół, opowiadając w kółko wszystko od początku, a później kręcił się po domu, zaglądając co chwila do sypialni, żeby popatrzeć na swoją śpiącą rodzinę, aż w końcu położył się koło Su



i zasłuchał w wypełniające pokój oddechy: długie i regularne Su, płytkie i szybkie bliźniaków, jakby wynurzali się z głębin po każdy haust powietrza. W nocy były płacze, wybudzenia, karmienie i przewijanie, ale rozdzielały to wszystko chwile, w których słyszeć było tylko oddechy i Austin miał wtedy poczucie, że wystarczy mu czuwać, żeby zapewnić rodzinie bezpieczeństwo. Że tylko tego się teraz od niego wymaga. Wieczorem trochę podsłuchiwał Su, gdy dzwoniła do rodziców. Zdawało mu się, że padło słowo szczęście, ale Su paplała tak szybko, że nie miał pewności. Żywił nadzieję, że jest szczęśliwa. Przed wszystkim jednak wydawała się zmęczona. Tak długo czekali na to z nadzieją, ona tak bardzo się starała – a teraz całe cielesne napięcie nie mogło znaleźć ujścia. Wyglądało jednak na to, że to dobre zmęczenie, ulga. Austin już przekonał się, po tym jak brała bliźniaki na ręce, jak koło nich chodziła, jak poprawiała to czy owo, kiedy on je trzymał, że Su wie dokładnie, co ma robić. Wie i nawet jej to nie dziwi. Była to jedna z rzeczy, które go stale zachwycały w Su, to zrównoważenie. Jakby od początku wiedziała, że życie jest właśnie takie. Po ich pierwszej wspólnej nocy jej twarz o poranku zdawała się mówić: No tak, oczywiście, to się stało. Czego innego się spodziewałeś? Wczesnym rankiem paliło się światło na dole, gdzie Austin przerobił stajnię na redakcję „Echa Doliny”. Białe elektryczne światło raziło o świecie, a przez okno widoczny był sam czubek głowy Austina pracującego nad ostatnimi stronicami nowego numeru: dodawał coś do kolumny ogłoszeń, uważając bardzo, żeby nie przekroczyć swoich uprawnień. A gdy numer tydzień później znalazł się w skrzynkach na listy i na ladach pocztowych, ci, którzy jeszcze nie wiedzieli, mogli przeczytać w nim ten oto skromny komunikat: „Su Lin Cooper i Austin Cooper zawiadamiają o pomyślnych narodzinach swoich synów bliźniaków, Hana Lee Lina i Lu Sama Lina, oraz dziękują wszystkim za życzenia”.

Wczesnym rankiem w szkolnym hallu paliło się światło. Trwały przygotowania do imprezy bożonarodzeniowej. Jackson naciął w lesie ostrokrzewu i jodły, które pani Simpson rozkładała teraz na klęczkach wokół szopki. Panna Carter poprosiła, żeby Jones przytrzymał jej drabinę, chciała rozwiesić lametę. Pani French, zerkając od na wpół ukończonej ściennej dekoracji z pastuszkami i owcami z waty, nie omieszkała zauważyć, że panna Carter jest w spódnicy. A Jones bynajmniej nie spuszcza z niej oczu. Nie chciała się wtrącać, ale uznała, że lepiej będzie poprosić Jonesa o wystawienie krzesel. Gdy panna Carter spojrzała w dół i stwierdziła, że nikt nie trzyma drabiny, zeszywniała i wbiła wzrok w ścianę naprzeciwko, starając się nie pamiętać, że Jones niedawno wypastował podłogę. Złapała się na tym, że myśli o Willu, ojcu Toma Jacksona, który na pewno nie zostawiłby tak drabiny. Trzymała się kurczowo. W kościele było kolędowanie, świece i zapach świeżo ściętego modrzewia i ostrokrzewu. Olivia Hunter śpiewała solo *Cichą noc*. Miała osiem lat i mnóstwo pewności siebie. Głosik lekko jej drżał, gdy wyciągała „pokój niesie ludziom wszem”, ale na końcu tej frazy promiennym uśmiechem zaprosiła wiernych do śpiewu. W świetlicy wystawiono wreszcie *Jasia i magiczną fasolę*. Kostiumy i dekoracje zostały z poprzedniego roku, a większość osób chętnie zagrała te same role. W dniu spektaklu świetlica była pełna. Lynsey Smith sporo urosła przez ten rok i nie wyglądała już tak chłopięco, jak wtedy, gdy ją obsadzono w roli Jasia. Wspięła się jednak po pędzie fasoli z należytym animuszem, a gdy znikła pod osłoniętym kurtyną stropem, grająca matkę Jasia Cathy Harris zręcznie odegrała rozpacz. Po przedstawieniu zabrano krzesła, otwarto bufet i wniesiono tace z keksem. Richard Clark pojawił się na widowni po raz pierwszy od lat. Przyjechał na parę dni do matki. Odczekał jednak, aż

siostry wyjadą, do czego jego matka już przywykła, a kraj opuścił przed nowym rokiem. Richard był człowiekiem bardzo zajęтым. Bywały lata, gdy matka cieszyła się, że w ogóle go widzi. Żył na walizkach, ale co to za życie? Jak długo tak można? Nawet nie mieli czasu usiąść i porządnie porozmawiać, a gdy odjeżdżał na lotnisko, zazwyczaj nie wiedziała, dokąd leci. Był jakimś konsultantem, tylko tyle wiedziała. Podobno miał nową przyjaciółkę, ale nie wymienił jej imienia. Kiedy wyjechał, matka zmieniła pościel na łóżku i otworzyła okno, żeby wywietrzyć, a wtedy do domu wdarły się dźwięki kościelnych dzwonów. Odprawiano kolejne nabożeństwo w intencji dziewczynki, w rocznicę jej zniknięcia. Tym razem obyło się bez dodatkowych krzeseł i nikt nie stał z tyłu. Jane Hughes powiedziała mniej więcej to samo, co rok wcześniej. I wciąż nie znamy odpowiedzi, i pozostaje nam tylko czekać. Przymknęła oczy i wyciągnęła ręce, żeby podkreślić ciszę. Zaginiona dziewczynka miała na imię Rebecca albo Becky, albo Bex. W dniu zaginięcia miała trzynaście lat. Ubrana była w białą bluzę z kapturem, granatową kamizelkę, czarne dżinsy i tenisówki. Powinna teraz mierzyć ponad metr pięćdziesiąt, mogła też zmienić uczesanie i kolor włosów. Rzecznik policji potwierdziła, że dochodzenie trwa. Matkę dziewczynki widziano na skraju wrzosowiska: szła tym samym szlakiem co zawsze. Zapowiadały się dalsze deszcze albo i gorzej. Zimny wicher przewiewał cienie nad zbiornikami, a na wyżynach drobny śnieg wirował wokół czubków drzew. Mysikróliki pożywiały się łąpczywie w gałęziach modrzewia na dziedzińcu kościoła.

## 2

O północy, z nastaniem nowego roku, na niebie rozbłysły fajerwerki wystrzeliwane w miasteczkach za doliną, ale daleki dźwięk wybuchów nie dochodził do uszu tych nielicznych, którzy wyszli na dwór popatrzeć. Tańce w świetlicy się odbyły, ku zadowoleniu tych nielicznych, którzy na nie przyszli. Rok to wystarczy, uznali. Na ulicach było cicho, policja już nie krążyła, ale w ostrym nocnym powietrzu i tak czuło się, że jest tak od niedawna. Willa Jacksona widziano z wychowawczynią klasy jego syna. W ciągu nocy napadało sporo śniegu i przez chwilę wyglądało na to, że drogi będą zablokowane, ale do południa wyszło słońce i tamy połknęły wodę odwilży z szosy. Kos wsunął się ostrożnie pod żywoplot w ogrodzie pani Clark, dziobiąc w mokrych liściach za czymś do jedzenia. Pod okapem kościoła hibernowały, zwinięte w głębokim śnie, nietoperze, a wokół nich panowała martwa cisza. Przez tydzień lało i rzeka w dolnym biegu wystąpiła z brzegów. Pod pieszym mostkiem koło herbaciarni nagromadziło się tyle śmiecia, że jego masa zniosła i porwała kładkę. Po burzy strażnik wodny usunął pozostałości, a oba końce mostka zabezpieczył parkanami. Strażnik wodny zatrudniony był w majątku Culshawów, który posiadał prawa do połowów, ale wciąż trwały spory o to, kto odpowiada za most i ścieżki. Rodzina zamieszkująca pałacyk Culshawów nie nazywała się już

Culshaw i uchodziła powszechnie za podupadłą. Z trudem utrzymywali pałacyk, nie mówiąc o ziemi. Większość ich pieniędzy szła na ochroniarzy, bo żyli głównie z opłat za polowania i połowy. A resztę wydawali na adwokatów, którzy dowodzili, że nie mają oni obowiązku płacić za to, za co kiedyś płacili Culshawowie. Po raz pierwszy od lat odgłos przelewającej się przez tamę wody zbiornika rozchodził się donośnie i ustawicznie po całej dolinie. Przez cały miesiąc nabożeństwa w kościele odprawiali gościnni kaznodzieje i nikt nie wiedział, gdzie podziała się pastor. Kościelny mówił, że jest na urlopie, lecz to nie musiało oznaczać, że wyjechała. Padło słowo stres, ale kiedy pastor wróciła, gadanie się skończyło. W domu Hunterów życie jakby stanęło w miejscu. Odwołano rezerwacje przerobionej stodoły na kolejny rok i w obejściu panowała cisza. Jess Hunter nie zaprzyjaźniła się z matką dziewczynki tak, jak myślała. Jasne było, że kobieta chce zostać na dłużej, chociaż jej mąż siedział teraz przeważnie w Londynie, więc Jess próbowała wciągnąć ją w życie rodziny. Ale widocznie obecność Sophie i Olivii sprawiała tamtej trudność. Czasem coś razem zjadły lub wypiły, ale kobieta była bardzo zamknięta. Nie wiadomo było, jak na to reagować. A przecież Jess szczyciła się umiejętnością otwierania ludzi. Córki mówiły jej o wszystkim, czego jednak nie dało się powiedzieć o mężu. W tym miesiącu znów wyjechał i Jess nie bardzo wiedziała po co. Jakieś forum dyskusyjne na wysokim szczeblu. Coś w związku z zarządzaniem ziemią. Mąż Jess był niemożliwie oględny. Jess stała w kuchni, patrząc przez podwórze na przerobioną stodołę. Matka dziewczynki znajdowała się na dworze, paliła papierosa. Jess była ciekawa, czy widzi stamtąd wewnątrz jej kuchni. We wsi zastanawiano się, jak długo ta kobieta jeszcze tu posiedzi. Ludzie chcieli, żeby dziewczynkę znaleziono i żeby wszystko wróciło do normy. Mogła wejść do którejś z jaskiń sięgających głęboko pod wzgórze. Mogła skulić się gdzieś w kącie i wciąż tam być.

W ostatki panna Carter urządziła na szkolnym boisku wyścig z naleśnikami. Jones ledwo zdążył odgarnąć śnieg i posypać żwirem. Pospierano się o to, ile razy trzeba w biegu odwrócić naleśnik i niektóre dzieciaki się obrażyły. Lucy Williams trzeba było odwieźć do domu ze skaleczoną stopą. Synowie Jacksona idąc drogą, mijali szkołę i Simon spytał Willa, czy nie zamierza tam wpaść z kartką walentynkową. Will odpowiedział, że nie wie, o co chodzi, i w ogóle lepiej przestać gadać, bo nie ma sprawy. To nic poważnego. Jakby ludzie zaczęli plotkować, stosunki z matką małego tylko by się niepotrzebnie skomplikowały, dorzucił. Trudno powiedzieć, kiedy zaczął mówić o niej „matka małego” zamiast Claire, bo tak miała na imię jego była dziewczyna. Chyba jak wyprowadziła się z powrotem do matki. Niby na trochę, ale to się najczęściej przedłuża w nieskończoność. Bracia śmiali się z zaprzeczeń Willa, jeszcze gdy zeszli na niższe pole i zaczęli wyładowywać paszę z przyczepy. Will zagroził, że jak nie przestaną, powie Jacksonowi o czerwonym dieslu. Niby się nie przestraszyli, ale dali spokój. Owce zbiegły się do paszy, obijając się z rozpędu o ich nogi. Bracia wzięli się do roboty: sprawdzali owcze runo, kopytka, zady i uszy, zapominając w niewymuszonej koncentracji, że jeszcze przed chwilą się śmiali. Oporządzali owce pewnie, szybko, wymieniając półgłosem uwagi; gdyby teraz przeszła między nimi matka, zauważyłaby jak wiele mają z ojca w postawie, w ruchach młodych ciał pod ciężkim zimowym niebem. Po południu śnieżna breja znów szklisce zlodowaciała i przysypała ją świeża warstwa wieczornego śniegu. Noc była mroźna. Rankiem, gdy niebo nad drzewami było jeszcze gęste od mroku, po drugiej stronie rzeki Les Thompson przeprowadził swoje stado przez podwórze do dojrni. Powietrze szybko zaparowało od stłoczonych ciał, wśród których Les uwijał się, ustawiając zwierzęta w szereg. Les był

rosłym mężczyzną i krowy rozstępowały się przed nim bez oporu. Do świtu było jeszcze daleko, a kiedy wstał, padało. Jackson dostał udaru i zabrali go do szpitala. Przez kilka tygodni wyglądało na to, że nie wróci do domu.

W buczynie szczeniły się lisy, zagrzebane w ciemnych jamach i mokre z bólu; ślepe szczenięta tuliły się do matek, złąknione ciepła. Samce lisów wyszły na łowy. W lasach i wzdłuż szosy zażółciły się pierwiosnki. Zbiorniki powlekała połyskliwa srebrna szarość, która, marszczona wiatrem, rozbijała się o umocnione brzegi. Wieczorem przez wrzosowisko przytruchtał cicho samotny biegacz, spokojny i biały na tle ciemniejszego wzgórza. Gordon Jackson wracał z wyprzedaży bydła i zobaczył przy szosie człowieka, który stał z wyciągniętą ręką, jakby żebrał o pomoc. Nie miał na sobie grafitowej kurtki, ale wyglądał jak ojciec dziewczynki. Gordon zatrzymał się i spytał, czy go gdzieś podwieźć. Mężczyzna popatrzył na niego i nic nie powiedział. Na radzie parafialnej było więcej nieobecnych niż obecnych, więc Brian Fletcher chciał odroczyć zebranie. Ale trzeba było podjąć decyzję w sprawie proponowanych toalet publicznych, więc w końcu się odbyło. Wieczorami zrywał się silny wiatr, który trząsał latarniami na rynku. Pod koniec miesiąca panna Carter zaprowadziła swoją klasę na farmę Jacksona, żeby dzieci zobaczyły, jak rodzą się jagnięta. Na razie przeszły parami przez szosę i stłoczyły się przy barierce w otwartych drzwiach owczarni. Will zapowiedział, że wszystko objaśni, więc czekał na nich, starszy z kombinezonu najgorszą krew. Jego bracia, których to nie obchodziło, znaleźli sobie coś innego do roboty w drugim końcu szopy. Panna Carter jeszcze raz podziękowała Willowi za zgodę na wizytę, a on nagle zapomniał języka w gębie. Większość dzieciaków wychowała się w okolicy i wiedziała o koceniu się owiec więcej niż ich nauczycielka. Will spytał pannę Carter, od czego ma zacząć,

na co ona zadała pytanie, czy przez noc urodziły się jakieś jagnięta. Tylko trzy, odpowiedział. Nie mamy już za dużo do roboty. Owce same sobie radzą, my im tylko pomagamy w miarę możliwości. Potem sprawdzamy młode, jak matki skończą je wylizywać, kolczykujemy, pilnujemy, czy zaczęły prawidłowo ssać. Panna Carter spytała, czy dzieci mogłyby zobaczyć któreś z nowo narodzonych jagnięt, ale zanim dokończyła pytanie, usłyszała z drugiego końca szopy kategoryczne „nie” Gordona. Will wyjaśnił jej, że ważne jest, aby przez pierwsze kilka dni nie oddzielać młodych od matek. Panna Carter zrobiła zawiedzioną minę. Poprosiła, żeby Will objaśnił dzieciom, co się stanie przez najbliższe tygodnie i miesiące, więc ten opowiedział, jak szybko owce wyjdą z jagniętami na łąkę, którą opuściły na czas rodzenia, jak przegania się stado z miejsca na miejsce, żeby zawsze miało najlepszą trawę, jak pod koniec lata wybiera się pierwsze jagnięta do eliminacji. Eliminacji? – nie zrozumiała panna Carter. Jedna z dziewczynek pociągnęła ją za rękaw i wyjaśniła, co to jest eliminacja. Część chłopaków już obrzucała się owczymi bobkami. Panna Carter rozdała bloki na podkładkach i zasadziła dzieci do rysowania, a gdy się tym zajęły, spytała Willa, czy wybiera się na bal wiosenny do świetlicy. Inne nauczycielki idą, dodała. Will odparł, że się nad tym nie zastanawiał. Musiałby się zorientować, ile jest pracy w gospodarstwie. Ale to są na ogół udane imprezy, powiedziała panna Carter. Zapowiada się dobra zabawa. Gdyby mnie pan zaprosił, mogłabym się zastanowić, dodała. Jej mina dała mu do myślenia. Jakaś owca zabeczła boleśnie i Gordon ponaglił Willa, żeby kończył pogaduszki. Lepiej wróć do roboty, bąknął Will. Panna Carter uznała, że czas zabrać dzieci do szkoły. Może spotkamy się na tańcach, powiedziała. Może, odrzekł Will.



Geoff Simmons w swojej pracowni mył ręce nad głębokim kamiennym zlewem, przejrzysta woda rozpuszczała glinę i ściekała mleczną strugą do odpływu i w kolanko pod spodem. Na tacy stały garnuszki, a piec pomału się rozgrzewał. W gęstwie żywopłotu pod oknem pani Wilson kos czuwał nad wyścielonym trawą zagłębieniem z niebieskozielonymi jajeczkami, w których skorupki pukały już pisklęta. W telewizji pokazywali powodzie w całej północnej Europie: mężczyźni w nieprzemakalnych strojach ciągnących po ulicach płaskodenne łódki, zniesione mosty, potopione bydło. Gdy herbaciarnia otworzyła się na nowy sezon, pieszy most nie był jeszcze odbudowany. Rada parafialna wysłała pilne pismo do majątku Culshawów, ale majątek odpisał, że to sprawa parku narodowego. Park narodowy był odmiennego zdania. Strażnik wodny powiedział, że robi tylko to, co mu każą. Pierwsze małe ruszki zaczęły się parzyć: fruwały za sobą nad pokrzywami, aż samiczka znalazła ustronne miejsce, gdzie czekała na samca. Strażnik parku narodowego z centrum informacji turystycznej obserwował je z przyjemnością przez bitą godzinę, notując obserwacje, które starannie zarchiwizował po powrocie do biura. Przy zbiorniku nr 11, na szczycie tamy, ekipa konserwatorska wypatrywała pęknięć i przecieków. Trzeba było się zająć kretowiskami na obsianym trawą nasypie. O zmierzchu wzdłuż rzeki przelatywały stadami nietoperze: sfruwały spod stropów, aby polować na owady unoszące się nad wodą. Poruszały się w zwinnej ciszy i znikły, zanim oko zdołało je dostrzec. Bal wiosenny zakończył się przedwcześnie, gdy bójka między Liamem Hooperem a chłopakiem z Cardwell przeniosła się na zewnątrz przez drzwi pożarowe. Bójka szybko się skończyła, ale były zniszczenia w lokalu i chłopakom z Cardwell kazano się wynosić. Na parkingu znowu widziano Willa Jacksona z panną Carter ze szkoły.

Martin Fowler stał za ladą w masarni, kiedy przyszedł facet z banku i powiedział, że już czas. O co chodzi? – zapytał Martin, posyłając twarde spojrzenie, które kiedyś załatwiało sprawę. Facet z banku miał pod pachą jakieś akta i powiedział Martinowi, że potrzebne mu są klucze. Przy drzwiach czekali jeszcze dwaj faceci. Nic z tego, oznajmił Martin. Za jego plecami zabręczczał zdejmowany łańcuch i Ruth wyszła z zaplecza dowiedzieć się, o co chodzi. Facet z banku powtórzył swój tekst. Ale nie mieliśmy żadnej korespondencji w tej sprawie, powiedziała Ruth. Nic a nic. Poczula, że stojący obok niej Martin mięknie. Facet z banku miał współczującą minę. Wszystko odbyło się zgodnie z procedurą, oświadczył. Dokumenty zostały wysłane listem poleconym, jest potwierdzenie z podpisem adresata. Najbardziej wkurzyło Ruth to jego współczucie. Nikt go nie prosił o współczucie. Gdy facet odwrócił się na chwilę, wygarnęła pieniądze z kasy i wygoniła zza lady Martina, pomagając mu zachować resztki godności. Facet z banku do południa założył nowy zamek i wystawił anonse w witrynie. I na tym się skończyło. Fowlerowie poszli do domu, usiedli, a Ruth nie miała nawet siły poprosić Martina o jakieś, cholera, wyjaśnienie. Zza rzeki dobiegał odgłos szlifierki Seana Hoopera, równomierne, metaliczne podzwanianie, o pół taktu za zamachem jego ramienia. Jaskółki uwijały się przy stodołach, wlatywały i wylatywały. Z magazynu wyniesiono deski do okrycia studni, żeby je namoczyć w rzece. Matka dziewczynki wciąż mieszkała u Hunterów i wiadomo było, że Jane Hughes czasem ją tam odwiedza. Nigdy nie siedziała długo i nikomu nie przychodziło do głowy spytać, jak wizyta się udała. A Jane Hughes chciała czasem, żeby ktoś ją zapytał, choćby własny mąż albo któryś z kolegów ze środowiska kościelnego. Sama nic na ten temat nie mówiła. Trudno, na tym polega ta praca. Jane Hughes zaparkowała samochód, weszła do środka i wkrótce stamtąd wyszła. Dziewczynki nadal

poszukiwano. Szukano jej we wszystkich zbiornikach, po obu stronach kamiennego wału przeciwpowodziowego, w każdym zabitym deskami budynku czy szopie. Mogła wpaść do wody i się utopić. Mogła tkwić uwięziona w jakimś podwodnym przepuście lub śluzie. Nurkowie nic nie znaleźli. Ludzie chcieli wiedzieć. Ludzie czuli się zaangażowani.

Jacksona przywieźli do domu i przenieśli na krzeselkowych noszach z karetki na automatyczne łóżko zainstalowane w paradnym pokoju. Moment ten poprzedziła masa przygotowań, ale i tak po odjeździe karetki Maisie doznała ataku paniki na myśl o wszystkim, co jest do zrobienia. Gordon i Alex ciężko pracowali, żeby przygotować pokój, ale trudno było powiedzieć, czy Jackson jest zadowolony. Paraliż twarzy odpuścił na tyle, że mógł bełkotać, jednak stężale rysy nie pozwalały na odczytanie emocji. Łóżko ustawili przodem do okna, żeby chory mógł wyglądać na ulicę od strony kościoła. Obok łóżka stanął stół z basenami i lekarstwami, a przy wezłowi radio. Umówieni byli pracownicy społeczni, pielęgniarki i fizjoterapeuta, ale i tak mnóstwo obowiązków spadało na rodzinę. Pierwszego wieczoru Jackson nie dał się nakarmić, więc wybuchła awantura. Nie protestował w szpitalu, gdy karmiły go pielęgniarki, ale od żony nic nie chciał i koniec. Jednym gniewnym szarpnięciem głową rozlał miskę zupy. Maisie posprzątała i poprosiła o pomoc Gordona. Ten nie przebierał w słowach. Jak nie dasz nam się nakarmić, powiedział, to wykitujesz w ciągu tygodnia, więc lepiej się zastanów. Rano Jackson zjadł miskę jajecznicy. Przez okno dojrzał Lesa Thompsona, który spacerował po swojej łące na przeciwległym brzegu rzeki, dogładając dojrzewających traw. Na pewno już formują się kłosa. Pora ścinać. Przydałaby się wkrótce bezdeszczowa pogoda, jak mają zwozić siano. Ludzie gadali o słupkach geodezyjnych zauważonych w pobliżu Kamiennych Sióstr. Cooper wybadał

sprawę w biurze planowania i napisał do „Echa” artykuł o projektach otwarcia następnego kamieniołomu. Kwiczoły odleciały do Skandynawii, gdzie budowały gniazda i składały jaja. Grupa turystów zeszła do starego kamieniołomu przy głównej drodze. Tony spytał Martina, czy to ci, z którymi trzymał Woods, a Martin odrzekł, że nie. Wtedy Tony zapytał, czy miał lekką paranoję na punkcie Woodsa, a ponieważ minął prawie rok, Martin przyznał, że może coś w tym jest. Było, minęło, powiedział.

W ostatni dzień semestru James, Liam i Deepak poszli na wagary i wypuścili się na rowerach ścieżką nad zbiornikiem nr 3. Przez większą część drogi pod górę musieli prowadzić rowery. Marsz spowalniały osuwiska i głębokie koleiny. Na szczycie chłopcy wyciągnęli z plecaków napoje i chipsy. Mój tata dostał pracę w Newcastle, powiedział Deepak. Jak to w Newcastle? – zdziwił się James. Newcastle nie jest złe, stwierdził Liam. Byłem tam. Mój wujek ma tam sklep sportowy. Pomagałem mu kiedyś w tym sklepie i Alan Shearer przyszedł po buty futbolowe. Tata od jakiegoś czasu szukał pracy, powiedział Deepak. To był pomysł mamy. Przebierał w tych butach jak w ulęgałkach, ciągnął Liam. Twoja mama chce się przeprowadzić do Newcastle? Właściwie to nie. Po prostu chce się wynieść stąd. Nie podoba jej się u nas? Jakoś dziwnie się tu czuje od tej historii z Becky, oznajmił Deepak. Coś wam powiem śmiesznego: Alan Shearer ma strasznie małe stopy. Nie chrzań, Liam. Twój wujek mieszka w Cardwell. Ale to mój drugi wujek. Pieprzysz. Pieprzy to twoja matka. James przechylił się i wytrącił Liamowi z ręki paczkę chipsów. Liam wgramolił się na rower i ruszył w dół. Patrzyli, jak podskakuje i ślizga się na ścieżce, wzbijając za sobą kurz. A to nie był w ogóle pomysł twojej mamy, żeby się tutaj sprowadzić? No. Ale mówi, że teraz wszystko się zmieniło. No wiesz. Mówi, że chce być bliżej rodziny. Macie rodzinę

w Newcastle? – spytał James. Nie, ale wiesz. I on ma zamiar wziąć tę pracę? Nie wiem. Chyba nie chce. Ale mama jest naprawdę nieszczęśliwa. Stale o tym mówi. Newcastle, kurwa mać, powiedział James. No właśnie. Wykończyli chipsy. James zarzucił plecak i podniósł rower. Spróbujemy? Liam był już prawie u stóp wzgórza. Jeszcze nie upadł. Deepak wsiadł na rower i spojrzał na Jamesa. Wtedy latem... Zrobiłeś to z nią, no wiesz, z Becky? James popatrzył mu w oczy. No nie, nie całkiem, odpowiedział. Kurwa, Deepak, a ty tak? Nie, odparł Deepak. Ale chciałem. Zjeżdżamy z tego wzgórza czy gadamy, czy co? – rozeźlił się James. Dosyć tego gładzenia. Jedziemy. Z hurgotem puścili się w dół po ścieżce, a w głowach im dudniło od klangoru rowerów szorujących po koleinach. Na dole minęli pędem Willa Jacksona, który spóźnił się po syna do szkoły. Był to ostatni dzień semestru i innych dzieci już nie było, gdy wszedł do klasy. Pomyślał, że to dobry moment, żeby zamienić słowo z panną Carter. Tom miał masę pytań o to, co będą robić, gdy wrócą do domu, a panna Carter zajęta była sprzątaniami klasy; niedługo miną trzy miesiące jak nic nie zostało powiedziane. Może nie było nic do powiedzenia. Ona przysyłała mu esemesy, ale poprosił, żeby tego nie robiła. Nie chciał komplikacji. A może komplikacje to niewłaściwe słowo? Może ona się obraziła? Czasami trudno było wyczuć. Ciekawe, co zrobiła z jego gatkami – zachowała na pamiątkę czy wyrzuciła? Niewielka fatyga nadać paczkę na pocztę, ale tego nie zrobiła. Rano pożyczyła od niego bokserki w granatowo-białe paski i wyglądała w nich o wiele lepiej niż on. Leżały jak ulał. Nigdy nie słyszał, żeby ktoś rozmawiał o tym, jak świetnie kobieta może wyglądać w męskiej bieliźnie. A ona stała u stóp jego łóżka, granatowo-białe paski wyginały się na wszystkie strony, w każdej ręce kubek herbaty, i ta jej mina, no po prostu do zwariowania. A później, gdy wymknęła się z domu tylnym wyjściem, przez ogród, do lasu, żeby nikt jej nie zobaczył, on przez chwilę pomyślał,

że to może być początek tego czy owego. Smak jej ciała, kiedy siedział z kubkiem świeżej herbaty, której nie pił. Will Jackson i panna Carter ze szkoły – brzmiało to nieźle, ale ludzie zaczęliby gadać. A matka chłopca zwróciłaby się przeciwko niemu. Po co to wszystko. Mógłby przenieść się gdzieś indziej. Ale to ugięcie materaca pod jego ciałem, kiedy ona wchodziła z powrotem do łóżka. Jej siła. Ledwo się opanował, żeby nie wypaść z domu tylnym wyjściem i nie pogonić za nią do lasu. Po tych esemesach nie było już nic. Niezręczna cisza. Załatwianie zwykłych spraw. Ale ona wciąż miała jego spodenki, więc może to znaczyło, że będzie dalszy ciąg. Powinien z nią porozmawiać.

Strażnik ochrony przyrody Graham Thorpe zorganizował Motylowe Safari, ale mimo wielkiego zainteresowania, stawiała się na nie tylko Sally Fletcher. Thorpe burknął do niej, że chyba ma coś lepszego do roboty w niedzielę, lecz odpowiedziała, że bardzo jej zależy. Poprowadził ją przez wrzosa dookoła zbiornika nr 8 i pokazał, gdzie szukać warcabników, różnych odmian perłowców, czerwończyków, kratkowców i błękitków. Znaleźli pół tuzina gatunków, ale Thorpe opowiadał o nich tak, jakby ich było pięć razy więcej: opisywał cykle rozwojowe, migracje, obyczaje żywieniowe, style kopulacyjne. Zrobił się strasznie wymowny i Sally była oczarowana. Nie miała pojęcia, że to taka szeroka wiedza. Dwie godziny minęły o wiele za szybko, a wieczorem, jedząc kolację z Brianem, Sally przyłapała się na tym, że nie ma ochoty niczego mu opowiadać o motylach. To był jej sekret. Na skraju buczyny i na wałach wzdłuż drogi naparstnice wyrosły wysoko i pszczoły uwijały się w ich jaskrawych, naparstkowatych kwiatach. Na słupku furtki przy drodze czyhał myszołów. Drużyna krykietowa wyjechała na mecz do Cardwell i, chociaż dzień był deszczowy, wystarczyło overów, żeby drużyna Cardwell wygrała. Na wrzosowisku za

Kamiennymi Siostrami wyrosły jagody i w drugą niedzielę sierpnia mieszkańcy wsi poszli je zbierać. Rosły rzadko, więc trzeba się było nałazić i naschylać. Rozpoczął się sezon polowań na pardwy. Bażanty w zagrodach na skraju lasu należącego do majątku Culshawów kuliły się i rozpraszały z powodu najmniejszego hałasu. Dni były długie i spokojne. Samo spacerowanie po wzgórzach w żarliwym słońcu rodziło poczucie winy, ale niektórzy starali się bardzo, żeby to ich nie zniechęciło do wycieczek. Podobno wystarczyło omijać gospodarstwo Hunterów. Pnąca się pod górę ścieżka za przerobionymi stodołami zarosła gęsto trawą, deptana przez tak nieliczne stopy. O rannej rosie zapuszczał się tam jeszcze niekiedy jakiś fotograf, ale szybko go spostrzegano i ściągano w przemoczonych spodniach oblepionych nasionami traw i rzepami. Zawsze faceci. Nie było ich za co aresztować. Zwykle znajdował ich Stuart Hunter. Nie lubił on konfrontacji, ale w tej sprawie był nieustępliwy. Nie miał zwyczaju mówić dwa razy. Jess Hunter zastanawiała się, skąd u niego taka determinacja, której na ogół mu brakowało. Czyżby czuł coś do matki dziewczynki poza odpowiedzialnością gospodarza? Mało prawdopodobne. Nie należał do tego typu mężczyzn. Odprawivszy intruza, wracał do domu tak zdyszany, że czasem Jess musiała go przytulić, żeby się uspokoił. Przypominały jej się wtedy uczelniane zawody wioślarskie, po których Stuart był w takim samym stanie szoku adrenalinowego. Czasem fala tej nagromadzonej energii niosła ich do sypialni, ale najczęściej Stuart rzucał się w wir pracy, odbębniając dokumentację, telefony i ożywione rozmowy z personelem. Jednak poza domem Hunterów niejedno przypominało nadal o zniknięciu dziewczynki: kwiaty przed centrum turystycznym, nowe ogrodzenie wokół szybów kopalnianych, szczekanie psów przy drodze. Większość ludzi trzymała się z daleka i zmieniała trasy spacerów: chodzili do zbiorników, do granicy kamieniołomu, a nawet jeszcze dalej na północ, aż po głębokie

wapienne dolinki, gdzie motyle unosiły się na wietrze jak popiół i czasem jeszcze przyjeżdżały furgonetki-lodziarnie.

Lato minęło pod niskimi chmurami, ale we wrześniu niebo się przejaśniło, dni poweselały, a błoto na ścieżkach pozasychało w twarde zręby. Na działkach wykopywano pierwsze kartofle: z odwróconej czarnej gleby wytaczały się na światło dzienne żółte bulwy. Na Irene wypadła kolej udekorowania kościoła na dożynki, więc do spółki z Winnie przez cały tydzień wiązała snopy zbóż na jadalnym stole u siebie w domu. Przyjaźniły się, odkąd Irene przybyła do wsi, ale od śmierci Teda przed siedmiu laty nie spędziły ze sobą równie wiele czasu. Winnie wciąż miała lepszą rękę do tych rzeczy. Może dlatego, że była o parę lat starsza od Irene. I wychowała się na wsi, a Irene na zawsze zachowała w sobie ślady miejskości. Poza tym Winnie umiała się skupić na robocie, czego Irene nadal się uczyła. Czasami miała poczucie, że za dużo gada, gdy jest z Winnie. Ale zawsze było coś jeszcze do powiedzenia. Uporawszy się z pracą, zniosły bukiety do kościoła, żeby odciągały oko od natłoku puszek i paczek naznoszonych przez dzieci. Ludzie mówili, że od lat nie było tak pięknej dekoracji. Rzeka prześlizgiwała się pod końskim mostem, kręcąc powolne wiry wzdłuż brzegu. Opiekunki przychodziły do Jacksona raz dziennie, żeby go umyć, przewrócić na drugi bok i ponamawiać do wstania z łóżka. Jadł już samodzielnie i lepiej mówił, ale trzeba było dwóch osób, żeby utrzymać go w pionie, gdy stawał na białych, bezwłosych nogach. Opiekunki przydawały się dopóki były na miejscu, ale przez resztę czasu to Maisie musiała podawać i opróżniać basen, przynosić jedzenie, pomagać w przebieraniu się w świeżą piżamę. Poinformowano ją, że jeżeli sprawność ruchowa się polepszy, to typowo nastąpi to w pierwszych pięciu miesiącach, więc fizjoterapię należy włączyć możliwie wcześnie. Patrząc,



jak Jackson manipuluje przyciskiem łożka, które unosiło się i opadało przy cichym szmerze silnika, nie była przekonana, czy chory zechce walczyć. Chłopcy budowali krytą werandę na tyłach domu, gdzie Jackson mógłby spokojnie spędzać dni, zamiast przez okrągłą dobę tkwić w łożku. Konstrukcja nie była łatwa. Przez pole za domem wędrowała grupa nastolatków, kierując się w stronę buczyny, na pewno żeby pić. Will Jackson rozpoznał głosy młodego Broada i syna kamieniarza Hoopera. Dziewczyny też tam były. W bukowym lesie Deepak i reszta usadowili się w jaskini, którą sobie znaleźli przed trzema laty. Liam rozpałił ognisko. Cydr był już prawie wypity. Rozmowa się rwała. Lynsey i Sophie siedziały na kłodzie z kocem na ramionach i James widział coś w ich oczach. Wyglądały, jakby miały coś do powiedzenia, ale nie chciały mówić tego głośno. Wydawały się zadowolone z siebie i onieśmiałe. James śledził ich wzrok: patrzyły na Deepaka. Liam kucnął przy ognisku, dmuchając w podpałkę. Dziewczyny wstały i powiedziały Deepakowi, że mają dla niego prezent pożegnalny. Deepak wyraźnie się ucieszył i zmieszał. Co to takiego? Jest na zewnątrz, powiedziała Sophie. Chodź za nami. Oddalili się między drzewa. Deepak obejrzał się na Jamesa i wzruszył ramionami. Liam odsunął się od ognia. Pewnie go rozdziewiczają, powiedział. James go wyśmiał. Poprzestawiało ci się, stwierdził. Liam znów podmuchał w ognisko. Wszystko jedno, podsumował. Poprzestawiało to się twojej matce. Lynsey wróciła pierwsza i żadnemu z nich nie spojrzała w oczy. Odepchnęła Liama na bok i rozpałiła ognisko jak należy. Co chwila dotykała ust. Sophie nie było dłużej, a gdy wróciła, obie szybko sobie poszły, trzymając się za ręce. Deepak wyłonił się spomiędzy drzew. Kucnął przy ognisku, w którego chwiejnym blasku widać było jego pijany wzrok. Dwaj pozostali gapili się na niego. Deepak uśmiechnął się od ucha do ucha. Nic ze mnie nie wyciągniecie, szkoda fatygi, powiedział ze śmiechem, bo

koledzy już obalili go na ziemię. Rankiem, gdy ognisko jeszcze dymiło, przyjechała ciężarówka od przeprowadzek.

W październiku widziano u Hunterów matkę dziewczynki: pakowała do furgonetki pudła, torby i dwa duże worki pełne, jak zdradziła później ludziom Jess Hunter, kartek z wyrazami współczucia, które podostawała. Panowało przekonanie, że więcej się tu nie pokaże. Uściskała się na podjeździe z Jess i Stuartem Hunterami oraz z Jane Hughes, która przysłała ją pożegnać. Towarzyszący jej mężczyzna zapalił silnik małej blaszanej furgonetki i odjechali wyboistą drogą. Brama otworzyła się przed nimi automatycznie i zniknęli z oczu, zanim zamknęła się z powrotem z brzękiem. Jane Hughes pogadała chwilę z Hunterami i odjechała tą samą drogą. Mijając wieś, zajrzała do Jacksona. Maisie mówiła jej wprawdzie, że u nich w domu nikt się za bardzo nie modli, ale Jane jej na to odpowiedziała, że rozumie, jednak i tak chciałyby wpaść, i oto już siedziała w kuchni i zanim woda się zagotowała, poprosiła Maisie, żeby mówiła jej po imieniu, a nie „pani pastor”. Potem już dużo się nie odzywała, tylko słuchała, jak Maisie opowiada o pracy na farmie, o zajęciach synów i planach rozbudowy jednego z budynków. Jane odniosła wrażenie, że Maisie czymś się denerwuje. Korzystając z przerwy w jej monologu, zapytała, jak się czuje Jackson. Nie chce pani widzieć, powiedziała Maisie. Nie chce cię widzieć. Jane odrzekła, że to nie szkodzi, ona rozumie. On jest chyba zły o to, co mu się stało, powiedziała Maisie. Jest zły, ale nie ma na kogo zwalić winy. Jane odrzekła, że to też rozumie. A ty, jak sobie radzisz? – zapytała. Jakoś ciągniemy, odparła Maisie. Damy sobie radę. Mamy pomoc. Synowie Jacksona wpuszczali barana do zagrody owiec na krycie. Baran był znakowany ochrą i w krótkim czasie na grzbietach owiec pojawiły się rdzawe smugi. Nie obyło się bez hałasu. Ranki znów zrobiły

się ciemniejsze, więc w mieszkaniu nad przerobioną stajnią Su Cooper była często na nogach jeszcze przed świtem; układała wrzeszczące bliźniaki na matach do zabawy, podstawiała czajnik pod kran i nasadą dłoni zatykała usta, żeby samej nie wrzeszczeć. Wiedziała, że powinna być silniejsza, ale w niektóre poranki czuła się całkiem sama. Rodziców miała za daleko. Przyjaciółki miała za daleko. W tej wsi nie było nikogo, na kogo mogłaby liczyć. W drugim końcu buczyny rozgrywała się walka borsuków. Turyści wyszli ze starego kamieniołomu i pokazali się na głównej drodze, a chociaż większość śmieci zabrali ze sobą, to i tak zostały po nich dwa popsute samochody. W ciągu tygodnia oba zostały spalone. Psotna noc udała się lepiej niż przed rokiem, ale wciąż nie było to to, co kiedyś. Irene stała na placu, przypatrując się, jak młodzi opryskują się nawzajem pianką do golenia, i spytała Martina, czy już mu opowiadała, jak jej nieboszczyk mąż, jeszcze jako chłopak, schował komuś w psotną noc całe stado krów. Od tego czasu nie wolno robić kawałów ze zwierzętami, dodała z dumą. Martin jej odpowiedział, że nie jest pewien, ale jakby już słyszał tę historię. Cofnięto zegary i noce przegoniły krótkie dni.

W listopadzie bliźniaki Cooperów obchodziły pierwsze urodziny. Mieszkanko nad stajniami było za małe na przyjęcie więcej niż kilku osób, więc bankiet urządzono w wielofunkcyjnej sali u Gladstone'a. Była to pierwsza impreza w tym lokalu, odkąd policja przestała w nim organizować konferencje prasowe, ale Tony poprzywiązywał tyle balonów, że łatwo dało się zapomnieć sceny z przeszłości: rzędy krzeseł, postacie policjantów, wielkie portrety zaginionej dziewczynki. Bliźniacy jeszcze nie chodzili, ale byli hałaśliwi i absorbujący. Siedzieli w udekorowanych wysokich krzeselkach na honorowym miejscu przy długim stole i z uciechą witali podsuwane im jedzenie. Przyjechali rodzice Su i jacyś jej kuzyni

z Manchesteru, a poza tym zaproszono kilkanaście osób ze wsi, którym Cooper chciał szczególnie podziękować za wsparcie. Skończył się długi rok. Oboje Cooperowie byli wykończeni. Austin nigdy nie przypuszczał, że człowiek może żyć, permanentnie nie dosypiając, a jednak jakoś przeżyli. A dzieci były prześliczne. Jeszcze do niego nie docierało, że to jego synowie. Był z nich straszliwie dumny, nawet kiedy rozlewali picie po podłodze i płakali, gdy wnoszono torty. Dumny był z ich apetytu na życie i ciągłej zmiany, z tego, jak ich mózgi i osobowości dojrzewają z minuty na minutę. Bo przecież jemu to nie miało się przydarzyć. Był już pogodzony z tym, że się nie zdarzy. Dobił pięćdziesiątki, mając na koncie tylko dwa nieudane związki, już nauczył się tolerować inny styl życia: męskie przyjaźnie, znajomych, niezależność. Nauczył się cenić wolność podróżowania, szwendania się, wychodzenia z domu. Chociaż w sumie nie podróżował. Stale to odkładał, nawet nigdy nie miał paszportu. A trafiały się okazje. Samotność to nie to samo, co osamotnienie. Zdołał to sobie wmówić. A potem nastąpiła Su. Sam nie rozumiał, jak to się stało. Po tygodniu Su powiedziała, że powinni mieć dzieci, a kiedy on się roześmiał, przypomniała mu, że nie robią się coraz młodszy. Po miesiącu oznajmiła, że powinni się pobrać i zabrała go do Manchesteru, żeby poznał jej rodziców. A on na wszystko mówił „tak”. Co za prosta przyjemność, stale powtarzać „tak”. I przez te wszystkie lata, kiedy zdawało się, że jednak nie będą mieć dzieci, on dalej mówił „tak”: „tak, spróbujmy jeszcze tego”, „tak, wydajmy te oszczędności”, „tak, warto jeszcze raz spróbować”. Trudno było, ale przeszli przez to razem. Ciężkie zadanie wychowania chłopców wydawało się niemal nagrodą. Su niedługo miała wrócić do pracy: BBC dało jej na początek pół etatu z możliwością wykonywania części pracy w domu – więc wyglądało na to, że sobie poradzą. Su strasznie chciała wrócić do pracy, do jakiegokolwiek pracy, wiedział o tym. Patrzył, jak wyjmuje

z krzeselka Hana Lee do zdjęcia, wołając do niego, żeby wziął na ręce Lu Sama. Stanęli blisko siebie, trzymając swoich synów, jej rodzina skupiła się dokoła, robiono zdjęcia i wszyscy prosili ich o uśmiech.

Woźny Jones mieszkał z siostrą na końcu zapuszczonej alejki przy działkach, po sąsiedzku ze starym domem Tuckera. Był w wieku nieokreślonym, ale przepracował w szkole trzydzieści lat. Siostra była od niego młodsza i nigdy się nie pokazywała. Uchodziła za niedorozwiniętą. Większość rodziców ze wsi znała Jonesa z czasów, kiedy sami chodzili do szkoły. Jones wszystko robił po swojemu. W szkole były zamki, do których tylko on miał klucze. Pozostały personel przewyższał go rangą, ale Jones nie dawał sobą dyrygować i pracował według własnego harmonogramu. Wytyczał ściśle granice terytorialne, po części znane. Kotłownię traktował jak swój gabinet i nikogo tam nie wpuszczał. Czasem przez uchylone drzwi dało się dostrzec fotel, radio, czajnik, stertę czasopism wędkarskich. Ale drzwi były prawie zawsze zamknięte. Bojler często się psuł. W połowie grudnia stało się to po raz kolejny, więc pani Simpson poszła szukać Jonesa. Znalazła go na stromym, zalesionym zboczu za szkołą: wspinał się pomiędzy czarnym bzem a leszczynami z workiem na śmieci. Zwijał spłowiałą policyjną taśmę zaplątaną między drzewami. Szło mu to wolno; pani Simpson cierpliwie stała i patrzyła. To już dwa lata, jak szybko zleciało. Jones zauważył ją i wgramolił się na górę. Musiało ją przywiał z alei, powiedział. Ludzie nie dbają. Spojrzała na taśmę, przymrużając oczy, i pokiwała głową. Bojler? – spytał Jones. Niestety tak, odrzekła. Rano w ogóle nie grzało. Jones ruszył w stronę pojemników na śmieci, a pani Simpson za nim. Pewnie wpusty znów się pozatykały, powiedział Jones. Wszystko inne w porządku? Tak, tak. Doskonale. Jones wyjął paczkę tytoniu i skręcił papierosa. Pani Simpson miała taką minę, jakby jeszcze coś

chciała powiedzieć. Jones wskazał głową gęstniejący wał chmur nad wrzosowiskiem. Pogoda, powiedział i poszedł dalej. Panie Jones, zawołała za nim. Zgodzi się pan, żebym kogoś wezwała? Jones przystanął. Bojler jest przyzwoity, oznajmił. Sam to zrobię. Mysikrólik skakał po wysokiej jodle w drugim końcu boiska, wydziobując szybko owady pożywiające się między igłami. Od wzgórz za działkami nadciągała ulewa. Zbiorniki powlekły się płaską, metaliczną szarością. W kościele kolędowano przy świecach; dzieci ze szkoły szeroko otwierały buzie, śpiewając do muzyki z odtwarzaczy. „Bądź przy mnie, Panie Jezu”. Kościół był pełen. „Pozostań, proszę Cię”.

Richard Clark przyjechał do domu między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem, po wyjeździe jego sióstr, i w sylwestra widziano go na spacerze z Cathy Harris. Znali się jeszcze ze szkoły, ale od kilku lat nie utrzymywali kontaktu. Kiedyś byli na dobrą sprawę zaręczeni, ale on wyjechał na studia, a ona nie. Zanim Richard zrobił dyplom, Cathy wyszła za Patricka, który był ich rówieśnikiem i najbliższym przyjacielem. Wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby wyjechała na studia z Richardem. Od tamtego czasu Richard prawie się do nich nie odzywał. Teraz Patrick już nie żył, od pięciu lat. Richard był za granicą, kiedy to się stało. Niska mgła wisiała nad wrzosowiskiem; ziemia zmarzła na kość. W nocy długo padało, więc w powietrzu unosił się zimny opar wilgoci. Nie był to wymarzony dzień na spacer po wzgórzach, ale się umówili. Richard zasłonił usta szalikiem i szedł za Cathy, uważając, gdzie stawia nogi. Droga na pierwszą grań była bardziej stroma niż pamiętał. Już się spocił. Przystanął, żeby rozpiąć kurtkę. Cathy odwróciła się i zaczęła na niego. Nie była zadyszana. Nie wyjeżdżała ze wsi i zachowała górską kondycję, którą on zatracił. Mgła zaczynała się przecierać. Poszli dalej. Cathy spytała, na jak

długo przyjechał do domu, a on odpowiedział, że następnego dnia rano ma samolot – leci na spotkanie w porze lunchu czasu lokalnego. Zapytał, jak się mają jej dwaj synowie, na co odpowiedziała, że dobrze. Starszy, Ben, w przyszłym roku zaczyna liceum. Nathan dopiero pójdzie do gimnazjum. Jakoś sobie w sumie radzili. Richard przeprosił, że nie zdążył na pogrzeb Patricka. Cathy pokręciła głową i powiedziała, że wcale się go nie spodziewała. Jechać taki kawał drogi. Wiedziała, że to kłopot. Zmieniła temat. Opowiedziała mu, jak to było iść tędy z ekipą poszukiwawczą, obchodzić systematycznie cały teren i czekać na znalezienie czegoś, a zarazem drzeć przed tym, co może się znaleźć. Richard oznajmił, że nie spacerował tą trasą chyba odkąd byli nastolatkami. Prehistoria, roześmiała się. Szli dalej. Każde myślało o czymś innym. Zaginiona dziewczynka nazywała się Rebecca albo Becky, albo Bex. Na udostępnionym niedawno nagraniu wideo matka nazywała ją Bex. Dziewczynka się śmiała, ale trudno było zrozumieć, co do siebie mówią. Dziwnie było słyszeć jej głos. Niektórzy uważali, że na wideo wcale nie jest do siebie podobna. Włosy miała dłuższe niż na zdjęciu, zebrane do tyłu w gruby warkocz, którym zarzucała, śpiewając i kręcąc piruety przed kamerą, z palcem wymierzonym w osobę filmującą. Policja wciąż traktowała ten przypadek jako dochodzenie w sprawie osoby zaginionej.

### 3

O północy, z nastaniem nowego roku, nad całą wsią rozbłysły fajerwerki. Na tańce w świetlicy przysły tłumy; bawiono się ogniście, a w oświetlonym wejściu wisiał obłok pary wodnej. Rano po ulicy walały się wystrzelone race, a z kwietników na rynku sterczały powtykane zimne ognie. Przez większość dnia padał deszcz, a w wyższych partiach gór śnieg, spod którego wystawały same czubki tegorocznych wrzosów. Grzywacze zlatywały się do ogrodów, gdzie wysypano paszę, i trzeba je było przeganiać. Od weterynarza przyszła lekarka z aparatem USG i Gordon Jackson zaprowadził ją do swoich owiec. Badanie ich zajęło Gordonowi i weterynarce całe rano. Proporcja bliźniąt była przyzwoita, a niepłodnych było mniej niż zazwyczaj. Gordon miał poczucie, że ranek się udał. Weterynarka miała na imię Deborah i umiała się obchodzić z owcami. Miała silne ręce i pewny chwyt. Gordon zapytał ją, co robi w weekend, na co odpowiedziała, że wybiera się do rodziny. Słowo rodzina zabrzmiało w jej ustach dwuznacznie, ale Gordon machnął na to ręką. Kiedy odwiózł ją do przychodni swoją furgonetką, na pożegnanie posłała mu uśmiech, który można było odczytać jako pogardliwy. Chodziła mu po głowie przez kilka dni. Rada parafialna przeniosła się z zebraniem do sali u Gladstone'a i frekwencja od razu podskoczyła, co, jak Brian mówił



później Sally, kiepsko świadczyło o zainteresowanych. Martin i Ruth Fowler rozstali się; najbardziej zdziwiło to samego Martina. Wychodził właśnie na rozmowę w urzędzie zatrudnienia, kiedy Ruth zatrzymała go w drzwiach i oznajmiła, że odchodzi. Ścisnęło go w dołku, ale nie dał nic po sobie poznać. Chryste, Ruth, też sobie wybrałaś moment! Podniosła rękę, jakby przeproszała, i powiedziała, że na to nigdy nie jest odpowiedni moment, nigdy nie ma czasu porozmawiać. Martin stał w drzwiach i pocierał dłońmi twarz. Słowa cisnęły mu się na usta, ale było ich za dużo. Gdyby teraz zaczął mówić, spóźniłby się do urzędu. Powiedział tylko, że ma dobre widoki na pracę, że wszystko się ułoży. Urwał, bo to nie miało sensu. Skoro Ruth już podjęła decyzję. Dotknęła jego policzka, ale odtrącił jej rękę. Znał słowa, ale nie umiał zacząć. Spóźni się. Chciał, żeby wszystko było inaczej, ale wiedział, że nie będzie. Rób, co uważasz za stosowne, powiedział. Stała w drzwiach i patrzyła za nim, gdy odchodził. Pobrali się, kiedy oboje mieli po dwadzieścia dwa lata, rok po tym, jak poznali się na balu młodych farmerów. Nie byli młodymi farmerami, ale wiadomo, że na tych tańcach łatwo kogoś poznać. On postawił jej drinka. Miał taki bezczelny sposób mówienia, a ona odgadła, że to przykrywka dla nieśmiałości. Tańczyć nie umiał, ale ruchy miał wdzięczne, szczególnie ruchy rąk, które ją zaintrygowały. Na drugim spotkaniu zabrał ją do sklepu rzeźnickiego, który przejmował po ojcu. Oprowadził ją, a gdy stanęli za ladą – pocałował, aż oparła się o pieńek rzeźnicki. Dla niej to się przesądziło właśnie wtedy. Pieńek rzeźnicki był wypukły i gładki pod jej dłońmi. Po ślubie wprowadziła się do Martina, a parę lat później, kiedy chodziła w ciąży z Bruce'em, jego rodzice przenieśli się do chronionego osiedla w mieście. Przez jakiś czas byli szczęśliwi, w każdym razie zadowoleni, a kiedy to się zmieniło, Ruth nie umiała powiedzieć dlaczego.

Na nabożeństwie w Środę Popielcową Jane Hughes każdego naznaczyła popiołem, odciskając kciuk na czole, czego nie robiła od lat. Do kościoła przyszli tylko starzy bywalcy i nabożeństwo było krótkie. Ale cicha intymność dotyku zanurzonego w popiele kciuka Jane licowała jakoś z powagą chwili, a kiedy wierni wyszli w zimny, słoneczny poranek, wszystkich ogarnęła chwilowa nieśmiałość: dotykali palcami czół, nie ścierając popiołu. Na kościelnym dziedzińcu para kosów odbywała zaloty: rozkładały ogonki, stroszyły kuperki i przyglądały się sobie błyszczącymi oczami. Mróz zelżał, więc pan Wilson poszedł na działkę zasadzić korony rabarbaru. Na działkach od jesieni nie było tyle ludzi. Clive rozsadzał bób do doniczek. Miriam Pearson grabiła grządkę, siejąc wczesną marchew. Jones dopiero kopał. Po południu słońce tak przygrzało, że rozpaleni pracą ludzie pozrzucali kurtki i czapki, pozawieszali je na wbitych w ziemię łopatach i prostowali kości, jednak chłód szybko wrócił, słońce się przyćmiło, a ziemia zaczęła twardnieć. Był nów, cienki, zimny i wysoki. Geoff Simmons w swojej pracowni wybierał dłutem kule gliny na koło garncarskie, ważył je w rękach i przecinał każdą drutem. Jego pracownia mieściła się na samym końcu uliczki, za domem Jacksonów, w przerobionym magazynie pasz, który kupił za spadek przed dziesięciu laty. Pozwolenie na budowę obejmowało tylko warsztat, ale wszyscy wiedzieli, że Geoff Simmons nocuje tam na kanapie. Od frontu urządził sobie sklep, ale klientów miał na razie niewielu. Zasiadł przy kole garncarskim i zamoczył dłonie w misce z wodą, whippet leżał zwinięty na dywaniku obok pieca olejowego. Wieczorem nastolatków widziano koło jazu. Pili. W szkole chodziły plotki, że James Broad albo Liam, albo jeden i drugi, spali raz z Becky Shaw. Złośliwe i mało wiarygodne. Sophie i Lynsey chciały wiedzieć, skąd te plotki się wzięły, ale James im powiedział, że nie ma ochoty, kurwa, o tym gadać. Sophie próbowała się do

niego przytulić, ale ją odtrącił. Liam rzucał kamienie do wody. Dziewczynki szukano wszędzie, w bukowym lesie, w rzece, w rozpadlinach Skał Czarnego Byka. Szukano jej w opuszczonym kamieniołomie, włamywano się do kontenerów, do przegniłych wagonów towarowych, zostawiając ich drzwi dyndające na jednym zawiasie i idąc dalej. Ludzie chcieli ją znaleźć. Chcieli się przekonać, że nic jej się nie stało. Czuli się zaangażowani, chociaż ledwo ją znali.

Odgłos wody chlustającej ponad jazem dochodził do wsi szumnymi zrywami, wzmagając się i słabnąc na wietrze, jakby ktoś manipulował fonią. Ludzie Thompsona prowadzili do dojarni pierwsze krowy, z których każda zajmowała swoje miejsce i spuszczała łeb do żłobu, pozwalając umyć sobie wymiona. Nad rzeką strażnik wodny przycinał wierzbę, a usuwając kolejną gałąź, zapatrzył się na strugę trocin dryfującą z prądem. Złapały się w wir. Omiotły niską kataraktę. Na ścieżce widniały ślady stóp. Strażnik wodny zabrał się do następnej gałęzi. Zawsze było kupę roboty. Do szkoły przysłała policja porozmawiać z Liamem, Jamesem i Lynsey o ich związkach z zaginioną dziewczynką. Pojawiły się nowe informacje o letnim pobycie jej rodziny w domu Hunterów rok przed zaginięciem. Przesłuchania prowadzone były delikatnie i zawsze w obecności rodziców, ale wspomniana trójka miała potem przez nie kłopoty w szkole. Nie wszczęto żadnych dalszych czynności. Wszyscy troje przyznali się do kontaktów z dziewczynką tamtego lata, ale zaprzeczyli, jakoby wiedzieli o jej pobycie we wsi w Boże Narodzenie. Nie udzielili żadnych użytecznych informacji. Policja podziękowała im i przeprosiła za ewentualne przykrości. Zegary przesunięto do przodu i wieczory się wydłużyły. Pączki na gałęziach nabierały barw. W starym kamieniołomie wałały się wyrzucone materace, co ceniły sobie zapuszczające się tam nocą

parki. Ruth Fowler wyprowadziła się do Harefield. Nigdy dotąd żadne z nich nie mieszkało samo. Ruth przywykła do tego szybciej niż Martin. Chodziły słuchy, że chce otworzyć własny sklep. Ze zdrową żywnością. W Harefield to miało wzięcie. Zauważono, że Martin bardzo mało czasu spędza w domu. Albo siedział u Gladstone'a, albo wałęsał się po wsi i kursował aleją wzdłuż sadu Fletcherów do końskiego mostu. Kiedy siedział w domu, światło paliło się tam prawie całą noc. Rano widywano jego samochód przed sklepem rzeźnickim. Córka Fowlerów, Amy, była na studiach w innym mieście, gdy rodzice się rozstali. Ruth zaproponowała, że z nią porozmawia, za co Martin zrazu był jej wdzięczny, ale gdy Amy przyjechała po swoje rzeczy i zabrała je do nowego mieszkania Ruth, zrozumiał co się stało. Wiedział, że córka musiała wybrać, ale i tak czuł się odtrącony. Ich starszy syn, Bruce, był w Manchesterze, gdy ostatnio o nim słyszano. Niech sobie robi, co chce, pomyślał Martin. Nie obchodziło go to.

W szkole, ostatniego dnia przed feriami, panna Carter siedziała na swoim niskim krześle w kąciku lektury, a cała klasa wpatrywała się w nią w milczeniu. Ucichł nawet Ryan Turner, po raz pierwszy, odkąd panna Carter go znała. Czytała im *Jasia i Małgosię*, a gdy doszła do fragmentu o tym, jak ptaki wydziobały okruszki i Jaś z Małgosią zgubili się w lesie, usłyszała wręcz napiętą uwagę dzieci. Zniżyła głos do szeptu. Dzieci jakby skupiły się bliżej niej i zrobiło się jeszcze ciszej. Widziała teraz siebie w ich twarzach, w Isobel Broad i Wiktorze Muchlowskim – siebie, gdy była w ich wieku, wpatrywała się w panią Bradshaw i marzyła, że kiedyś to ona będzie tą gładkonogą kobietą przycupniętą na skraju wyściełanego krzesła i czytającą dzieciom bajki. Magiczną chwilę przerwał Ryan Turner, który zdrapał sobie strup z kolana i zaczął płakać. W wysokiej trawie okalającej boisko krykietowe larwy skoczka przędły swoje miniaturowe namiociki ze

ździebeł. Pod żywopłotami i przy szosie wyrosły pierwiosnki ofiarujące bukiety żółtych kwiatków coraz dłuższym dniom. Dochód z balu wiosennego przeznaczono na reaktywację grupy przedszkolnej, o którą od jakiegoś czasu zabiegała Jane Hughes. Miała nadzieję zebrać pieniądze na sprzęt do zabaw na dworze, który mógłby się przydać w pogodne dni. W tydzień po Wielkanocy popsuł jej się samochód i Stuart Hunter podwiózł ją na niedzielne nabożeństwa. Odprawiała trzy msze poranne w odległości ośmiu do szesnastu kilometrów jedna od drugiej. Na każde nabożeństwo przychodziło nie więcej niż dziesięć osób, więc Jane zgodziła się z niewypowiedzianą uwagą Stewarta, że cały ten układ jest marnotrawstwem czasu. A jednak, pomyślała, gdzie dwóch lub więcej zbiera się w imię moje... Dwóch lub więcej. Nie powie pan nikomu, że wygłosiłam trzy razy to samo kazanie, prawda? Będę milczał jak grób, pani pastor, odpowiedział. Podrzucił ją pod plebanię w mieście i oświadczył, że nie będzie wchodził. A u pana wszystko w porządku? – zapytała. Jako tako, odrzekł. Jeszcze nie wynajęliśmy tej przerobionej stodoły. Jakoś nie wypada. Może by pani przysłała ją wyegzorcyzmować? Powiedział to ze śmiechem, jakby chciał dać jej do zrozumienia, że żartuje, a ona wysiadając z samochodu, zapewniła go, że modli się za niego i jego rodzinę. Z tego nie było jak się śmiać. Wieczorem spadł przyjemny deszczyk, na który warto było nawet trochę wyjść: pozmywał kurz z liści i pozostawił po sobie przesadną woń wczesnego lata. W buczynie lisięta zostały wyprowadzone z nor.

Will Jackson zajrzał do matki i przy okazji pomógł fizjoterapeucie przeprowadzić Jacksona z łóżka na nową przeszkloną werandę, pomalutku, krok za krokiem. Wysiłek tak zmęczył Jacksona – chociaż podtrzymywali go we dwóch – że zasnął, ledwie go usadzili w specjalnym fotelu, zanim

zdążyli wyłączyć telewizor. Przy fotelu stał stolik z puzzlami i zabawkami do ćwiczenia funkcji motorycznych. Kserokopie zestawów ćwiczeń, które chory powinien wykonywać, wisiały na ścianie poprzypinane pinezkami. Rogi arkuszy zawijały się od słońca. Fizjoterapeuta powiedział, że chorzy dochodzą do siebie w różnym tempie i najważniejsze jest skłonić pacjenta do jak najczęstszego ruchu. Po jego wyjściu Maisie spytała Willa, czy ma czas na herbatę, na co odpowiedział, że owszem, pod warunkiem, że ona nie zacznie znów mówić o Claire. Zapewniła go, że nie chce się wtrącać w jego sprawy, pragnie tylko, żeby był szczęśliwy. Jest w porządku, powiedział. Już po sprawie. To nie była moja robota, ale już po sprawie. Spojrzał na nią ze zniecierpliwieniem. Bo zauważyłam coś dziwnego, powiedziała, tylko tyle. Mamo, warknął. Nastawiam czajnik i więcej o tym nie mówimy. Dobrze, powiedziała. Stali w dwóch końcach ciasnej, zagraconej kuchni, nasłuchując chrapliwego oddechu Jacksona, zagłuszanego stopniowo szumem czajnika. Padały deszcze i rzeka wezbrała. Brzegi ścieżek obficie porastała trybuła, zgęstniały cienie pod drzewami. Bydło przeganiało na wyższe pastwiska. Herbaciarnia przy młynie otworzyła się na nowy sezon, ale ruch był mniejszy niż zwykle, bo nie odbudowano jeszcze mostu dla pieszych i nie było dostępu z pola campingowego. Zbiorniki się napełniły. James Broad w końcu przyznał się rodzicom, ile czasu spędził z Becky Shaw. Poznał ją wtedy latem, po południu przysła z rodzicami do herbaciarni, kiedy James z Deepakiem i Lynsey wystawał na moście. Podeszła i zagadała do nich, a potem w tygodniu, gdy szli popływać, zapytała, czy może się przyłączyć. Pływaliście we czworo w rzece? – zapytała go matka. I nic nie mówiłeś o tym policji? Baliśmy się, odparł James. Wydawało nam się, że to nieważne. Nie chcieliśmy, żeby nas dalej wypytywali. I dlatego postanowiliście nic nie mówić, podsumował ojciec. James kiwnął głową.

Atmosfera była taka, no, napięta, powiedział. Całe to gadanie. Chyba jasne, że ludzie gadali, rzekł jego ojciec. Dlaczego nam nie mówiłeś wszystkiego? Co ty sobie myślałeś? Podnosił głos, a James się wycofywał. Matka patrzyła na niego uważnie. Czy jest coś jeszcze? – zapytała. James? Boże Narodzenie, odparł. W Boże Narodzenie też się z nią widziałem. Coś między wami zaszło? Mieliśmy po trzynaście lat, mamó. Daj spokój. Co miało zajść? James, nalegała matka. To ważne. Czy widziałeś ją w dniu, w którym zniknęła? Pokręcił głową i nie chciał powiedzieć nic więcej. Jego ojciec zasłonił twarz dłońmi. O Jezu Chryste, daj mi siłę, powiedział. James chciał zapytać, czy teraz będzie miał kłopoty, ale zdobył się tylko na urywany szept. Matka przysiadła się do niego. Jak na piętnastolatka, miał szerokie, męskie barki. Dygotał na całym ciele. Jego ojciec wyszedł z pokoju. Zdążył usłyszeć, jak James pyta matkę, czy to możliwe, że to wszystko jego wina.

Matka Richarda Clarka przemalowała pokoje na górze. Była to pierwsza rzecz, o której pomyślała po śmierci męża, ale zabrała się do dzieła dopiero po dziesięciu latach. Chciała to zrobić jeszcze za życia męża, on jednak zawsze gderał, że to marnowanie pieniędzy. Po malowaniu pokoje powiększyły się optycznie, nawet kiedy synowie Jacksona powstawiali do nich z powrotem wszystkie meble. Dała im za to na piwo, a po ich wyjściu przysiadła na skraju łóżka i objęła wzrokiem odmieniony pokój. Okno zostawiła szeroko otwarte, żeby wywietrzały opary farby, więc słychać było przez nie ludzi idących na rynek, daleki szept jazu, porykiwania krów Thompsona, czymś widać zaniepokojonych. Pokój był jak nowy. Jeszcze nigdy nie czuła się tak bardzo u siebie. Wiatr wzdymał i zasysał firanki. Rzeka wezbrała po deszczach i popołudniami roiło się od świeżo wyklutych much. Ian Dowsett stał na końskim moście i obserwował pstrągi, które,

grube jak jego ramię, wyskakiwały z wody na wyciągnięcie ręki. Do otwarcia sezonu wędkarskiego zostały dwa dni. Aż zachwiał się na wspomnienie zarzucania wędki. W telewizji pokazywali pożary lasów w Malezji, które ogołacały całe pogórza, a górne warstwy ziemi osuwały się do rzek. Wczesnymi rankami w oborze Thompsona jaskółki składały jaja w gniazdach między krokwiemi, a ich samce znosiły z dworu jedzenie dla pisklaków. Po zamieszeniu godowym pod stropem zapanowała cisza. Synowie Jacksona z Martinem, Tonym i kilkoma starszymi nastolatkami poszli na koński most powyciągać z wody deski do przykrycia studni. Po dwóch tygodniach nasiąkania drewno zrobiło się ciężkie, więc mężczyźni stękali, ładując je na przyczepę. Zimna woda lała im się po rękach strumieniami. Wjechali na przyczepie na szczyt wzgórza i poprzenosili deski do świetlicy. Uporawszy się z tym, zabezpieczyli przyczepę łańcuchem. Od jakiegoś czasu w okolicy brakowało złomu, więc złodzieje brali to, co złomem nie było: bramy zdjęte z zawiasów, kratki ściekowe. Proceder wymknął się spod kontroli. Kosy nurkowały co chwila pod żywoplot ogrodu Jonesa z upolowanymi gąsienicami i żukami. Siostra Jonesa cały ranek przesiedziała przy oknie, obserwując je. Czekwała aż Jones wróci do domu, a on się spóźniał. Zawsze wracał za późno. Nie znosiła, gdy ludzie nazywali go jej opiekunem. Sama umiała się sobą zaopiekować, tylko potrzebowała towarzystwa. Dni były czasem bardzo długie. Miała swoje sposoby na zabicie czasu, ale nie zawsze one wystarczały.

W lipcu upał zawisł nad wrzosowiskiem i wrzosy rozbrzęczały się owadami. Sally Fletcher poszła z Grahamem, strażnikiem ochrony przyrody, na oficjalne liczenie motyli. Szybko nauczyła się klasyfikacji i Graham mógł na niej polegać. Stworzyli taką zgraną ekipę, że Brian spytał, czy nie mają romansu. Śmiech na sali. Zbiorniki lśniły bielą pod



wysokim letnim słońcem. Zebranie rady parafialnej poświęcono niemal w całości kwestii proponowanych toalet publicznych i zanim obrady doszły do „spraw innych”, Tony chciał zamykać bar. Zaczęło się więc ogólne szuranie krzesłami, ale wtedy wstał Frank Parker i oświadczył, że chciałby poruszyć kwestię utrzymania poboczy. Brian poprosił Judith o sprawdzenie, czy ten temat był już kiedyś omawiany. Judith przejrzała protokoły i okazało się, że tak. W tej sytuacji, ponieważ czas nam się kończy, poprosimy cię o przedłożenie pisemnego sprawozdania na najbliższym zebraniu, powiedział Brian. Frank Parker doznał gwałtownego, krótkotrwałego uczucia urazy pomieszanej z wdzięcznością. W buczynie małe liski już samodzielnie polowały, więc rodzice mogli spędzać więcej czasu z dala od nich. Nocami rozlegały się zwierzęce nawoływania. Młode poznawały granice terytorium. Pierścień wierzb wokół głębokiej sadzawki w dalekim krańcu gospodarstwa Thompsona rozwinął gęste liście, ocieniając sadzawkę, jakby była miejscem wstydliwego zdarzenia, o którym lepiej milczeć. W szkole odbywała się ostatnia wywiadówka i Will Jackson poszedł dowiedzieć się, jak wypadł Tom. Panna Carter pokazała mu kilka zeszytów klasowych Toma i powiedziała, że chłopczyk sprawia wrażenie zadowolonego. Dodała, że ona sama w wakacje zmienia szkołę, na co Will odpowiedział, że szkoda, bo Tom będzie za nią tęsknił. Przecież Tom od września i tak nie byłby w mojej klasie, zwróciła mu uwagę. Zmieszał się. Miałem na myśli tak w ogóle, cała wieś będzie tęsknić, powiedział. Popatrzyła mu w oczy. Tak w ogóle? Kiwnął głową. Nagle go zrozumiała. O Chryste, Will, powiedziała. Ty idioto. Will wstał ze świadectwem Toma w ręku, a ona odprowadziła go wzrokiem do drzwi. Potem Will zastanawiał się, czy czekała na jego deklarację. Pod koniec tygodnia odbyło się spotkanie pożegnalne, a kiedy pani Simpson wręczała kwiaty pannie Carter, wszyscy rodzice wstali i klaskali tak głośno, że panna

Carter nie wiedziała, co powiedzieć. Nad rzeką stała czapla i patrzyła w wodę, a jej kanciasta sylwetka odcinała się dumnie od tła zapadającego zmierzchu.

Claire widziano przesiadującą u Jacksonów, a Will Jackson nie wiedział, co ma o tym myśleć. Po blisko trzech latach mieszkania u swojej matki, trzymania Toma przez pół tygodnia i nieodzywania się do męża, Claire nagle jakby zaczęła wymiękać. Przychodziła z Tomem do Jacksonów, gdy Will był w pracy, gadała z Maisie i zostawała na herbatę, kiedy ją poproszono. Maisie wyraźnie weselała w towarzystwie Claire, jakby dopiero co się poznały, i chciała zrobić na niej dobre wrażenie. A Tom był szczęśliwy, że ma oboje rodziców w jednym pokoju i wodził wzrokiem od jednego do drugiego, paplając o szkole i upewniając się w ten sposób, że są wszyscy razem. Po jednej z takich herbatek Claire zapytała Maisie, czy nie byłby to dla niej kłopot, gdyby Tom został u niej na wieczór, a ona wyskoczyłaby z Willem do miasta na drinka. Will nawet nie wiedział, że jest taki plan. Maisie chętnie się zgodziła. Tom podskoczył i spytał, czy może poczytać dziadkowi bajkę na dobranoc. Will stracił grunt pod nogami. Gdy szli do samochodu, zapytał Claire, co się dzieje, a ona odpowiedziała, że nic, po prostu jadą sobie na drinka. Will pomyślał, że z Claire nic nigdy nie jest po prostu. W pubie zamówił drinki i nie musiał pytać Claire, czego się napije. Siedzieli naprzeciwko siebie i rozmawiali o jego ojcu, braciach, gospodarstwie. Claire opowiadała o swojej pracy. Obserwował ją, czekając, żeby coś się stało. Wydawała się roztargniona. Nie mogła usiedzieć. Zachowywała się, jakby miała jakiś sekret, który fajniej zachować niż zdradzić. Może znalazła sobie nowego faceta? Zapytała go, czy to prawda, że ma zagrać w tegorocznym przedstawieniu. Odpowiedział, że go poproszono. No to chyba nie możesz odmówić, powiedziała. Postawiła

drugą kolejkę. Dopił do połowy, bo przecież prowadził. Myślał, że zabraknie im tematów do rozmowy, ale nie zabrakło. Zapomniał już, jak łatwo mu się z nią rozmawia, kiedy się nie kłócą albo nie boczą na siebie. Znał ją dłużej niż kogokolwiek – z piaskownicy, ze szkoły, z wiosłowania po rzece, ganiań po farmie i urywania się ze szkoły na kąpiel w kamieniołomie – więc nie powinno było go to dziwić. Ich związek wydawał się tak oczywisty i naturalny, jak jego praca z braćmi na farmie. Problemy zaczęły się z narodzeniem dziecka. Byli za młodzi. Osiemnaście lat to wiek wystarczająco dojrzały na otrzymanie mieszkania komunalnego na osiedlu Close, ale na pewno nie dość dojrzały na przyjęcie odpowiedzialności rodzicielstwa. Dziecko zrobiło z nich poważnych ludzi, a nie taki mieli plan. Początkowa pomoc obu matek i mieszkańców wsi dość szybko się skończyła. Została tylko wieczna robota. Robota w gospodarstwie, robota w domu, żadnego urlopu. Po jakimś czasie umieli się już tylko kłócić. A wkrótce ona się wyprowadziła. Nauczył się żyć bez niej, więc chociaż miło się teraz siedziało, nie żałował, że ułożyło się tak, jak się ułożyło. Dopili drinki, więc zaproponował trzecią kolejkę, ale ona powiedziała, że pora iść. Jechali w milczeniu, a gdy minęli wlot doliny i wejście do starego kamieniołomu, Claire kazała mu się zatrzymać i zanim zdążył wrzucić hamulec ręczny, już go całowała. Odsunął ją delikatnie. Zapytał, co robi. Spędziliśmy miły wieczór, prawda? – odpowiedziała. I wiedziałam, że masz na to ochotę. Myślałem, że sprawa jest zamknięta, powiedział. Jej ręce sunęły w górę po jego udach. Postanowiłam ją trochę otworzyć. Przymknął oczy i potarł dłońmi twarz. Co ty sobie myślisz? Że pstrykniesz palcami i to wystarczy? Gwizdniesz, a ja przylecę? Oparła się i patrzyła mu w oczy. Tak, powiedziała. Mniej więcej tak. Wysiadła z samochodu i weszła do kamieniołomu. Nawet nie musiała się oglądać.

Coś mruknął do siebie, pokręcił głową i wysiadł, przyspieszając kroku, żeby ją dogonić.

We wrześniu drobny deszczyk, właściwie mżawka, wisiał pomiędzy drzewami w całej dolinie. Rzeka zawracała pod końskim mostem i niosła ścinki światła do jazu. Widziano zaginioną dziewczynkę spacerującą po cembrowinie zbiornika, przeskakującą po głazach falochronu, ostrożnie, żeby się nie poślizgnąć. Wyglądała beztrosko. To było określenie Irene. W świetlicy odbyło się zebranie otwarte w sprawie planów zarządu kamieniołomu, który chciał otworzyć drugi kamieniołom przy Kamiennych Siostrach, czemu wszyscy się sprzeciwiali. W miejscu, gdzie linia towarowa zakręca do cementowni, rosły dzikie jabłonie, więc w niedzielę rano, gdy pociągi nie kursowały, Winnie zeszła tam pomalutku i uzbierała cztery pełne reklamówki jabłek, a potem w domu usmażyła przejrzysty złoty dżem z dodatkiem rozmarynu. W domu Jonesa był jakiś ruch, jego siostrę zabrała karetka. To się już zdarzało. Nikt nie uważał za stosowne zadawać pytania, a Jones nie kwapił się do wyjaśnień. W tygodniu widziano, że normalnie pracuje w szkole, a siostry, gdziekolwiek była, chyba nie odwiedzał. Wieczorami przesiadywał z wędką nad młyńskim stawem. Wioślarze i skaterzy ślizgali się po nieruchomej powierzchni, a on miał spokój. Czuł, jak napięcie go opuszcza z chwilą, gdy ryby zaczynają brać. Ludzie nie mieli pojęcia. Obserwował nastolatków idących ścieżką po drugiej stronie rzeki w stronę jazu. Nieśli butelki białego cydru, które Lynsey kupiła w mieście, roz siedli się na ławkach przed herbaciarnią i pili. Sophie spytała, czy to prawda, że rodzice Jamesa się rozwodzą. James burknął: Skąd to wiesz? Nie jego sprawa. Starzy i tak już prawie z nim nie gadają. Od czasu, jak... Urwał, zapalił papierosa i spróbował zrobić deskę na krawędzi ławy piknikowej. Liam spytał, od czasu jak co. James nie

odpowiedział. Liam spytał, czy James, kurwa, płacze, czy co, a Sophie powiedziała mu, żeby się zamknął. Lynsey wyciągnęła Liama na spacer; gdy się obejrzel, Sophie siedziała koło Jamesa i obejmowała go, a James opierał skroń na jej piersi. Okazało się, że tata zaprowadził go na policję. Kazał mu tam opowiedzieć wszystko o spotkaniach z Becky Shaw. Detektyw, który z nimi rozmawiał, był ostry i powiedział, że za późno, żeby informacja Jamesa na coś się przydała. James poprosił Sophie, żeby nikomu tego nie mówiła. Na drzewach biły się gołębie. O zmierzchu nietoperze wyfrunęły pożywiać się nad wodą; gromadziły tłuszcz na zimę. W zagrodach na skraju majątku Culshawów buszowały dzikie bażanty, zwabione świeżą wodą i karmnikami. Po dwóch tygodniach siostra Jonesa wróciła do domu, a on sam zwinął wędkę.

W październiku silnie wiało; rano na ziemi leżały poprzewracane drzewa z nietkniętymi gniazdami. Z lasu niosły się parami odgłosy strzałów. Znow widziano w kilku miejscach ojca zaginionej dziewczynki, ale niektóre z tych doniesień okazały się fałszywe. Wiadomo było, że nie chodzi już w grafitowej kurtce z kapturem, ale po wzgórzach wałęsało się niemało zasepionych samotnych mężczyzn. Liczba tych doniesień stworzyła jednak obraz człowieka, który nie potrafi odejść. Chodziły słuchy, że rozwiódł się z matką dziewczynki i mniej więcej w tym samym czasie liczba doniesień wzrosła. Na brzegu zbiornika; na skraju kamieniołomu; nad rzeką koło końskiego mostu. Prawie zawsze widziano go z dużej odległości, oddalającego się. Na działkach z wolna pęczniały dynie, przełożone z wilgotnej ziemi na tafle szkła, pasiaste w niskim jesiennym słońcu. Jane Hughes wracała od Hunterów i natknęła się na Jonesa nad młyńskim stawem. Stał cierpliwie z rękami założonymi do tyłu, przygarbiony, z wyciągniętą szyją. Nie chciała mu przeszkadzać, ale mijając go,

zauważyła rozluźnienie postawy, co uznała za zgodę na swoją obecność. Przywykła do takich znaków. Stała przy nim i przez chwilę też patrzyła w wodę. Panie Jones, powiedziała. Pani pastor, odrzekł. Dobrze się pan miewa? – spytała. Kiwnął głową. A siostra? Nie odpowiedział, za to wskazał na wodę, na jakąś drobną zmianę światła, dla niej ledwo widoczną. Wystraszyła pani wszystkie, stwierdził. Naprawdę? Ja stoję w cieniu drzewa, wyjaśnił, więc im nie przeszkadzam. A pani rzuciła cień, no i dlatego. Cofnęła się skruszona od linii wody. Spojrzała na niego. Wędkuje pan dzisiaj? Nie, powiedział. Ale jakbym... Będę o tym pamiętała. Przepraszam. W koronach drzew nad nimi zatrzepotały grzywacze, woda dudniła po kamieniach. Jones dalej trzymał ręce założone z tyłu. Jest z powrotem w domu, powiedział. Tak się domyśliłam. Tu pływa masa pstrągów, objaśnił jej, jak ich nie wystraszyć. Nie widzimy jej za często, powiedziała Jane i pochyliła się nad wodą, jakby wyglądała pstrągów, dając Jonesowi szansę wypowiedzenia się bez kontaktu wzrokowego. Ona nie wychodzi z domu, powiedział. Jane czekała, ale nie usłyszała nic więcej. Musi panu być ciężko, stwierdziła. Nie za bardzo. Ona nie jest kłopotliwa. Ma pan jakąś pomoc? Poczula, jak stojący obok Jones sztywnieje, wyciągnął ręce z za pleców, poprawił zapięcie kurtki, czapkę. Odwrócił się od wody. Pogoda, oznajmił, ruchem głowy wskazując wzgórze. Tak, chyba się zanosi, przyznała. No to do widzenia, powiedział, zapalając papierosa i odchodząc ścieżką w stronę końskiego mostu. Po ściernisku na łące Thompsona spacerował myszołów, wydziobując robaki.

Wczesna mgła nadciągnęła znad rzeki, wypełniła poranek, a ulice zgęstniały od snu. W borsuczej norze na stoku ponad dalszym skrajem bukowego lasu panowała cisza. Od nory do wilgotnej ziemi pod dzikimi bzami, gdzie żyły dżdżownice, prowadziły ślady, ale wypady borsuków

trwały krótko. Drogę z lasu do nory znaczył szlak poszarpanych suchych liści i traw. Zawarto ugodę co do pieszego mostu: majątek Culshawów, rada parafialna i park narodowy podzieliły się kosztami. Zlecenie wzięli Jacksonowie i uwinęli się z robotą w trzy dni. W noc ognisk<sup>3</sup> deszcz zatrzymał ludzi w domach i chociaż ognisko zadaszono, długo nie dawało się rozpalić: dymiło i gasło na oczach grupki pod parasolami, która szyderczo wiwatowała. Pod koniec miesiąca Will Jackson zabrał Toma quadem na inspekcję owiec, których jeszcze nie sprowadzili do zagrody. Gdy już byli na górze, oznajmił synowi, że niedługo zamieszkają znów we troje. Tom pomagał akurat sprawdzać racice i na dłuższą chwilę skupił uwagę na tej, którą trzymał między kolanami. Mama już mi mówiła, powiedział w końcu. I nie masz nic przeciwko temu? To nie ode mnie zależy. Nie, ale chcemy, żebyś się zgodził. Will znalazł jednak u owcy pierwsze ślady martwicy skóry i poprosił Toma, żeby mu podał sprej. Chyba tak będzie łatwiej, niż stale się przenosić? Możemy porozmawiać o czymś innym, tato? Will przyjrzał mu się i pokiwał głową, a potem przez jakiś czas nic nie mówili. Gdy sprawdzili całe stado, przysiedli na skraju przyczepy i zapatrzyli się w dół stoku.

Niejaka Susanna Wright wprowadziła się z dziećmi do jednego z trzyosobowych pokoi w Close. Ludzi ciekawiło, jakim cudem go dostała, skoro nikt jej tu nie znał. Inni dłużej byli na liście. Nowa lokatorka szybko się przedstawiła, ale nie zdradzała, skąd jest. Akcent miała południowy. Jej piętnastoletni syn i dziesięcioletnia córka, Rohan i Ashleigh, przez pierwsze dni snuli się po wsi z ponurymi minami dzieci, które wychowały się w mieście i boją się ludzi chętnych do rozmowy z obcymi. Zastanawiano się, dlaczego Susanna Wright sprowadziła się o tej porze roku i gdzie jest ojciec dzieci, ale nikt nie zadawał tych pytań wprost. Słyszano, jak na

poczcie uskarżała się na wilgoć i Gordon Jackson odwiedził ją wkrótce z ofertą pomocy. Na drugim końcu Close Claire wprowadziła się z powrotem do Willa, który utrzymywał mieszkanie od czasu, gdy go opuściła. Odbyło się to bez specjalnych ceregieli: połowa jej rzeczy i tak cały czas leżała w szafach, a innych przybywało z każdą jej wizytą, od czasu gdy zatrzymali się przy kamieniołomie. Tom nie był pewien, czy woli ten nowy układ. Nie zdziwił się, kiedy usłyszał, jak rodzice kłócą się o firanki. Nie przypominał sobie, żeby ojciec wcześniej miał jakiegokolwiek zdanie na temat firanek. Na wszelki wypadek trzymał pod łóżkiem torbę z ciuchami, przyborami toaletowymi i podręcznikami. Tydzień przed Bożym Narodzeniem napadało przez noc tyle śniegu, że rano ludzie wykopywali się z domów szpadlami. Cała wieś rozbrzmiewała brzękiem metalu o kamień i warkotem rozgrzewanych silników samochodowych. Synowie Jacksona wysypali żwir na wzniesieniach i zakrętach szosy, ale i tak trzeba było jechać powoli, a opony piszczwały na zbitym śniegu. Wieczorem od drzwi do drzwi chodzili kolędnicy, kwestując na miejscowe hospicjum, a ich śpiew niósł się cienko w nieruchomym mroźnym powietrzu.

Richard Clark przyjechał do domu tuż po Bożym Narodzeniu i chociaż raz spotkał się z siostrami. Siedząc z nimi przy kolacji, czuł się osaczony. Mężowie i dzieci tłoczyli się przy stole, a on miał niewiele do powiedzenia. Siostry z rodzinami nocowały w przerobionych stodołach Hunterów, a gdy zegnali się na progu, poruszyły temat zdrowia matki. Była mowa o podziale odpowiedzialności. Richard usłyszał, że nie może tyle wyjeżdżać za granicę. Był najstarszy z nich trojga, ale nigdy nie dawał tego odczuć. Powiedział, że zrobi, co będzie mógł, ale jego zdaniem matka radzi sobie całkiem nieźle. Wyjaśnił, że w jego pracy nie zawsze da się wszystko



przewidzieć. Twoja praca to jedna wielka cholerna enigma, powiedziała Rachel. Przecież wiecie, czym się zajmuję, odrzekł. Zaczął po raz nie wiadomo który tłumaczyć, na czym polega praca konsultanta, ale siostry demonstracyjnie ziewały i śmiejąc się, odeszły do swoich samochodów. Na głównej ulicy panował wielki ruch. W świetlicy odbywało się przedstawienie i frekwencja znów dopisała. W tym roku była to *Lampa Aladyna*. Tony grał Wdowę i spisał się znakomicie. Deklamował swoje kwestie donośnym głosem ze śmiertelną powagą, która chwilami wydawała się nie całkiem zamierzona, a ciężki kostium nosił ze swoistym wdziękiem. Will Jackson pracował za kulisami, roli nie przyjął. Gdy publiczność po spektaklu wyszła w noc, śnieg znowu sypał gęsto. Następnego dnia Martin zatrzymał się w Harefield, żeby obejrzeć nowy sklepik Ruth. Zdziwiła się na jego widok. Jechał wprawdzie do nowej pracy w mieście, ale Harefield było mu nie po drodze. Spytała, jak się miewa; powiedział, że okej. W sklepie było dużo świeżych produktów w wiklinowych koszach, nad kontuarem-chłodnią wisały pęki kielbas, pachniało mocno kawą. Było wiele rodzajów oliwy. Na widok cen Martin nie mógł uwierzyć, że ludzie naprawdę tyle płacą, ale gdy spytał, jak idzie interes, Ruth odpowiedziała, że aż by się zdziwił, tak dobrze. Ludzie, wyjaśniła mu, ograniczyli wydatki na samochody i wakacje za granicą, a resztki oszczędności wydają właśnie w takich sklepach. Ludzie lubią sprawiać sobie luksusowe przyjemności. Nie był pewien, czy to nie jakaś aluzja, ale dał spokój. Nakłócili się już w życiu. Teraz było po wszystkim. Ucieszył się po prostu, że u niej wszystko dobrze. Do pracy jechał tak szybko, że ledwo wyrobił się na ostatnim zakręcie, zaparkował ukosem na dwóch miejscach i podbił kartę tuż przed rozpoczęciem swojej zmiany. Gdyby potrzebował pieprzonej lekcji ekonomii, to by o nią poprosił.

## 4

O północy, z nastaniem nowego roku, u Hunterów wystrzelono fajerwerki. Huk poniósł się znenacka aż do świetlicy i przez chwilę ludzie nie wiedzieli, co się dzieje. Zawołano Irene z kuchni, żeby wzięła Andrew do domu, bo jest zaniepokojony. Na najbliższej radzie parafialnej poproszono Hunterów, żeby tego więcej nie robili. W pierwszym dniu nowego semestru Rohan Wright wsiadł do szkolnego autobusu z Liamem, Jamesem, Lynsey i Sophie. Widywali go we wsi, ale jeszcze z nim nie rozmawiali. Przywitali się i powiedział, jak ma na imię. Zapytali, skąd się przeprowadził, odpowiedział, że z południowego Londynu. Liam spytał, czy jego mama jest hipiską i czy zorganizuje we wsi kurs jogi, ale koledzy kazali mu się zamknąć. Zna Jurija Gagarina i w ogóle. Zabrzmiało to tak bezsensownie, że nikt nie wiedział, co dalej powiedzieć. No wiecie, wyjaśnił bałamutnie Rohan. Wygina łyżki siłą woli. Twoja mama przegina, powiedziała Lynsey, a James przybił jej piątkę. Autobus skręcił na główną szosę i minął sklep z artykułami rolniczymi rodziców Lynsey, a oni już przez całą dalszą drogę wypytywali Rohana o poprzednią szkołę. Cathy Harris minęła się z autobusem, jadąc w przeciwną stronę, a dotarwszy do drzwi pana Wilsona, zapukała i spytała, czy nie trzeba wyprowadzić Nelsona. Pan Wilson odpowiedział, że z nieba mu spadła, ale może

najpierw napije się herbaty. Taki mieli rytuał, żeby układ wyglądał na tymczasowy, chociaż w rzeczywistości Cathy od lat wyprowadzała Nelsona prawie co rano. Kontuzja biodra nie pozwalała panu Wilsonowi nawet podejść na górę do sklepu, a co dopiero biegać przez godzinę z Nelsonem. Bardzo chętnie, odpowiedziała, przygotowując się na impet powitalnego skoku Nelsona. Pan Wilson zamknął drzwi i wolno poczłapał do czajnika. Ktoś pospychał z cokołów Milenijne Kamienie Młyńskie i naprawę pomnika zlecono Seanowi Hooperowi. Przy końskim moście czapła brodziła w błocie na brzegu rzeki, nienaturalnie zadzierając nogi i kiwając głową. Zatrzymała się, upozowała i zapatrzyła w wodę.

W lutym nie było śniegu, ale chwycił mróz. Ruth dostała kartkę na walentynki i domyśliła się, że to od Martina. Przy zbiorniku nr 7 ekipa konserwatorska sprawdzała wystawioną pod nurt fasadę tamy, wypatrując śladów erozji na jej szczycie. Płytkie kałuże przy drodze pokrywał spękany lód. Susanna Wright poprowadziła w świetlicy pierwsze zajęcia z jogi. Przyszły tylko trzy osoby, a ponieważ w sali było za zimno, Susanna poświęciła całą sesję na wykład o tym, czym joga jest, a czym nie jest. Obiecała porozmawiać z dozorcą o ogrzewaniu i zapytała o jego nazwisko. Władze miasta przysłały ekipę do oczyszczenia starego kamieniołomu przy szosie. Dwa spalone samochody działały jak zielone światło dla chętnych do wyrzucania śmieci na dziko – trzeba było aż trzech ciężarówek, żeby wszystko usunąć. Skąd się wzięło tyle rupiecia? – spytał Martin Tony’ego. Obserwowali operację z klifu nad kamieniołomem. Mnie bardziej ciekawi, gdzie to wszystko wywiozą, powiedział Tony. Po prostu walną do innego dołu. Mogliby równie dobrze zostawić tutaj. Poczekać, aż kamieniołom całkiem zapełni się śmieciami i zasypać wszystko ziemią. Posadzić pierdolone drzewka i po robocie. W górze krążyły mewy i gawrony. Jones

towarzyszył ekipie oczyszczania, ale nie miał nic do powiedzenia. Martin udał się szosą do roboty. Zatrudnił się w dziale mięsnym nowego supermarketu. Nie chwalił się tym, ale ludzie szybko się dowiedzieli. Przecież wszyscy robili tam zakupy. To już było dno upokorzenia po Brusie, sklepie i Ruth. Ale godziny mu odpowiadały, a pensja, chociaż niewygórowana, oznaczała więcej forsy w kieszeni, niż miał kiedykolwiek, prowadząc własny sklep. Dano mu pasiasty fartuch i przypinkę z napisem „Mistrz masarski”, chociaż rzeźnictwem się nie zajmował. Mięso dostawał już pocięte i miał je po prostu podawać klientom. Nie używał nawet swojego kompletu dobrych noży. Leżały zamknięte w jego dawnym sklepie, a pryszczaty młody kutas z banku nie pozwalał mu ich zabrać. Pracował w supermarkecie już trzy miesiące i szef powiedział mu, że skarg na niego nie było, ale mógłby nawiązywać żywszy kontakt z klientami. Martin obiecał, że o tym pomyśli i wyszedł na rampę, żeby zapalić, a przy okazji kopnąć w ścianę pustych skrzynek. Słońce zaszło około wpół do piątej, a ciemno zrobiło się nawet wcześniej, bo wysokie wrzosowiska i zbierające się chmury przysłoniły mętne światło.

Pogoda była wietrzna i gałęzie sykomor z działek lądowały na dachu domu Tuckera, stojącego po sąsiedzku z domem Jonesa. Dom Tuckera był pusty od siedmiu lat. Jego sprzedaż hamował jakiś spór prawny, ale nikt nie wiedział, o co chodzi i kto w tym uczestniczy. Jones wspiął się po drabinie i pościągał gałęzie. Sprawdził dachówki. Jego siostra przyglądała się temu od progu. Takie rzeczy budziły w niej niepokój. Wypytywała potem o nie wielokrotnie, dopóki sprawa nie została definitywnie wyjaśniona. Jones zapewnił ją, że dachówki są w porządku i odstawił drabinę. Weszła z powrotem do domu. Grzywacze budowały gniazda na drzewach nad rzeką. Zdawało się, że cienka plecionka z patyków nie utrzyma solidnego

ptaka. Ale ptaki, powtarzano, wiedzą, co robią. Coopera widziano ślęczącego nad pismem do późna w nocy, znowu gonił go termin. Cooper lubił te ostatnie godziny pracy pod presją. Przypominało mu się, jak przed laty pracował w „Timesie”, zanim przeniósł się tutaj robić prasę dla parku narodowego. Teraz miał to samo poczucie pospiesznej precyzji w sytuacji, gdy była tylko jedna szansa przejrzenia całości. Oczywiście istniały też różnice. Przede wszystkim teraz terminy to wyłącznie kwestia jego honoru. No i był sam w redakcji, czyli nie miał kogo posłać po kawę po złożeniu numeru. W redakcji panowała autentyczna cisza. Z góry słyszał tupot małych stóp, przemieszczających się z jednego końca mieszkania w drugi, i stłumiony głos Su, która próbowała włożyć synkom piżamki. Jej głos zdradzał zmęczenie i Cooper zapragnął pójść na górę i ją zastąpić. Ale wiedział, że to nic nie da, a Su nawet nie podziękuje. Od jakiegoś czasu nie była w nastroju do dziękowania mu za cokolwiek. Austinowi zdawało się, że wszystko robi źle. Za dużo albo za mało. Su zawaliła coś w pracy i wysłali ją na bezpłatny urlop. Wyniki jej pracy w domu nie zadowalały szefów, o co miała pretensje do męża. Małe dzieci to ciągły stres. Rozumiał to. W końcu minie. Wydrukował ostatnie szczotki i pochylił się nad nimi z czerwonym piórem w pogotowiu. Na dworze wiatr targał drzewa. W iglakach nad zbiornikiem nr 5 para myszołowów odbudowywała zeszłoroczne gniazdo, wplatając w nie patyczki i wyściełając płaskie zagłębienie chrustem i trawą.

Do kwietnia pokazały się wszystkie jaskółki i turyści powrócili na wzgórze. W gniazdach czapli na wysokich drzewach nad kamieniołomem rozlegał się bezustanny trzepot skrzydeł. Nastąpiła noc. Na działkach otworzyli już na nowy sezon dopływ wody i Clive pierwszy podłączył do kranu gumowego węża, z którego trysnęła srebrzysta woda, wsiąkając

w rozpadliny. W kamieniołomach znowu wysadzali skały, ale wszyscy zignorowali wycie pierwszej syreny. Gdy po kilku minutach zawyła druga, gospodyni zaczęła pospiesznie ściągać rozwieszane na sznurach pranie. Na dźwięk trzeciej syreny ptaki zerwały się z drzew rosnących w kamieniołomie i rozproszyły się po niebie. Po chwili martwej ciszy ziemię wstrząsnął głuchy huk i zaraz umilkł. Na pierwszy sygnał odwołania alarmu ptaki powróciły na drzewa. Na drugi sygnał do pracy wrócili robotnicy z kamieniołomu. We wsi przez parę godzin trzymano okna zamknięte, dopóki pył nie osiadł. Strażnik wodny spuścił do wody z mostu dla pieszych przy jazie skrzynkę z fiolkami na próbki. Zawsze w tym samym miejscu, o tej samej porze, tego samego dnia miesiąca. Tymczasem zauważył dwóch gości, którzy najwyraźniej szukali sobie miejsca do wędkowania i postanowił się z nimi rozmówić. Po drodze minął Irene idącą do kościoła z dwiema torbami kwiatów. Gdy weszła do zakrystii, usłyszała śpiew, który towarzyszył jej przy szykowaniu wazonów. Nie знаła się na tym, ale był to chyba śpiew co się zowie. Dopiero po dłuższej chwili rozpoznała głos pani pastor, która nigdy nie śpiewała na porannych nabożeństwach. Irene nie znała tej melodii i ledwo rozróżniała słowa, ale było w tym śpiewie coś frapującego. Wysokie, jasne okna, kurz wirujący w powietrzu i woń pasty do mebli – Irene stała z naręczem kwiatów i bała się poruszyć. W kamieniołomie zawyła syrena i śpiew się urwał. Pod koniec miesiąca odbył się bal wiosenny na rzecz Amnesty – sprawa kontrowersyjna dla tych, którzy uważali, że nie należy mieszać do tego polityki, a jednak Jane Hughes przeforsowała swój zamiar. Ustalono tylko, że nie będzie żadnego rozdawania ulotek, żeby nie psuć nastroju. Niektórych ta retoryka zniechęca, powiedział na zebraniu Clive. Jego uwagę starannie zaprotokołowano. W pubie Gladstone’a policja dała wykład o prewencji zbrodni, a gdy wszyscy go słuchali, ktoś ukradł

przyczepę do transportu bydła, zostawioną przez Jacksonów na górnej drodze. Niektórym wydało się to śmieszne, ale szybko przywołano ich do porządku.

Geoff Simmons ukończył w pracowni nową partię garnków. Wczorajsze dosychały powoli w głębi warsztatu, a piec zaczynał się rozgrzewać. Geoff wcisnął kulę gliny na miękkie koło i przesunął ją bliżej krawędzi. Whippet spał w plamie słońca. Geoff formował dłońmi wirującą glinę, nadając jej kształt naczynia. Ścianka robiła się coraz cieńsza pod jego palcami. Na jej powierzchni znaczyły się kręgi, a z koła wypływała woda. Te ruchy miały w sobie lata wyuczonej mądrości. Tego nie da się pokazać. Siła dotyku była dokładnie wymierzona, to dzięki niej z gliny wyrastało naczynie. Geoff zwolnił obroty koła i uformował górną krawędź. Lubił, żeby była falista i lekko zawinięta. Klienci pytali czasem, czy to wazonik, czy czarka do picia, ale on odpowiadał tylko, że to naczynie. Zarzucano mu, że jest gburowaty. Whippet na dywaniku przebierał przez sen tylnymi łapami, bo śniła mu się gonitwa po polu. W kamieniołomie przy szosie znów parzyły się małe czerwończyki. Pod stropami stodół jaskółki wysiadywały jaja; białe, cętkowane na czerwono jajeczka grzały się pod nastroszonym puchem matczyńskich brzuszków. W lesie nad rzeką zakwitła masa hiacyntowców. Glinę do dekoracji studni wykopano z podmokłego krańca ziemi Huntera i przewieziono do świetlicy. Mężczyźni udeptali ją w blaszanym cebrzyku, do którego Irene dolewała wody, aż uznała, że konsystencja jest należyta. Gdy to skończyli, Gordon Jackson wrócił do domu Hunterów i zapytał Jess, czy ma ochotę na przejażdżkę. Już wcześniej była o tym mowa. Jess chciała obejrzeć wzniesienie nad zbiornikiem nr 9, gdzie miały stanąć turbiny wiatrowe. Mówiła, że ma w związku z tym pewne wątpliwości. Gordon podejrzewał jednak, że

chodzi jej o coś innego. Stuarda Huntera nie było w domu. Jess akurat coś piekła, więc poprosiła Gordona, żeby poczekał, aż doprowadzi się do ładu. Wyszukiwała się i wsiadła z Gordonem do land rovera, którym, mijając centrum turystyczne, wyjechali na drogę wiodącą na grań. Gordon miał klucz od bramy. W drodze były głębokie koleiny, więc Jess kilka razy podskoczyła na siedzeniu, aż zaśmiała się z zażenowaniem, przytrzymując się ramienia Gordona. Kontakt wzrokowy, uważna cisza. Zawsze ten sam schemat, ale nigdy rutyna. Tak było z nimi już od jakiegoś czasu. Na szczycie wzgórza stanęli oboje przy land roverze i on pozwolił jej pomyśleć, że pierwszy pocałunek to był jej pomysł. Przed wyjazdem wyszorował paznokcie. Dużo mówiła i nie wstydziła się tego, co robią. Chciała, żeby na nią patrzył, a on się nie spieszył. Potem zastanawiał się, czy może chociaż ten jeden raz znaczyło to dla niej coś więcej, ale po sposobie, w jaki zapięła bluzkę, poznał, że jednak nie. On dopiero łapał oddech, a ona już chciała wracać. Uraczyła go takim uśmiechem, że omal nie usiadł. Ciekawiło go, ile betonu pochłoną fundamenty elektrowni wiatrowej i czy zbudują nową drogę dla betoniarek.

Sophie Hunter i Lynsey Smith pojechały do miasta na imprezę i dały plamę z powrotem do domu. Na taksówkę im zabrakło, więc postanowiły wrócić pieszo. Do przejścia miały tylko sześć i pół kilometra, ale po ciemku skręciły w lesie w złą stronę. Przez chwilę wydawało im się to zabawne, ale potem wystraszyły się tego, co je czeka w domu. Wiesz, jak mój tata reaguje na spóźnienia, powiedziała Sophie. I na pewno już dzwonił na policję. Nie tylko twój, odrzekła Lynsey, wszyscy tacy są. Lynsey niosła buty w rękę i błoto wciskało jej się między palce stóp. Zobaczyły światła samochodowe i skierowały się ku szosie. Nie przejmowałabym się, gdyby to nie była taka gówniana impreza, powiedziała Sophie. Spróbowała się



roześmiać, ale usłyszała, że Lynsey płacze. Zawróciła i wzięła ją za rękę. Po ciemku ledwo widziała jej twarz. Już niedaleko, daj spokój. Sophie, cholera jasna, Sophie. Tak się ucieszą na nasz widok, że zapomną o awanturze. Daj spokój. Bardzo bym chciała. Lynsey, przestań. Chciałabym tylko wiedzieć, co się z nią stało. Jezu, Lynsey, ty znowu o tym? Daj se spokój. Wyszły na szosę koło cementowni i bez słowa zaczęły się wspinać pod górę do wsi. Czwartym mijającym je samochodem kierował Mike Jackson, który je podwiózł. Obie za karę dwa tygodnie siedziały w domu, a potem dostały telefony komórkowe, ufundowane przez rodziców Sophie i przeznaczone tylko do sytuacji awaryjnych. Olivia też natychmiast zażądała telefonu, ale usłyszała, że jest za młoda. Jess Hunter kazała Sophie przez dwa tygodnie pomagać Irene w sprzątanii przerobionych stodół, a Irene dała jej do wiwatu. Traktowała swoje zajęcie poważnie. Pracowała szybko, ale nie po łebkach. Ludzie zatrudniali ją do sprząkania, bo wiedzieli, że nie trzeba po niej sprawdzać. To samo miała w domu. Ted wymagał jednego: żeby dom wyglądał przyzwoicie. Kto znał Teda, ten wiedział, że to jak na niego ostre słowa. Sam nie bardzo umiał zadbać o porządek, znosił tylko brud na ubraniu i butach. A jaką wannę zostawiał, kiedy kąpał się po tygodniu pracy w kamieniołomie! Jakby w niej ktoś mieszał cement. Tak było. Ted pracował poza domem, a Irene w domu. Sprawiedliwy podział ról. Do tego jej dochodził jeszcze Andrew. Gdy budził się w nocy, jasne było, że wstanie do niego matka. Ted był od niej o prawie dziesięć lat starszy, za stary na takie atrakcje. Irene miała prawie czterdzieści lat, gdy urodził się Andrew; czasami sama się zastanawiała, skąd bierze tyle energii. Kiedy syn dostawał ataku, Ted miał prawo nie wstawać ze swojego fotela. Nie ustalali tego. On lubił w domu ciszę i czystość. To chyba niezbyt wygórowane wymagania. Teraz, gdy go zabrakło, Irene miała więcej czasu na sprząkanie po ludziach we wsi. Znała

się na sprzątaniu. Skończyła pracę i poszła do domu dłuższą drogą, przez wyższe pola za domem Jacksona i przez rynek. Miała jeszcze trochę czasu do powrotu Andrew. Spieczona miedza rozcinała połacie dojrzewających traw. Irene czuła słońce na ramionach. Spojrzała w górę na wrzosowiska. Lata minęły od przesunięcia szlaku Greystone, a wciąż widać tam było głęboko wydeptaną przez owce ścieżkę, którą obierali niektórzy turyści: rozszerzała się stopniowo, bo ludzie, żeby ominąć najgłębsze błoto, rozdeptywali pobocza. No i co robić. Fruwały motyle. Kwiczoły odleciały na chłodną północ wychowywać młode.

W lipcu Will i Claire wzięli ślub. Kościół wypełnił się ludźmi, którzy ich znali od dziecka. Przywieziony na wózku inwalidzkim Jackson był w nowym garniturze, który sobie kupił, gdy zmienił rozmiar. Przyjęcie odbyło się u Gladstone'a, a tańce w świetlicy. Widziano, jak Gordon Jackson tańczy z Susanną Wright, ale nie wyglądało to na coś poważniejszego. Susanna i jej dzieci wrosli w pejzaż wsi. Susanna pracowała społecznie w przedszkolu i dalej prowadziła lekcje jogi. Kupiła sobie działkę i zapisała się do grupy teatralnej. Jej syn Rohan, pomimo zmiany szkoły, przyzwoicie ukończył gimnazjum i romansował z Lynsey Smith. Widziano ich spacerujących nad rzeką albo w buczynie, ale najczęściej przesiadywali pod wiatą przystanku autobusowego przy boisku krykietowym i całowali się bez opamiętania. Żartowano sobie z nich u Gladstone'a i nawet Susanna czekała tylko, kiedy znajdą sobie jakieś ustronne miejsce. Na wszelki wypadek już dawno włożyła synowi do portfela prezerwatywę. Ashleigh znalazła sobie koleżanki w szkole, ale we wsi jej jedyną rówieśniczką była Olivia Hunter. Dużo czasu spędzała przed komputerem. Na działkach Martin siedział na ławce w głębi swojego ogródka. To była teraz działka Ruth, ale ona nie miała nic przeciwko temu,

żeby tam sobie czasem posiedział. W pojedynkę prowadziła ogród lepiej niż do spółki z Martinem. Martin chętnie to przyznawał. To coś znaczyło. Mówiło coś o nich dwojgu. A może Ruth miała jakąś pomoc. Od kogoś, o kim Martin nie wiedział. Mogło być i tak. I to od samego początku. Może wszyscy patrzą teraz na niego – pan Wilson znad szparagów, Clive z za kupy kompostu – i litują się nad nim, że nic nie wie. Zdawał sobie sprawę, że takie myślenie nie pomaga. Ostrzegano go przed tym. Znał sposoby, żeby tego uniknąć. Wyprostował grzbiet, podniósł głowę i zrobił z siebie większe naczynie na trudne uczucia. Wyjrzał poza siebie i wchłonał inne obserwacje zmysłowe. Nazywał po imieniu rośliny, które widział. Agrest, truskawki i porzeczki, słodka kukurydza, kabaczki i fasola, nasturcje i margerytki, goździk, słodki groszek, szpinak, sałata, jarmuż. Pokrzywy, trybuła, osty, powój. Co za ogrodnik z tego właściciela, że zostawił tyle chwastów. Martin wyjął korek z dna beczki na deszczówkę i poszedł drogą w dół. Znowu spróbował treningu uważności, ale głównie uważał, że trzeba się napić. Przy Kamiennych Siostrach widziano namioty i rozeszły się plotki, że jakaś grupa obrońców przyrody protestuje tam przeciwko otwarciu nowego kamieniołomu. Wieczorem, kiedy słońce ogrzewało jeszcze trawę, Les Thompson obszedł swoje pola. Trawy już kwitły, na następny dzień przewidziano koszenie. W bukowym lesie lisięta zostały wyprowadzone z nor i uczyły się samodzielnie szukać pożywienia. Na szczycie wrzosowiska, w rozpadlinie, znaleziono białą bluzę z kapturem, zatłuszczoną smolistobrązowym torfem i wystrzępioną przy szwach. Matka zaginionej dziewczynki potwierdziła markę i fason. Badania sądowe trwały tygodniami i nie doprowadziły do żadnych wniosków. Miejsce znalezienia bluzy gruntownie przeszukano, ale nie natrafiono na nic więcej.

Wiadomo było, że Sophie Hunter i James Broad mają się ku sobie. Takiego określenia użył, bez ironii, Stuart Hunter. Powszechnie uważano, że się pobiorą i dopiero po kilku tygodniach zauważono, że coś iskrzy między nimi. Któregoś popołudnia młodzi siedzieli w pokoju z kinem domowym u Sophie, jej rodziców nie było. Sophie powiedziała Jamesowi, że nie chciałyby, żeby źle ją zrozumiał, ale czasem czuje się z nim tak, jakby całowała się z bratem. James odparł jej na to, że przecież nie ma brata, na co mu odpowiedziała, że nie o to chodzi. Nie był zły. Właściwie mu ulżyło. Powiedział jej, że kiedy się całują, on nie ma wrażenia, że całuje swoją siostrę, tylko raczej jej matkę. Spytała, ile razy całował się z jej matką, na co odparł, że wiele. To kobieta wyzwolona, oznajmił, a Sophie stwierdziła, że jest obrzydliwy. Trzeba człowieka, żeby poznać człowieka, podsumował. Wciąż siedzieli przytuleni i chociaż wiedzieli, do czego zmierza ta rozmowa, nie spieszyli się do rozstania. James jeszcze raz pocałował Sophie, bardzo delikatnie, i pokręcił głową. W przedszkolu biegaliśmy na golasa, powiedział, ale teraz wstydzę się patrzeć na ciebie nagą. Ludzie będą rozczarowani, odrzekła. Kapitan drużyny rugby i przewodnicząca samorządu szkolnego? Mieliśmy być parą z bajki. To koniec? – spytał. Chyba tak, potwierdziła. To cię nie martwi, prawda? Kiwnął głową. Wiesz, powiedziała, moich rodziców nie będzie jeszcze parę godzin. Patrząc mu w oczy, rozpięła bluzkę. No wiesz, to dziwne, oświadczył. Zmienił pozycję na kanapie. Ale jak chcesz. Sięgnęła do guzika jego dzinsów i znów pocałowali się pospiesznie. Ściągnęli tylko tyle ubrań, ile wymaga seks. James doszedł szybko, z krzykiem i westchnieniem, a ona jeszcze chwilę siedziała na nim okrakiem, głaszcząc go po policzku i zapewniając, że zawsze będą przyjaciółmi. Gdy już się ubrali, powiedziała mu jakby nigdy nic, jakby właśnie się jej przypomniało, że Lynsey ma na niego oko, więc powinien kiedyś o tym pomyśleć. Pokręcił głową

i mruknął, że jest niegodziwa. Spytała, co za problem. Przecież ona nawet nie była z nami w przedszkolu, powiedziała. W przeciwnym razie byłoby inaczej. Dopiął dzinsy i sięgnął po pilota od telewizora. Możesz wybrać, powiedział. Drużyna krykieta wyjechała do Cardwell na doroczny mecz, ale okazało się, że tamci zebrali zaledwie ośmiu zawodników. Wywiązała się dyskusja, czy mecz w ogóle ma się odbyć, a gdy się jednak odbył, wynikiem był z trudem wywalczony remis. Martin zniknął na tydzień i wrócił kulejąc, z przypaleniami po papierosach na wierzchach dłoni. Woods miał lepszą pamięć, niż można się było spodziewać, odparł krótko na indagacje Tony'ego.

Pan Wilson mieszkał drzwi w drzwi z Cathy Harris, zajmując jeden z domków po dawnych pracownikach młyna na końcu uliczki przy boisku krykietowym. Sprowadził się w te okolice jako młody chłopak, do pracy przy nowo powstałych zbiornikach wodnych na wzgórzach ponad wsią. Jean poznał w kreślarni, pobrali się po roku i już razem wprowadzili się do tego domku. Gdy Cathy zapukała do drzwi z pytaniem, czy nie zabrać Nelsona na spacer, pan Wilson jak zwykle zaprosił ją na herbatę. Nelson ganiał w kółko po salonie; Cathy schyliła się, żeby go podrapać za uchem. Uniósł łeb i zastygł na chwilę w bezruchu, akurat gdy pan Wilson wnosił herbatę. Szedł powoli, bo wiek, a szczególnie biodro, dawały mu się we znaki, ale Cathy pamiętała, że zawsze wszystko robił z niespieszną precyzją. Nie mogła go sobie wyobrazić biegnącego do autobusu. Nigdy chyba nie grał w wioskowej drużynie krykieta, chociaż udzielał się na meczach jako sędzia. Do emerytury, na którą przeszedł przed pięciu laty, był przez większą część życia inżynierem w wodociągach, zajmował się zbiornikami i uzdatnianiem wody. Był dumny z technicznej doskonałości urządzeń i znał się świetnie na ich działaniu. Jego opinie na temat

butelkowanej wody wszyscy świetnie znali. Był wysoki i miał długie kończyny, które starannie układał, gdy coś mówił. Cathy nigdy nie widziała go bez krawata, chociaż ostatnio zamienił marynarki na kardigany. Znowu upiekłem daktylowe ciasteczka, powiedział, siadając i wygładzając załomki na spodniach po założeniu nogi na nogę. W ogrodzie para kosów pożywiała się zgodnie na głogu; ich młode dawno wyfrunęły z gniazda. Pogoda była kiepska, a dni coraz krótsze. W kościele przysłała na Maisie Jackson kolej wykonania dekoracji dożynkowej: do zwyczajowych kwiatów, zbóż i kabaczków dołączyła kłęb niemytej owczej wełny, co wzbudziło komentarze za jej plecami. Tarninowe żywopłoty przy drodze do gospodarstwa Thompsona stały nietknięte sekatorem. Pod koniec września były ciężkie od owoców; w rześkim powietrzu czarne kulki przybrały przydymiony niebieskawy odcień. Miejsce było uczęszczane, więc większość owoców szybko została oberwana i zamrożona dla nabrania słodyczy, a potem w odpowiednim czasie lądowała z hurgotem w gąsiorkach, zasypana cukrem i zalana dżinem. Frank Parker na zebraniu rady parafialnej przedstawił raport o utrzymaniu pobocza. Przygotowanie tego raportu zajęło mu rok. Podziękowano mu za pracę, a jego wniosek – że troska o pobocze powinna objąć całą wieś – został sumiennie zaprotokołowany. Rodzice Jamesa Broada w końcu się rozstali i jego ojciec przeprowadził się do miasta. Jaskółki odleciały. Na pierwszych w tym semestrze zajęciach Towarzystwa Szkolenia Pracowników powstało małe zamieszanie, bo nauczyciel księgowości przyniósł torbę odzieży ochronnej i pokazowy ul.

Mnożyły się wątpliwości co do tego, czy Su Cooper radzi sobie z bliźniakami. Któregoś ranka zjawiała się z nimi w przedszkolu dopiero w trakcie sprzątnięcia zabawek przed śniadaniem. Musiała odblokować

dwuskrzydłowe drzwi świetlicy, żeby przejechać przez nie podwójnym wózkiem, cofając go o jeden schodek. Gdy już wstawiła wózek do kąta i obróciła się twarzą do sali, zorientowała się nareszcie, że się spóźniła. Lee zaraz ruszył do szafy z zabawkami i zaczął wyciągać autka, zanim zdążyła do niego podbiec i wytłumaczyć mu, że nie wolno. Większość rodziców już zostawiła dzieci i poszła. Susanna Wright zapewniła Su, że jej synkowie mogą pobawić się chwilę paroma autkami, dopóki trwa sprzątanie, więc Lee, pomimo protestów matki, wyciągnął dwa samochodziki, jeden dla siebie, drugi dla Sama. Zrobię ci kawy, powiedziała Susanna, dotykając ramienia Su. Su zawahała się i lekko cofnęła. Herbaty, poprosiła. Susanna kiwnęła głową i poprowadziła ją do kuchenki. Su zatrzymała się w drzwiach, nie spuszczać synków z oka. Zderzali autka z wielkim impetem, piszcząc z emocji. Susanna powiedziała Su, że zaraz będą grzanki. Rozumiem, że śniadanie jadłaś dawno temu, dodała z uśmiechem, a gdy Su się nie odezwała, rozgadała się o tym, jak Rohan był mały, a ona musiała wyjść rano z domu i po powrocie znalazła brudne pieluchy, rozwleczone jedzenie i oderwane kółko od wózka. No a jak wreszcie doszłam na przystanek, ktoś zwrócił mi uwagę, że włożyłam sukienkę na lewą stronę, i wtedy się poryczałam, zakończyła ze śmiechem, smarując grzankę masłem i podając Su przez stół. Su uśmiechnęła się niemrawo. Musiało ci być ciężko samej, powiedziała. Ależ nie byłam wtedy sama, zaprzeczyła Susanna. Jak zostałam sama, zrobiło się dużo łatwiej. Bliźniacy walili teraz autkami o ścianę. Zawsze jest ciężko, powiedziała cicho Susanna. A z bliźniętami na pewno podwójnie. Ludzie to rozumieją, nikt cię nie krytykuje. Wszyscy wiedzą, że świetnie ci idzie, okej? Sięgnęła przez blat i dotknęła ręki Su, a ta znowu lekko się cofnęła. Miała suche oczy, zaciśnięte usta i sztywność w ruchach. Proszę cię, powiedziała.

W noc ognisk Irene i Winnie zebrały grupę pań z koła gospodyń i otworzyły jadłodajnię w pawilonie krykietowym. Serwowały pieczone ziemniaki z chilli, a dzieciaki wtykały w ognisko pianki cukrowe na długich patykach. Noc była sucha, więc ognisko buzowało wysoko, w pewnym momencie aż po czubek kasztanowca. Z dala od tłumu Lynsey i Sophie rozpijały butelkę wina, wygłaszając sarkastyczne komentarze na temat fajerwerków. Sophie spytała Lynsey, co właściwie nie wyszło z Rohanem, a Lynsey odpowiedziała, że to trudno wytłumaczyć. Sama nie była pewna, które z nich zerwało. Pokłócili się parę razy, a potem po prostu przestali się spotykać. Ale on ci się podobał, powiedziała Sophie, a Lynsey przyznała, że nawet bardzo, tylko że czasami bywa trochę... Urwała. Sophie patrzyła na nią wyczekująco w blasku ogniska. No wiesz, powiedziała Lynsey. Zbyt troskliwy. Bez przerwy coś dla mnie robił. Dosłownie bez przerwy. Z początku to było miłe. Całkiem odwrotnie niż w domu. Ale zachowywał się tak, jakby musiał mnie przed wszystkim chronić. Ciągłe się dopytywał, co robię. Stale miał tak kurewsko zatroskaną minę, rozumiesz? Zademonstrowała zatroskaną minę, a Sophie się roześmiała. Można się zrazić do zmarszczonego czoła, powiedziała Lynsey, a Sophie zapytała ją, czy rzuciła Rohana z powodu zmarszczonego czoła, na co Lynsey odpowiedziała, że wcale go nie rzuciła. Próbowала z nim rozmawiać, ale on po prostu nie kumał. Nawet kłócić się nie umiał. W każdym razie to koniec. Po sprawie. Sophie spytała, czy Rohan dobrze to zniósł, na co Lynsey odpowiedziała, że chyba tak, chociaż nie jest pewna. To może trzeba go pocieszyć? – spytała Sophie, a Lynsey zrobiła zgorszona minę. Nie wygłupiaj się, powiedziała. Kiedy on jest fajny, oznajmiła Sophie, ma piękne czoło. Ich krzyki słychać było z daleka, gdy szły w stronę szosy. Ognisko zaczynało dogasać, a tłum się przeredzał. Chmury stały wysoko, noc była zimna, ale żar ogniska dymił jeszcze nad ranem. Jedenastego pod



pomnikiem lotników złożono wieniec z maków, były przemówienia. Tylko nieliczni we wsi pamiętali jeszcze, jak ciężki bombowiec spadł na wrzosowisko z rykiem, który rozniósł się na całą dolinę, a smród palonej smoły wisiał w powietrzu przez wiele dni. Szkielet kadłuba połyskiwał srebrzyście na tle wrzosów, oczyszczony wiatrem i deszczem jak owcze kości.

Jane Hughes zaczęła regularnie wpadać do Jacksonów. Przeważnie gawędziła z Maisie o pracy na farmie i o rodzinie, ale zawsze na koniec wizyty zaglądała do Jacksona, żeby się z nim przywitać. Nigdy nawet nie przyniosła Biblii, mówiła Maisie do Irene. Mnie się zdaje, że robi to tylko dla zabicia czasu. Jackson zaczął się nawet o nią dopytywać, chociaż przy niej się prawie nie odzywa. Ale niech jej się nie zdaje, że zaczniemy oglądać *Songs of Praise*. Maisie nie powiedziała Irene, że za ostatnim razem podejrziała, jak Jane kładzie ręce na czole Jacksona i odmawia jakąś modlitwę, a Jackson jakby z aprobatą zamyka oczy. Zamyśliła się: ileż to rzeczy, o których ona nie ma pojęcia, dzieje się w głowie tego mężczyzny. Na działkach niewiele już zostało do zebrania poza pierwszymi delikatnymi główkami brukselki. Ucichły borsuki w bukowym lesie. Leżały nieruchomo w głębokich norach, czekając aż zima przeminie. Chmury wisiały nisko i padał deszcz, nasiąkłe pola burzyły się pod siłą ulewy, a niebo było ciemne od rana do nocy. Rzeka przeciskała się pod końskim mostem i niosła swój wzbierający impet do jazu. Zbiorniki były przepełnione, woda przelewała się przez krawędzie i kaskadami spływała po stopniach do przepustów, które ją zasysały przez podstawę tamy. Ojca zaginionej dziewczynki nie widziano od roku. Gazety donosiły, że zszedł się z powrotem z matką dziewczynki. Nie można powiedzieć, żeby tęskniono za jego mroczną obecnością. Pod koniec miesiąca spadł śnieg

i Jacksonowie wyszli na wzgórze szukać owiec. Na tyłach quadów wieźli worki paszy i pościgali stada na niższe łąki. Jeszcze nie było strat, ale mogło do nich dojść, gdyby pogoda się utrzymała. W szkole w ostatnim dniu przed feriami odbyło się kolędowanie; w obwieszonej ozdobami auli wyświetlano słowa pieśni na ekranie i rodzice przycupnięci na małych krzeselkach dołączyli do chóru, a tymczasem niebo na zewnątrz ciemniało i pogoda znowu się psuła. „Gdy pasterze nocą owiec pilnowali”, śpiewali wszyscy, popatrując przez okna na wrzosowiska, „na ziemi siedząc wszyscy wraz”.

Zaginiona dziewczynka miała na imię Rebecca albo Becky, albo Bex. Miała już osiemnaście lat. Policja opublikowała komputerowo stworzony obraz jej domniemanego obecnego wyglądu. Domniemana Becky była jakaś taka zbyt gładka. Jakby przez te wszystkie lata trzymano ją w sterylnym pomieszczeniu, z którego właśnie wyszła, mrugając, na chwiejnych nogach, równie mało wiedząc o świecie, jak tamto trzynastoletnie dziecko. Policja wyrażała nadzieję, że zainteresowanie prasy portretem pamięciowym zmobilizuje wszystkich do przypomnienia sobie raz jeszcze, co robili w czasie zaginięcia dziewczynki. Ludziom śniło się, że znów ją widzą w telewizji, patrzącą prosto w kamerę, gdy jest pośpiesznie przeprowadzana z samochodu do budynku na londyńskiej ulicy, niezdolna powiedzieć, gdzie była. Ludziom śniło się, że dziewczyna czołga się przez ciasne jaskinie, utyłana błotem i torfem. Ludziom śniło się, że jest przetrzymywana, zawsze z opaską na ustach lub na oczach. Sprawa zdawała się nie mieć końca. Szukano jej wszędzie i nie znaleziono. Przeszukano wszystkie komórki i szklarnie na działkach, tam, gdzie nie znaleziono właściciela, wyważając kopniakiem drzwi, zagłądano w rulony starych dywanów i plastikowych wykładzin, świecono latarkami za fotele,

za sterty torfu i zwinięte szlauchy. Co jeszcze można było zrobić. Działki były wyziębione i gołe, smagane na wyżynie dmącym od doliny wiatrem. Clive w swojej szklarni wykładał sadzeniaki, słuchając jednym uchem Susanny Wright, która stała oparta o futrynę, z katalogiem nasion. Opowiadała mu o historycznych odmianach, które chce zamówić. Było tego mnóstwo. Mówiła z intonacją pytającą, ale chyba nie prosiła o radę. On zaś nie zamierzał się narzucać. Dobrze wiedział, że jeszcze nikomu nie udało się wyhodować kulistych karczochów na tej ziemi. Przez zaszronione szyby szklarni widział gnące się na wietrze czubki buków. Widział przygarbionego nad łopatą Jonesa, który po raz kolejny przekopywał swoją działkę. Jones miał jakiś trudny do pojęcia sentyment do gołej ziemi. I opiekował się starą chałupą Tuckerów. Przycinał dzikie wino wokół okien i wchodził na drabinę czyścić rynnę. Przecież nie można dopuścić, żeby dom popadł w ruinę. Siostra Jonesa chciała się dowiedzieć, dokąd wyjechali Tuckerowie i kto wprowadzi się po nich. Jones odburknął, że nie na wszystko zna odpowiedź. Poprosił ją, żeby nie zadawała do cholery tylu pytań, ale na widok łez w jej oczach powiedział „przepraszam”. I tak to szło. Tak toczyło się życie.

## 5

O północy, z nastaniem nowego roku, oglądano fajerwerki w telewizorze, który wisiał w pubie, i tańczono na ulicy. Noc była łagodna i sucha. Świetlica opustoszała i z wybiciem godziny dwunastej rozległy się gromkie wiwaty, po raz pierwszy od lat. Richard Clark przyjechał do domu w dzień Nowego Roku, a gdy matka otworzyła mu drzwi, zobaczył, że wszystkie meble z jej sypialni zostały wciśnięte do salonu. Chłopcy Jacksona mi je przenieśli, powiedziała, jakby to było jakieś wyjaśnienie. Po prostu szok, mówił później do Cathy, kiedy spacerowali nad rzeką z psem pana Wilsona. Nie zdawał sobie sprawy z coraz bardziej ograniczonej mobilności matki. Siostry nic mu nie mówiły. Ciekaw był, czy same widzą, jak długo matka podnosi się z fotela, drepcze do kuchni i nastawia czajnik. Nie miał pojęcia, jak ona sobie radzi z zakupami. Prawdopodobnie ktoś jej pomagał. Sąsiedzi. Irene. Cathy niechętnie przyznała się, że nie ma pojęcia. Wsparała się ręką o mur i przecisnęła na drugą stronę. Spuściła Nelsona ze smyczy. Patrzyła, jak Richard przeciska się przez szczelinę. Odniósł wrażenie, że coś się kryje w jej spojrzeniu, ale zapewne się mylił. Dawne dzieje. Oboje się postarzelili. Rozumiał to. Byli teraz innymi ludźmi. Przypomniało mu się, jaki był niespokojny, kiedy mieli po siedemnaście lat i zdawało mu się, że są w sobie zakochani. Wszystko go irytowało,

a jedynym tematem jego rozmów z Cathy było wyrwać się ze wsi: pójść na uniwersytet, podróżować po świecie. Nie żeby nie lubił wsi i jej mieszkańców. Po prostu chęć wyjazdu wydawała mu się naturalna, tak jak naturalna była potrzeba rozmawiania o tym nawet w trakcie wzajemnego rozbierania się i sprawdzania, ile można wskórać na drapiącym, sprężystym mchu. Ciekawiło go, czy Cathy też myślała wtedy podobnie, czy tylko pozwalała mu bajdurzyć. Patrick nigdy nie mówił o wyjeździe. Po co miałby wyjeżdżać? Pracował po szkole w ojcowskim tartaku, bary mu rosły, ręce męźniały, portfel puchł. Wszyscy wiedzieli, że przejmie tartak, gdy ojciec przejdzie na emeryturę. Richard z opóźnieniem zrozumiał, że niektórzy cenią sobie tego rodzaju pewność. Popatrzył teraz na idącą przed nim Cathy, która długim krokiem lawirowała bez wysiłku między drzewami. Ciekawe, czy ona też o tym myślała. Obejrzała się na niego, zwalniając na chwilę, żeby go ponaglić.

Martin zwierzył się Tony'emu, że nie pośle Ruth kartki walentynkowej. Wiedział, mówił, że między nimi wszystko skończone, chociaż dalej nie rozumiał, co się właściwie popsuło. Rok temu Ruth nie wspomniała o jego kartce ani słowem. Wiedział, że jego starania budzą w niej już tylko litość. Nie ma mowy, nie pośle jej kartki. Czternastego kupił kartkę i wysłał ją na adres Ruth wraz z przeprosinami za spóźnienie zamieszczonymi na kopercie. W kamieniołomie znów przez jakiś czas panował ruch. Otwierali nową ścianę, rozsadzając ją trzy razy dziennie. Drzewa wzdłuż szosy pokrył gruby pył i tygodniami nikt nie rozwieszał prania na dworze. Trzeba było deszczu, żeby oczyścić powietrze. Kiedy Andrew był w domu, Irene siedziała przy nim, gdy wyła syrena. Robił się wtedy niespokojny jak te ptaki, które zrywały się z furkotem, albo jak owce uciekające w najdalszy kraniec łąki. Kiedy był malutki, zatykał uszy palcami i wrzeszczał. Teraz

tylko kręcił głową, pojękując do siebie, ale wystarczyła bliska obecność Irene, żeby się uspokoił. Ciekawe, czy pamięć wybuchu w jego mózgu nakłada się na pamięć ojca. Ciekawe, czy on w ogóle pamięta ojca. To nigdy nie było proste. Ustalenie, co Andrew wie, a czego nie wie. Różni ludzie mówili jej o jego domniemanych zdolnościach, ale najczęściej się mylili. Gdy w kamieniołomie wyła syrena, Irene chciała go przytulić, ale się nie dawał. Mogła tylko stać w pobliżu. On już od lat był dość silny, żeby ją odepchnąć. Bywały dni, że syrena wyła nawet sześć razy. Spod okapu kościoła zaczęły wylatywać o zmierzchu pierwsze nietoperze, wygłodniałe po zimowym śnie, nasłuchujące jedzenia.

Na wrzosowiskach łowczy z majątku wypalali kwartały wrzosów. Była to praca w gorącu, wymagająca wielkiej uważności. Odczekali jeden dzień, żeby wrzosa były już suche, ale ziemia jeszcze wilgotna, i żeby niski wiatr wiał z góry, powytyczali swoje kwartały i szli za linią ognia, przyduszając go kwadratami gumy na końcach długich tyk i spychając w dół, ku miejscom już wypalonym. Woń dymu niosła się na całą wieś. Cooper pootwierał okna mieszkania nad przerobioną stajnią i wpuścił ją do środka. W domu było pusto, Su wywiozła dzieci do swoich rodziców do Manchesteru. Poprzedziły to długie rozmowy, a gdy doszło co do czego, Su udała, że decyzję podjęli wspólnie. Przesądziły względy praktyczne. To tylko na jakiś czas. Czuła się przemęczona i musiała odpocząć. Jej rodzice będą zachwyceni, że mogą pobyc z wnukami. Musi przyłożyć się do pracy w BBC, zanim drzwi do kariery zamkną się dla niej na dobre, a tymczasem chłopcami zajmie się jej matka. Austin jest przecież zbyt zaabsorbowany pracą nad pismem, ona to rozumie, a on nie może zaprzeczyć. U jej rodziców jest zresztą za mało miejsca dla nich czworga. Obojgu przyda się trochę przestrzeni. To tylko na jakiś czas. Austin chciał jej wierzyć, ale nie

był głupi. Stał teraz w pustym mieszkaniu. Zabrała ubranka chłopców, ich pieluszki, zabawki. Trudno było się z tym pogodzić. Mieszkanie zdawało się o wiele większe. Przecież to niekoniecznie o nich chodzi, powiedziała. Ona go nie opuszcza, chce zobaczyć go wkrótce. Po prostu musi odpocząć. Pragnie, żeby przez chwilę i nią się ktoś poopiekował. Na pewno znajdą jakieś wyjście. Jego pierwsza żona mówiła tak samo, a nigdy nie wróciła. Nie miał zamiaru dopuścić do tego po raz drugi. Wiedział, ile może stracić. Spał bardzo krótko, a rano już przed dziewiątą był w mieście, czekając na otwarcie biura nieruchomości.

Po deszczowym tygodniu nastały ciepłe dni i działki momentalnie zarosły chwastem. Pokrzywy i trybuła wybujały gęsto, powój przelewał się przez żywopłoty, więc stara gwardia z komitetu protestowała. Clive w cieplarni rozsadzał do doniczek kabaczki oraz zieloną fasolkę, zerkając na Susannę Wright, która uwijała się po swojej działce z ogrodniczymi nożycami. Ashleigh biegała z kijem, ścinając czubki pokrzyw, i praca szła jej szybciej niż matce. Susanna często robiła przerwy i prostowała plecy, odgarniając włosy z twarzy i ściągając je w kucyk. Kiedy się tak wyciągnęła, plecy miała proste jak struna. Za którymś razem zauważyła Clive'a i pomachała entuzjastycznie. Skinął jej głową. Cieplarnia bardzo się nagrzała w popołudniowym słońcu, więc spryskał doniczki obficie. Później Susanna przysła się przywitać i ponarzekać na odchwaszczanie, które jej zostało. Wyraźnie szukała współczucia. Kiedy tu ostatnio byłam, nic nie miałam do roboty, powiedziała. A teraz patrz, istna dżungla. Śmiała się przy tym, jakby zdziwiona. Clive kiwnął głową. Tak to jest z chwastami, powiedział. Uporasz się raz dwa. Dwa tygodnie nie było jej na działce, więc czego się spodziewała. Przez całe popołudnie malowała ławkę. No właśnie. Cooper coraz więcej czasu przesiadywał u Gladstone'a, a Su z bliźniakami

siedziała w Manchesterze. Cooper próbował to bagatelizować, mówił, że to zrozumiałe, że Su chce być z matką w tym trudnym okresie, na pewno niedługo wróci, ale wszyscy widzieli, że facet się sypie. Wreszcie któregoś wieczoru przyznał się Tony'emu przy barze, że jest mu ciężko. Mówił, że stale burczy mu w brzuchu ze strachu, że to może już tak zostać. Tony kazał mu się zamknąć. Nawet nie wiem, co mi jest, skarżył się Cooper. Adrenalina? Nie mogę się wyluzować. O niczym innym nie umiem myśleć. A jogi próbowałeś? – spytał Martin i Tony posłał mu ostrzegawcze spojrzenie. Świetny pomysł, powiedział Cooper. Dziękuję ci. Nie, ale serio. To dla mnie coś nowego. Z pierwszą żoną wcale się tak nie czułem. Jak powiedziała, że odchodzi, nic mi nie było. Ja wiem, że muszę dać jej czas, okej, tak się mówi, daj jej czas. A jak czas nie wystarczy? Jak ona nie wróci? Jak już poznała kogoś nowego? Martin dał znak Tony'emu, żeby nalał whisky i podsunął szklankę Cooperowi. Napij się, chłopie, powiedział. Myślisz, że to pomoże? – spytał Cooper całkiem szczerze. Nie myślę, odparł Martin. Ale na chwilę cię przymknie. Pośmiali się, Cooper wychylił szklankę i przez parę minut siedział cicho, masując burczący brzuch. Wieczorami w całej dolinie padały przelotne deszcze, lecz czaiła się za nimi obietnica jasnego słońca. Słysząc było pociąg towarowy na zakręcie w zagajniku srebrnych brzoź, puste wagony klekotały na moście.

Szukano dziewczynki w zalanym kamieniołomie. Sprawdzono, czy płot nie jest naruszony i czy nie ma na nim śladów czyjejś wspinaczki. Nurkowie zabezpieczyli się linami i zeszli w ciemną toń. Szukano jej w ciasnych jaskiniach wzdłuż całej rzeki, ale znaleziono tam tylko puste puszkę, butelki i zmięte papierowe chusteczki. Na wysokim brzegu strażnik wodny czyścił kanał odpływowy. W odcinek biegnący pod szosą ktoś podrzucił śmieci, zadawszy sobie trud spakowania ich w worek. Jeżyny się



rozpleliły, trzeba wyciąć. Deszcz wzmógł się, ale odgłos wody płynącej rurami pod szosą podnosił na duchu. Na lato rzeka będzie w świetnym stanie. Strażnik wodny nie miał zwyczaju gwizdać przy pracy, ale był w dobrym humorze. Wieczorem Susanna przygotowała świetlicę do jogi. Trwało to jakiś czas, ale wreszcie popularność jej zajęć przerosła oczekiwania. Susanna stale podkreślała, że joga jest dla wszystkich, ale gdy na zajęciach zjawiał się mężczyzna, stwierdzał, że jest rodzyńkiem i szybko rezygnował. Większość pań przychodziła regularnie, ale po paru miesiącach część z nich była rozczarowana, że wykonują tylko kilka pozycji. Susanna próbowała im tłumaczyć, że joga nie sprowadza się do osiągnięcia celu. Tu nie ma medali ani świadectw, powtarzała, chodzi o to, żeby każda z was znalazła granice własnej elastyczności. Zawsze mówiła przytłumionym głosem, przechadzając się między nimi i dokonując drobnych korekt ułożenia rąk, ramion, nóg. Jej dotyk był delikatny, lecz zdecydowany. Być korygowaną przez Susannę znaczyło znaleźć się na chwilę w centrum jej uwagi, więc niektóre z pań podejrzewały inne o to, że celowo przybierają nieprawidłowe postawy. W lesie nad rzeką kwitły wzdłuż brzegu żółte kurzyślady: ich lśniące zielone liście poły się cieniem, a drobne żółte kwiatki wyglądały jak plamki światła. W kolonii czapli w wysokich gniazdach siedziały młode pisklęta, którym rodzice z wielkim trzepotem dostarczali pokarm do rozwartych dziobków. Cooper dużo czasu spędzał w Manchesterze z Su, dopóki była ona u rodziców, a po dwóch miesiącach jeżdżenia tam i z powrotem namówił ją na powrót do domu z bliźniakami. Chociaż z późniejszych relacji Su wynikało raczej, że nie tyle ją namówił, ile po prostu się nie poddał. Spolegliwość potrafi być bardzo atrakcyjna, powiedziała Su do Cathy. Szczerze mówiąc, matka doprowadzała mnie do szału. Nabywcę na mieszkanie znaleźli niemal natychmiast, ale dużo trudniej było znaleźć nowe lokum, na które byłoby ich stać. Ostatecznie

zdecydowali się na były domek komunalny w Close, któremu wprawdzie brakowało uroczego klimatu stajni, za to miał dodatkową spiżarnię i ogród z huśtawką, ze sznurem do wieszania bielizny i z furtką do lasu. Pieniądze na pokrycie różnicy w cenie pożyczyci od rodziny Su, a redakcję pisma Cooper przeniósł do bocznej salki w kościele. Nad rzeką młode, jasnozielone listki drzew migotały światłem.

James Broad w końcu powiedział Rohanowi, jak to było z Becky Shaw. Pojechali nad zbiornik nr 9 samochodem Sophie, paląc trawę. James prowadził, a Sophie już się słaniała na tylnym siedzeniu, ale mimo to reagowała na jego słowa. W samochodzie było mlecznobiało od dymu. Lynsey przysypiała na siedząco, ale budziła się co chwila i mówiła coś o uniwersytecie. Rohan nie pytał o Becky, ale James doszedł do wniosku, że czas wszystko powiedzieć. Przyjechała z rodziną na dwa tygodnie i zaczęli się spotykać. Nic takiego nie robili. Dziecinne zabawy. Budowali ziemianki. Pływali w rzece. Łazili po jaskiniach. Ona zawsze chciała więcej, lubiła przekraczać granice. Nie była od nich wiele starsza, ale sprawiała wrażenie znacznie bardziej dojrzałej. Taka była ładna, powiedziała Sophie, zapalając z powrotem fajkę. Zgadzasz się James? James zerknął na nią we wstecznym lusterku. Miała przymknięte oczy i uśmiechała się. James odwrócił się do Rohana i kiwnął głową. Wszystkim się podobała, powiedział, chociaż wtedy się do tego nie przyznawali. Było w niej coś porywającego, powiedział. Namówiła nas do przejścia przez płot do kamieniołomu i pierwsza zeskoczyła z linowej huśtawki. Twarda sztuka. I inteligentna, dodała Sophie z tylnego siedzenia. Lynsey znowu się ocknęła. Powinniśmy wszyscy iść na ten sam uniwersytet, powiedziała. No nie? Mieszkalibyśmy w jednym akademiku i w ogóle. James podał jej fajkę i usłyszał pykanie i cmokanie, a potem długą pauzę przed wypuszczeniem

dymu. James i Sophie wyobrazili sobie dziewczynę skaczącą z linowej huśtawki – tę dziewczynę, której właściwie nie znali – jej długie, ozłoczone słońcem nogi, gdy frunęła w powietrzu, i poruszyło się w nich nowe uczucie. Tylko ja utrzymywałem z nią kontakt, gdy wróciła do Londynu, powiedział James. Maile, pocztówki, nic takiego. Nie miałem jeszcze komórki, ani nie było Facebooka. Ale pozostawaliśmy w kontakcie. My... ja pierdołę. Lubiliśmy się, okej? Odwrócił się i przejął fajkę od Lynsey, która znów zasypiała. James nabił fajkę skunkiem z torebki leżącej na desce rozdzielczej. To Becky namówiła rodziców na przyjazd tutaj na Nowy Rok. James zaciągnął się mocno i rozkaszał na wydechu. To tyle na początek. Rohan przejął od niego fajkę. A jak przyjechali, spotykaliśmy się trochę i łączyliśmy razem, ale było zimno i nie mieliśmy, gdzie się schować. Ona bardzo urosła od lata. Chodzi mu o to, że rozwinęła się fizycznie, mruknęła sennie Sophie. Nie wstydź się, James. Chodzi ci o to, że miała cycki, no nie? Ja i Lynsey byliśmy nieźle zazdrosne, no nie, Lyns? Lynsey otworzyła oczy i spojrzała na Sophie. Edynburg, powiedziała. Pójdziemy wszyscy do Edynburga. Ja na anglistykę, a wy na co chcecie. Tam jest tanio. Sophie pogłaskała ją po ramieniu i powiedziała, że tak, oczywiście, pojedą do Edynburga, wszyscy razem, a jak się dostaną, będą tam pierwszą bandą. Lynsey zamknęła oczy. Ja wiem, że to nie wszystko, James. Ale to też było ważne, wymamrotała Sophie. Na chwilę w samochodzie znów zapadła cisza. Trudno im było teraz wyobrazić sobie twarz Becky, gdy o niej rozmawiali. Zdjęcie w wiadomościach nie było do niej podobne, ale zastąpiło w ich głowach obraz, który zapamiętali. Zaginęła po raz drugi. Na zewnątrz samochodu panował spokojny wieczór, nad zbiornikiem powoli gasło światło. W każdym razie, powiedział James, jak pojechaliśmy kiedyś wszyscy razem, przechyliła mnie na oparcie i zaczęliśmy się całować, i wtedy umówiliśmy się sami na następny dzień. Rohan popatrzył na niego.

Sophie spytała, czy ona dobrze się całowała. James odpowiedział, że nie pamięta. Nie o to przecież chodziło. Czyli nie, powiedziała Sophie. Rohan zapytał, co się stało, jak spotkali się sami, czy do czegoś doszło. Sophie wychyliła się i położyła rękę na ramieniu Jamesa. Nie przyszła, powiedział James. To się stało. Właśnie wtedy zaginęła. Musiała być w drodze na spotkanie ze mną. Coś się musiało stać. Czekałem na nią przy starych zabudowaniach zarządu dróg wodnych, koło zbiornika nr 7, ale nie przyszła. W aucie zapadła cisza, a potem Rohan z przeciągłym westchnieniem wypuścił z płuc smugę dymu. Wnętrze samochodu zamgliło się, szyby były mokre od skroplonej pary wodnej. Na dworze wiatr się wzmagił, zaczynało padać. Sophie z zagadkową miną obserwowała własną uniesioną dłoń. Chyba powinniśmy już jechać, wyszeptała. Rohan opuścił okno i dym wyfrunął w noc, znikając bez śladu.

Ashleigh Wright widziano na działce matki, jak podlewała grządki sposobem, którego nauczył ją kilka tygodni wcześniej Clive. Przy okazji okopała kartofle, pościągła ślimaki z kabaczków i poprzesażdała z doniczek trochę zimowych warzyw, które zdaniem Clive'a inaczej by się zmarnowały. Potem poszła na boisko krykietowe, pozdrawiając po drodze Clive'a skinieniem głowy. Mężczyzna odpowiedział jej tym samym i wrócił do podlewania. Nie chciał się mieszać. Ale odniósł wrażenie, że dziewczyna chętnie słucha. Na długim marginesie traw obrzeżających boisko krykietowe złoty skoczek pełzł mozolnie w dół po suchym źdźble, aż znalazł otwór do złożenia jajeczek. Młode kosy porosły dorosłym upierzeniem. Tom Jackson zaczął przychodzić po szkole na parę godzin do dziadków. Maisie umiała go namówić, żeby usiadł przy stole w kuchni i poodrabiał lekcje, ale wołał biegać za nią po domu, oferując się, że pomoże, chociaż głównie przeszkadzał, paplając o szkole, telewizji albo

tasiemcowych grach, w które grywał z kolegami. Zawsze wciągał w te rozmowy dziadka, wpadając co chwila do dużego pokoju, jeśli Jackson leżał w łóżku. Jackson zżymał się nieraz na te wizyty, ale Maisie była pewna, że poprawiają mu nastrój. Jej także, szczerze mówiąc. Tom jako jeden z nielicznych rozumiał urywaną, bełkotliwą mowę dziadka i był chyba jedyną osobą, która zwracała się do niego normalnie. Mowa Jacksona bardzo się poprawiła przez te dwa lata, ale odzywał się niechętnie. Wyraźnie żenowało go brzmienie własnego głosu. Jednak przy Tomie się nie wstydził i czasem nawet Maisie słyszała, że próbuje żartować, co sprawiało, że Tom dostawał ataków śmiechu. Maisie też się uśmiechała, ale tylko kiedy Tom na nią nie patrzył. Pamiętała, jak Jackson reagował na podobne gadanie własnych synów, gdy byli mali. Jaka dyscyplina panowała wtedy w domu. Musiało tak być. Pięciu chłopaków w dziesięć lat, a dom nie taki duży. Pięciu trzeba było nakarmić, umyć, ubrać i upilnować. Pięć zestawów ubrań, które trzeba było pocerować i połatać, zanim przeszły na młodszych. Dziesięć ubłoconych butów, które musiały zostać za progiem. Ten wieczny hałas. Jackson nie angażował się w sprawy domowe, dopóki któryś z chłopców nie przebrał miarki. Chronienie synów przed gniewem ojca, kiedy coś spsocili. Maisie miała nadzieję, że Claire wykaże dość rozsądku i poprzestanie na drugim dziecku. Może urodzi się dziewczynka. Ciekawe, co powiedzą ludziom.

Ostatnie dni sierpnia były upalne. Żywopłoty pousychały i zbrązowiały przy ziemi. Poziom wody w zbiornikach szybko opadał i czekano, aż pokaże się wieża kościoła. Doroczny mecz krykieta z reprezentacją Cardwell był zajadły i pełen ostrych zagrań. Dzieci z campingu grały w misie-patysie na pieszym moście koło herbaciarni i wystraszyły się, kiedy nie było można znaleźć ich rodziców. W ostatniej rundzie meczu na

cofniętej obronie wystawiono Jamesa Broada. Gadał właśnie z Lynsey Smith, która siedziała tuż za liną odgradzającą boisko i dopijała butelkę wina z lunchu. Drużyna Cardwell przyjęła taktykę obronną, więc James nie miał nic więcej do roboty, jak tylko udawać, że uważa. Nie wiedziałem, że tak się interesujesz krykietem, rzucił jej przez ramię, śledząc akcję na boisku. Bo się nie interesuję, odpowiedziała, a w Jamesie obudziła się taka czujność, jak przed odebraniem piłki. Przegrali. Wieczorem James i Lynsey wyszli z pawilonu przed końcem imprezy i widziano ich przechodzących przez rynek. Cooper zamieścił w „Echu Doliny” artykuł o obozie demonstrantów przy Kamiennych Siostrach. Obóz stał tam już od roku i wyglądał na dobrze zorganizowany. Chodziły słuchy, że demonstranci mają nawet własną ubikację kompostową. Trudno powiedzieć, co robili całymi dniami tam na górze, chociaż czasem słychać było dudnienie bębnow. Krążyły plotki, że kopią tunele. Na wrzosowisku zaroiło się od motyli, skoczków, perłowców i modraszków, więc Sally Fletcher spędzała prawie całe popołudnia na liczeniu ich, żeby wysłać raport do Butterfly Watch. Lisy w buczynie ganiały po nocy. Młode były już wielkości dorosłych i polowały samodzielnie. Jeszcze trochę, a rodzice uznają je za konkurencję. Bawiły się agresywnie i walczyły do krwi. Znały granice swojego terytorium. Wiezorami przed pubem Gladstone’a było gwarniej, odkąd w środku obowiązywał zakaz palenia. Nie pomagały żadne monity, które wywieszał Tony – ciągle miał skargi od rady parafialnej. Niektórzy ludzie nie zdawali sobie sprawy, jak ich głosy się niosą. Przy barze stała nowa dziewczyna i Tony do niej zagadał. Na imię miała Philippa i przyjechała do wsi tylko na lato. Pracowała jako wolontariuszka w centrum turystycznym, żeby otrzaskać się z tematyką ochrony przyrody. Mieszkała u koleżanki w mieście i codziennie dojeżdżała do wsi. Na ramieniu miała tatuaż z zimorodkiem wielkości kciuka Gordona, a nisko na

plecach pięknie odwzorowany hiacyntowiec, którego cebulki i korzenie można by zobaczyć, tylko gdyby ściągnąć jej majtki. Patrzył na to z przyjemnością, a ona nie miała nic przeciwko temu i na razie to im wystarczało. Odtąd ilekroć Philippa wracała samochodem do miasta, obiecywała sobie, że opowie przyjaciółce o facecie z pubu, ale za każdym razem coś ją powstrzymywało. Zastanawiała się, dlaczego nie zwierza się ludziom. Przyjaciółka nie wiedziała nawet o tatuażu z hiacyntowcem, ani o mężczyźnie, z którym Philippa była, kiedy dała sobie zrobić ten tatuaż.

Cathy zapukała do pana Wilsona, który długo nie otwierał. Tak bywało coraz częściej. Usłyszała, że Nelson szczeka i skacze na drzwi i nagle naszła ją wizja, że któregoś dnia to się stanie: będzie musiała zawołać kogoś do wyważenia drzwi, a Nelson będzie zawadzał. Pan Wilson miał coraz większe problemy z biodrem, głośno oddychał, a wieczorami dostawał nieraz strasznych ataków kaszlu, które słyszała przez ścianę. Kiedy ją pierwszy raz poprosił, żeby wyszła z Nelsonem, podejrzewała, że celowo wyolbrzymia swoje kłopoty, żeby ją wyrwać z domu dla jej dobra, a potem niejako wymusił na niej tę rutynę. Po śmierci Patricka. I, szczerze mówiąc, była wzruszona tą jego dyskretną troską. Spacerowanie z psem nie umniejszyło, oczywiście, jej poczucia straty. Ale wyrwało ją z domu. Ludzie zatrzymywali się i pytali, jak sobie radzi sama. Wtedy jeszcze widywała czasem przez okno pana Wilsona przechodzącego z psem, jakby się nigdy nie skarżył na bolące biodro. Ale ostatnio jego problem bardzo się uwidoczniał i było coraz gorzej. Pan Wilson znajdował się na liście oczekujących na implant stawu biodrowego. Zdarzało się, że, tak jak dzisiaj, długo nie otwierał drzwi i Cathy wiedziała, że kiedyś jej nie otworzy, ale nie była jeszcze na to gotowa. Szczekanie Nelsona zmieniło ton, drzwi zadrżały pod naporem jego ataku, i nagle pan Wilson otworzył

z uśmiechem. Przy pieszym moście czapła spacerowała po drodze na skraju rzeki, podrygując głową i pokracznie wysoko unosząc nogi. Zatrzymała się, przybrała sztywną pozę i zapatrzyła się w wodę. Kwiczoły miały przylecieć dopiero za miesiąc, dwa, pod koniec jesieni. Pogoda była piękna jak na wrzesień, bloki piaskowca tworzące Czarne Bycze Skąły były ciepłe w dotyku. James i Lynsey znaleźli sobie wygodne miejsce w płytkim zagłębieniu pomiędzy skałami i zaczęli nadrabiać stracony czas. Najpierw długo się całowali, a potem Lynsey ściągnęła Jamesowi spodnie do kostek i skuliła się między jego udami. Próbowali już kilkakrotnie, ale tym razem James pomyślał, że może się udać. Chciał powiedzieć coś na zachętę, lecz stwierdził, że odjęło mu mowę. Opadł na łokcie, spojrzał w bok i na płaskiej skale poniżej ujrzał motyla, który rozkładał i składał skrzydła. Pragnął powiedzieć o tym Lynsey, ale poczuł, że zapada się w otchłań bez dna i traci oddech. Jakby nurkował w zbiorniku w środku lata, lodowaty chłód wody na skórze i ta nagła cisza. Spadał głęboko pod powierzchnię, w ciemność, aż po kamienne fundamenty zalanych wsi, aż po nieustępliwe ssanie śluzy. Nie mógł oddychać. Słońce było wszędzie. Otworzył oczy, Lynsey patrzyła na niego z góry i uśmiechała się z lekkim niedowierzaniem. A on był zdumiony. Spytała go, czemu drży. Potem próbowała rozmawiać, ale on nie był w stanie. Chciała, żeby ją pocałował, ale się wstydził. Kiedy odzyskał oddech, zeszli razem ze wzgórza. Lynsey zastanawiała się, czy zrobiła coś nie tak. Miał ochotę jej powiedzieć, jak mu było dobrze, ale zdołał jedynie trącić ją lekko pięścią w ramię i mruknąć: fajnie, stara. Przez wieś musieli iść osobno, żeby ich nikt nie zobaczył. Rohan jeszcze nie wiedział. Postanowili mu nie mówić, dopóki sami nie będą pewni.



To był dobry rok dla słodkich kasztanów, w lasach nad rzeką kolczaste łupiny pękały pod stopami. Naganiacze porozstawiali pod lasem kojce i gnali bażanty pod lufy. Przy zbiorniku nr 5 ekipa konserwatorska przywdziała gumowe kombinezony i zeszła po spadku cembrowiny, aby wyłować utopioną owcę. Ciężar był spory przez nasiąkłą wełnę, a zapach nie do zniesienia. W szkole trwały organizowane przez UCAS<sup>4</sup> sesje składania wniosków na studia, a James, Rohan, Lynsey i Sophie zaczęli rozmawiać o wyjeździe. Zapewniali się wzajemnie, że będą za sobą tęsknić, ale nie było już mowy o składaniu papierów na tę samą uczelnię. Lynsey miała problemy w domu w związku z tym, że w ogóle zamierza iść na studia. Jej ojciec spytał, kto mu będzie robił pranie, jak ona wyjedzie z domu, a potem udał, że to był żart. Bracia chcieli wiedzieć, po co jedzie aż do Edynburga studiować angielski, skoro tu u nich prawie się tym językiem nie mówi. Matka zagadnęła ostrożnie, czy nie mogłaby chociaż pomyśleć o naukach przyrodniczych. Przecież lubisz biologię, prawda? Miałabyś jakieś perspektywy. Ojciec by to zrozumiał. Nie będzie łożył na czytanie książek na drugim końcu świata. Lynsey to wiedziała. Wiedziała też, że kiedy wyjedzie z domu, wszystkie jej obowiązki spadną na matkę. I wiedziała, że nie może o tym porozmawiać z przyjaciółmi, bo oni o takich rzeczach nie mają pojęcia. W lasach i nad rzeką po nocach parzyły się nietoperze; jadły na zapas, żeby zmagazynować tłuszcz na zimę. Cofnięto zegary i noce prześcignęły krótkie dni. Les Thompson, o dziwo, zjawił się w niedzielę w kościele, a po nabożeństwie słyszano, jak pytał Jane, czy nie zajrzałyby któregoś dnia na jego farmę. Jane czuła, że lepiej nie przedłużać tej rozmowy, więc zaproponowała wtorek po południu. Przed samym dojeniem? Kiwnęła głową i odeszła, a we wtorek widziano jej samochód jadący powoli po wybojach szlaku po drugiej stronie rzeki, prowadzącego zakolem do farmy Thompsona. Mieszkał on tam przez całe życie, o ile

wiedziała, ale odwiedzała go pierwszy raz. Jeszcze piętnaście lat temu mieszkała z nim siostra, ale od tamtego czasu prowadził gospodarstwo sam. Kiedy otworzył drzwi, stwierdziła, że naprawdę się postarał. Czysta koszula, zadrapanie po goleniu i wyszorowane paznokcie. Pani pastor, powiedział skinąwszy głową. Miał głęboki głos, dochodzący jakby z daleka. Głos, który przypominał stłumiony krzyk. Jane czekała. Czy mam wejść? – zapytała. Skierował się do kuchni, a ona za nim. Spędziła tam prawie godzinę, podczas której Les zdołał wyrzucić z siebie, że jego siostra umiera, a on nie wie, co bez niej zrobi. Rozmawiał z nią przez telefon prawie co wieczór, jeździł do niej co niedzielę, a teraz będzie inaczej. Wypowiedzenie tego zajęło mu dłuższą chwilę, a kiedy skończył, krowy szalały w oborze. Jane pogadała z nim jeszcze przy dojeniu, ale odrzucił jej ofertę pomocy. Zbierała takie wyznania od ludzi, a potem nosiła je w sobie. To jakby zbierać kamienie do bagażnika, zwierzyła się raz swojemu dziekanowi, prędzej czy później uzbiera się za dużo i zawieszenie pęka na pierwszym wyboju. Dziekan uśmiechnął się i przyznał, że to istotnie trudne. Pomodlili się razem i Jane dalej wozila kamienie.

Irene zeszła od przystanku do kościoła i wzięła się do kwiatów. Wazony były już opróżnione i umyte, a świeże kwiaty czekały w zlewie. Mnóstwo ciemnej zieleni, obfitość żółci i bieli. Porozdzielała łądygi na stole i przystąpiła do układania bukietów. Starła się nie martwić o Andrew. Coś z nim było nie tak dzisiaj rano. Coś go niepokoiło. Cokolwiek to było, dojdą do tego w szkole. Nie ma sensu myśleć o tym przez cały dzień. Nauczyła się nie martwić, dopóki był gdzie indziej. Dostyc energii pochłaniało jej zamartwianie się, gdy była z nim. Ludzie nie mieli pojęcia. Zdawało im się, że potrafią to sobie wyobrazić, ale nie mieli pojęcia. Nie wiedzieli nawet przecież, co mu jest. Urodził się bez żadnych oznak

nieprawidłowości. Nie nieprawidłowości. Nieprawidłowość była słowem, które im odradzano. Rodzicom. W ośrodku dziennym, w szkole. Preferowano słowo „inny”. Tak czy owak, nie było żadnych oznak. Miał promienne oczka i darł się jak każdy noworodek. Był piękny. Nawet Ted miękł na jego widok. Dopiero jakiś czas później zaczęła się dziwić. Że nie bawi się jak inne niemowlęta. Że nie wyciąga rączek i nie bierze przedmiotów. Że nie daje sobie spojrzeć w oczy. Że gryzie. Chłopak jest w porządku, powtarzał Ted, a ona go uciszała. To się Tedowi nie podobało, bo nigdy wcześniej nie kwestionowała jego zachowań. Chłopak wymaga dyscypliny, mówił Ted; rozpieszczasz go. Bywało, że musiała stanąć mu na drodze i przyjąć cios na siebie. A kiedy Andrew miał cztery latka i jeszcze nie mówił, zaczęły się wizyty u lekarzy, w szpitalu. Były badania, obserwacje i grupy wsparcia. Te ostatnie niewiele jej dały. Wszystkie matki były od niej młodsze i czuła się tam nie na miejscu. Ale zaczęła poznawać nowy język. Nauczyła się innego bycia matką, matką dziecka, które inaczej funkcjonuje w świecie. Starła się nie myśleć, co traci. Modliła się dużo, ale nauczyła się nie modlić o to, żeby był normalny. Nie używać słowa „normalny”. Ted nie brał w tym udziału. Uważał, że chłopczyk jest krnąbrny i złośliwy. Przytulanki go irytowały. Żałował wyrzuconych pieniędzy. Żałował, że nie ma syna, który kopie piłkę i łapie w sidła zające. Kiedyś widziała chyba, jak płakał z tego powodu, ale nie miała pewności. Nie należał do tych, którzy w ten sposób rozładują emocje. Raczej pił, awanturował się i trzaskał drzwiami. Andrew miał siedem lat, kiedy Ted umarł. Wykasłał płuca i nikt nie umiał powiedzieć, czy to przez papierosy, czy przez pył z kamieniołomu. Zawsze mawiał, że pali tak dużo, żeby zdusić pył. Pięćdziesiąt pięć lat, wszyscy jej mówili, że to tragedia. A ona nie chciała przyznać się przed sobą, że doznała czegoś w rodzaju ulgi. Czuła się przez to zła. Ale życie zmieniło się, odkąd Ted spoczął w ziemi.

Zrobiło się spokojniej. Zapełniła kwiatami ostatni wazon i zostawiła wszystkie na stole dla Winnie, która je miała porozstawiać w kościele. Tych kilka kwiatów, które nie pasowały do bukietów, zaniósła na grób Teda.

Richard Clark przyjechał do domu na Boże Narodzenie. Jadąc przez wieś, zobaczył przed pocztą Cathy, więc się zatrzymał i zaprosił ją na herbatę. Była zdziwiona, ale przyjęła zaproszenie – wsiadła do wynajętego samochodu i udali się na kilkusetmetrową przejażdżkę. Drzwi domu jego matki były niezamknięte; weszli razem. Matka leżała na podłodze w kuchni. Spojrzała na nich z dołu z uśmiechem i spytała Richarda, czy miał dobrą podróż. Trzeba było ich dwojga, żeby ją podnieść i usadowić w fotelu. Nie rób takiej zmartwionej miny, powiedziała. Sama bym się zaraz podniosła, ale usłyszałam, że wchodzisz. Więc uznałam, że oszczędzę sobie wysiłku. Richard spytał, czy to się już kiedyś zdarzyło, a ona mu kazała nastawić czajnik. Zostaniesz na herbatkę, Cathy? Cathy cofnęła się trochę w stronę drzwi, jakby nie chciała przeszkadzać. Ręką błędziła koło guzików kurtki. Chętnie, pani Clark. Będzie mi miło. Długo cię nie było, prawda? Prawda, przyznała Cathy i Richard usłyszał szelest jej kurtki zdejmowanej z ramion. To było niedorzeczne, ale coś w nim drgnęło. Mgła zalegała przez cały tydzień i nawet w południe jedynym kolorem na ulicach było maślane światło sączące się zza zaciągniętych zasłon okien. Nie były to dni do pracy na powietrzu, chyba że nie dało się inaczej. Ubiegłoroczna tarninówka została rozlana do butelek. Działki stały puste, tylko gdzieś grządka jarmużu lub porów. W kościele kolędowano przy świecach w znajomej woni modrzewiowych gałęzi, pasty do podłóg i wilgotnych palt. Kolędników było mniej, ale dźwięk i tak niósł się po zimnym kamiennym wnętrzu.

Jane Hughes odprawiła w kościele nabożeństwo w piątą rocznicę zaginięcia dziewczynki i tym razem jej matka była obecna. Celowo nie nazwano tego nabożeństwem żałobnym, chociaż niewielu zostało we wsi takich, którzy nadal wierzyli, że dziewczynka żyje. Ogłoszono nabożeństwo w intencji Rebekki Shaw i jej rodziny – wygodna, otwarta formuła. Gazety donosiły, że oboje rodzice wrócili do pracy, a matka dziewczynki wyglądała zdecydowanie lepiej niż ostatnio. Ale nie odzywała się w trakcie mszy, a kiedy potem ludzie do niej podchodzili, zdawkowo podawała rękę i dziękowała za przybycie. Ojca dziewczynki widziano na wzgórzu za centrum turystycznym, kierował się na Skały Czarnego Byka. Cathy Harris poprosiła Richarda, żeby zajrzał do niej rano przed odjazdem na lotnisko. Przyjechał tylko na kilka dni i prawie nie opuszczał domu matki. Wpadnij na kawę albo coś, powiedziała Cathy, dopinając kurtkę w progu domu jego matki. Powinniśmy porozmawiać. Zastanawiał się, czy spróbuje mu wmówić poczucie winy z powodu matki, czy znajdzie jakiś inny pretekst, żeby go zatrzymać. Zapakował rzeczy do wynajętego samochodu i zajechał pod jej dom przed wschodem słońca. Parkując, widział ją w kuchni: stała nad stołem, przy którym jej synowie jedli śniadanie. Pomieszczenie było jasnym kwadratem na tle czarnej sylwety domu. Patrzył jak nachyla się nad ich plecami i sięga po grzanekę. Obserwował chłopców, którzy jedli łakomie, gadając, śmiejąc się i wpychając jedzenie do ust. Widział ich szerokie bary i zamaszyste gesty. Wypełniali całą przestrzeń. Bez reszty. Widział, jak Cathy ucisza chłopców i podkreca radio. Pewnie słuchali wiadomości. Włączył radio w samochodzie. Patrzył, jak Cathy, odwrócona do niego plecami, unosi oburącz włosy i skręca je w węzeł. Przypomniało mu się jak to samo robiła przed laty. Starał się o tym nie myśleć. To było dawno. Zakładał, że znalazła szczęście w małżeństwie, a i on miał za sobą kilka dobrych związków. Chciał jej to powiedzieć: że żył parę razy

w związku, że nie był sam. Może o tym wiedziała albo się tego domyślała. Może nie trzeba nic mówić. Gdy odwróciła się do okna, trzymała w zębach spinkę do włosów, tak jak się spodziewał. W radio była mowa o tej dziewczynie. Policja apelowała o dalsze informacje. Nie było nowych tropów. Dochodzenie trwało, pomimo upływu czasu.

## 6

O północy, z nastaniem nowego roku, w całej wsi wystrzeliły fajerwerki, ale ze wzgórza wyglądały blado i nie było ich słychać. James i Lynsey wdrapali się tam wcześniej tego wieczoru, z kocami, latarkami i butelką wódki, i do północy zabrakło im tematów do rozmowy. Każde martwiło się już, że sprawy między nimi zaszły dalej, niż się spodziewali, ale żadne nie wiedziało, jak to powiedzieć. Lynsey zwierzyła się Sophie, że nie chce tego skończyć, ale też nie życzyła sobie czegoś tak poważnego akurat w tym momencie. James z nikim nie rozmawiał, ale rozsiewał aurę niepokoju. Miał wyrzuty sumienia wobec Rohana. Ale podobało mu się to, co razem robili, i uważał, że to powinno wystarczyć. Po fajerwerkach odwrócili się do siebie i pocałowali bez wahania, a James próbował nie dociekać, czy myśli przy tym o Becky Shaw. Mogła przejść przez wysokie wrzosowisko i spaść do zalanego parowu. Mogła spaść gdziekolwiek i wciąż tam leżeć. Lisy w buczynie były gotowe do godów. Po okresie oznaczania terenu i walk dobrały się w pary. Samce całymi dniami śledziły samice. Gody były radosne i głośnie. Siostra Lesa Thompsona umarła i odbył się pogrzeb. Dla Jane Hughes był to pierwszy pogrzeb na cmentarzu za kościołem. Ostatnio wszyscy wybierali krematorium. Siostra Thompsona od lat nie mieszkała w okolicy, więc na mszę przyszło niewiele ludzi, a zaledwie kilkoro skupiło

się wokół grobu, gdy grabarze spuszczaali trumnę do ziemi. Les Thompson nawet w najlepszych chwilach był człowiekiem małomównym, ale tego dnia zamilkł kompletnie. Przed pogrzebem pojechał do miasta po nowy garnitur i znalazł świetny, który leżał na nim jak ulał. Był powolny w ruchach. W odpowiedzi na kondolencje kiwał głową, a uścisk jego dłoni był ciężki i ciepły. Wzeszły śnieżyczki, gawrony latały wysoko, a wiatr kluczył pomiędzy drzewami. Jane z trudem powstrzymywała uśmiech.

Wiatry zmieniły kierunek i teraz wiały z północy, niosąc bagienno-słodką woń wilgoci od wzgórz. Po zmroku dwa starsze borsuki wychynęły z nory w dalszym krańcu buczyny, węsząc w powietrzu, zanim wypuściły się na mokrą glebę okalającą opuszczone wyrobisko ołowiu szukać dżdżownic, które zawsze tam były. Will i Claire wrócili ze szpitala z córeczką i udali się wprost do domu Jacksonów, żeby przedstawić ją Tomowi. Nazwali ją Molly, a gdy położyli dziecko na kolanach Toma, ten jakby się wystraszył. Bracia Willa parsknęli śmiechem, a i Jackson zdobył się na uśmiech. W telewizji pokazywali skutki trzęsienia ziemi: ludzi wędrujących drogą pokrytą pyłem, pozawalane mosty, ratowników kłęczących w gruzach i sięgających w ciemne czeluści. Wieczorem w walentynki Ruth przyjechała z Harefield do Martina, żeby mu oddać kartkę z życzeniami. Spojrzał jej w oczy, kiedy mu ją podawała, ale kartki nie wziął. Ja tego nie wysłałem, powiedział. Martin westchnęła Ruth. To się musi skończyć, natychmiast. Nie dam się zdobyć z powrotem. Martin kręcił głową. Mówię ci, rzekł, że tego nie wysłałem. Mina mu złagodniała. Poczuł, że chociaż ten jeden raz jest górą. Ruth patrzyła na niego, niepewna w co ma wierzyć. Stali przed pubem Gladstone'a. Ponownie wyciągnęła do niego kartkę. Charakter pisma był niewątpliwie podrobiony. Ruth rozejrzała się z nagłym przeświadczeniem, że jest obserwowana. Ja tego nie



wysłałem, powtórzył Martin, jakby był dumny z tego powodu. Odwrócił się i wszedł z powrotem do pubu, a z domykanych drzwi buchnął gwar ożywionych rozmów. Ruth wróciła do samochodu. Miała poczucie, że świat wokół niej ogromnieje. W oddali przy autostradzie migają na czerwono światła masztów telewizyjnych.

Przesunięto zegary, wieczory się rozwarły, a dni pewniej stanęły na nogach. Na miotanych wiatrem gałęziach nadrzecznych wierzb pokazały się baze. Sykomory na działkach spuściły konar na stary dom Tuckera, strącając tuzin dachówek. Deszcz wdarł się do środka i wkrótce potem pojawiła się tam tablica „Na sprzedaż”. W ogródku za domem Su Cooper popijała kawę, a jej synowie kopali piłkę. Co chwila pytali, czy mogą wyjść za bramkę do lasu, na co odpowiadała im, żeby z łaski swojej poczekali, aż skończy pić. Pozwoliła kawie stygnąć w kubku. Nie pójdziemy daleko, powiedział Lee. Będziesz nas widziała. Jednak poczekać, poprosiła po raz kolejny. Miała wrażenie, że ciągle każe im czekać. Jeszcze chwilę. Tylko dopije kawę. Trzymała łopatkę w jednej ręce; wyszła z domu z zamiarem zajęcia się roślinami, które czekały w doniczkach odkąd przyniosła je z centrum ogrodniczego dwa tygodnie temu. Ale tak naprawdę powinna była sięść do laptopa i odpowiedzieć na szereg maili w sprawie proponowanego serialu; termin upływał nazajutrz. Wstępna recepcja była raczej chłodna, projekt wydawał się niedopracowany. Pomysł z docieraniem do źródeł słów z gwary miejskiej był dobry, ale brakowało żywej narracji. Su potrzebowała czasu na pogadanie z kolegami i rozwinięcie projektu, ale Austin miał wrócić, kiedy chłopcy będą już w łózkach. Od rana byli niespokojni, a gdy na dziesięć minut usiadła do laptopa, zaczęli się bić. Więc do pracy będzie się mogła zabrać, dopiero jak ich uśpi; miejmy nadzieję, że koledzy będą jeszcze skłonni do rozmów o tej porze. Tęskniła

za świeżą kawą. Chłopcy już otwierali furtkę do lasu, wykrzykując coś o wilkach i oglądając się na matkę. Odłożyła łopatkę i rzuciła się za nimi z głośnym wyciem i palcami zagiętymi w szpony. Rozbiegli się z piskiem między drzewa, więc musiała błyskawicznie wybrać, którego ma złapać i pożreć. Odbyły się nowe wybory do rady parafialnej i na przewodniczącego wybrano ponownie Briana Fletchera. Sekretarką pozostała Janice Green. Miriam Pearson nie przyjęła kandydatury i jak zwykle zastąpił ją mąż, William. Owce kończyły się kocić i synowie Jacksona byli wykończeni. Padła propozycja ściągnięcia pomocy, ale nie mieli jak za nią zapłacić. Te późne owce kociły się na dworze i przy ładnej pogodzie nawet przyjemnie było obserwować, jak sobie radzą. Jak krążą w kółko, grzebią kopytkami i usuwają się w róg łąki, jak nowo narodzone jagnięta stają na nogi i rozglądają się zdziwione. Ale były i takie, które wymagały wielorakiej pomocy. Synowie Jacksona uwijali się z podwiniętymi rękawami i środkiem dezynfekcyjnym w pogotowiu.

W kwietniu pokazały się pierwsze jaskółki i turyści wrócili na wzgórza. Matka Richarda znowu upadła w domu w trakcie jego odwiedzin. Przyjechał raptem parę godzin wcześniej, siedział na górze i pisał maila. Kobieta, z którą się spotykał, chciała mu towarzyszyć i poznać jego matkę. On inaczej się zapatrywał na ich związek. Posprzeczali się i ona przysłała mu kolejnego maila. Próbował jakoś wyprostować sprawę, gdy z kuchni doszedł go głuchy huk. Zanim zbiegł na dół, matka już się podnosiła, dźwigała się na kolana, przerywając dla zaczerpnięcia tchu, a obok niej leżało przewrócone krzesło. Patrz, co za łamaga ze mnie, powiedziała. Jak się człowiek spieszy, to się diabeł cieszy. Nic się nie stało. Richard postawił krzesło i pomógł jej na nim usiąść, po czym spytał, czy była z tym u lekarza. Nie ma lekarstwa na potknięcia, zaśmiała się bagatelizująco.

A kręci ci się w głowie? – zapytał. Robi ci się słabo? Najlepiej pomaga na to filiżanka herbaty, odrzekła z uporem. Richard usadowił ją w salonie, podał herbatę i ciasto. Wysłał esemesa do siostry z informacją, co się stało, a ona odpisała, że w tej chwili nie ma czasu. Stał w drzwiach, wystukując odpowiedź i zerkał na matkę. Zastanawiał się, dlaczego żadne z nich jeszcze się do niej nie wprowadziło, żeby zapewnić konieczną pomoc. Nie tak ich matka wychowała. Potem spotkał się z Cathy, poszli do lasu z psem pana Wilsona. Znowu przeprosił ją, że nie był na pogrzebie Patricka, a ona zatrzymała się. Jej mina wyrażała rozbawienie podszyte irytacją. Po co znów o tym mówisz? Co ty chcesz naprawić? Sam nie wiem, odpowiedział. Po prostu kiepsko się z tym czuję. Wiem, że powinienem był coś zrobić. Richard, przecież to zamknięta sprawa, sam to wiesz, prawda? Nie dałem rady. Praca. Przeszli przez polanę. W trawie kwitły pierwiosnki, a cień pod drzewami usiany był kropkami żółtego kurzyśladu. Cathy nie bardzo rozumiała, do czego on zmierza. Patrick był dobrym człowiekiem, powiedział; nigdy nie miałem do niego żalu. Mogłeś napisać, powiedziała, a on kiwnął głową. Poradziliśmy sobie, dodała, jeśli tym się martwisz. Jakoś to zniosłam, nie do wiary, co? Rzuciłam się w działanie. Było mnóstwo spraw do załatwienia. Papiery. Finanse. Ludzie, którzy przychodzili mnie pocieszać. Na jakiś czas stałam się nową najlepszą przyjaciółką Stuarta Huntera. On polował na tartak, który ja chciałam zatrzymać. Myślałam, że chłopcy zainteresują się tartakiem, jak skończą studia, ale się nie zainteresowali. A potem trzeba było pilnie kogoś, kto by pociągnął pracę. Stuart zaoferował nam dobrą cenę. Szczerze mówiąc, nigdy go nie lubiłam. Ale cena była dobra. Nelson został gdzieś z tyłu i nie przybiegał na wołanie. Cathy zawróciła, żeby go poszukać i znalazła go obwąchującego starą pikowaną kurtkę czy bezrękawnik, z rozdartą podszewką, spod której wylaziła wata. Odciągnęła psa i dogoniła Richarda.

O zmierzchu ludzie z majątku Culshawów polowali na gołębie. Nabrali karmy z klatek na bażanty. Było ich sporo. Ilekroć seria strzałów roztrzaskiwała wieczór, gołębie z ogrodu pana Wilsona rozpraszały się w powietrzu. Płaty wrzosowisk wypalone w lutym już zieleńły się odrostami: zielone kwadraty w patchworku wrzosów. Pehnia wzeszła nad zbiornikami i zalała je bladą poświatą. Noce były ciepłe, leniwe, a nietoperze godzinami żerowały na owadach latających nad wodą. Samice nietoperzy wyszły z zimowych gniazd i zbierały się razem na łowy. Dni zaczynały się świetliście i wieś nucąc, wstawała do życia. Na modrzewiu w dziedzińcu kościoła samiec mysikrólika wyśpiewywał nagłaco pod dyktando wiosny. Rohan Wright dowiedział się o Lynsey i Jamesie. Powiedział im, że rozumie, ale nie rozumiał. Żadne z nich nie widziało go od dłuższego czasu. Założył zespół muzyczny z kolegami z miasta i ćwiczyli w wiejskiej świetlicy. Były skargi na hałas, ale komitet twardo orzekł, że młodzież ma prawo korzystać z obiektów publicznych. Poproszono ich tylko, żeby nie ćwiczyli piosenek z wulgarnym tekstem. Jacksonowi zbytnio się nie polepszyło, ale i nie pogorszyło. Pielęgniarka środowiskowa trzy razy w tygodniu pomagała mu robić ćwiczenia i albo mowa mu się poprawiała, albo rodzina nauczyła się lepiej rozumieć, o co mu chodzi. Był już w stanie sam zejść na dół do łazienki, a przy ubieraniu potrzebował tylko trochę pomocy. Musiał jednak korzystać z wózka, gdy wypuszczał się poza podwórko, co nie zdarzało się często. Maisie brała Molly do siebie na dwa dni w tygodniu, żeby Claire mogła trochę odpocząć, a Jacksonowi zawsze śmiały się oczy, gdy mała była w pokoju. W świetlicy gliniana masa była już wciśnięta w deski leżące na krzyżakach pośrodku sali i wszyscy stali wokół z mchem, płatkami kwiatów i kawałkami kory uzbieranymi przez miniony tydzień. Panowała atmosfera

wyczekiwania, typowa dla ludzi szykujących się z radością do długiej i żmudnej pracy. Poranne mgły, mleczne i gęste, wypalało słońce wlewające się w dolinę. Znad rzeki w okolicy jazu poderwała się ciężko czapla, wlokąc za sobą dyndające bezwładnie nogi. Szybko wzbiła się ponad drzewa w stronę kamieniołomu. Przy drogach na niekoszonych skrajach pól pleniły się obficie płaskie, fioletowe kwiatki geranium.

W czerwcu u Hunterów odbyło się przyjęcie z okazji zakończenia egzaminów maturalnych Sophie. Byli muzycy pod markizą i świece w szklanych słojach wzdłuż podjazdu. Samochody parkowały na obu poboczach szosy i poczyniły trochę szkód. Odgłosy przyjęcia niosły się na całą wieś. Rodzice Sophie byli obecni, ale trzymali się w cieniu i pilnowali, żeby Olivii nie dopuszczać do ponczu. Rankiem Jess podała Sophie coś gorącego do picia i wyprowadziła ją na dwór. Usiadły w altanie, Sophie opatulona w kołdrę, i zapatrzyły się na dziką łąkę, na sad i na podwórze. Dookoła wałało się sporo pustych butelek. Młodzi mężczyźni spali na trawie przy oczku wodnym. Nikogo nie wypuszczę do domu bez solidnego śniadania, zapowiedziała Jess. Zamarynują się w tym alkoholu. Sophie kiwnęła głową. Miała czerwone oczy. Jess otoczyła ją ramieniem. Harry się jednak nie wyrobił? Powinnam była to przewidzieć, powiedziała Sophie. To moja własna głupia wina. Jess obróciła jej twarz w swoją stronę i spojrzała w oczy. Naprawdę? – zapytała. Bo to ty puszczasz się na prawo i lewo? Sophie spuściła wzrok. Nie, ale jednak. Powinnam była zrobić więcej, żeby go zatrzymać. Sophie Hunter, powiedziała Jess, nie tak cię wychowałam. Tym razem ci daruję, bo kiepsko wyglądasz, ale zapamiętaj sobie: to nie twoja sprawa, gdzie chłopak wtyka swojego wacka. On za to odpowiada. Okej? A co to za dziewczyna? Taka jedna Jasmine, odpowiedziała Sophie, z Cardwell. Na wzmiankę o Cardwell Jess nie opanowała fuknięcia,

a Sophie zaśmiała się niemrawo. No właśnie, powiedziała. Co to w ogóle za imię Jasmine? Raczej Jizzmine, to słyszałam. Jess uniesioną ręką nakazała jej milczenie. Daj spokój, mam, mam prawo być dziecinna w tej sprawie. Nie to mnie martwi, że jesteś dziecinna, powiedziała Jess. Ale nie wiń swoich sióstr za postępowanie facetów. Mamo! To nie jest moja siostra. Wszystkie jesteście siostrami, skarbie. Och, mam, proszę cię, to nie są lata osiemdziesiąte. Rozległ się plusk, krzyk i dwaj chłopcy wyłonili się z sadzawki w kompletnych ubraniach, obwieszeni wodorostami i wrzeszczący w hysterii czy furii. Sophie powiedziała, że zaraz zwymiotuje, więc matka pomogła jej dojść do krzaków, odgarnęła jej włosy z twarzy i pogładziła po plecach.

W lipcu pierwsze pisklęta jaskółek wyturlały się z wysokich gniazd i zerwały do lotu, a niebawem już śmigały nad łąką w poszukiwaniu pożywienia. Rankiem, gdy słońce wyłoniło się zza wzgórza, Les Thompson wyprowadził z obory ostatnie krowy na całodzienne pastwisko. Zamknął za nimi furtkę i wrócił się umyć. Miał jakieś papierkowe sprawy, które nie do końca rozumiał. Odkąd umarła jego siostra, dodawanie jakoś mu nie szło. W starym kamieniołomie przy głównej drodze larwy małych czerwończyków żerowały na liściach szczawiu, na których się wykluły, żłobiąc w nich głębokie bruzdy, służące im do chowania się przed słońcem. Wykryto konto facebookowe na nazwisko zaginionej dziewczyny, a na nim informację, że podróżuje ona po Tajlandii i Goa. Były tam też zdjęcia młodej kobiety podobnej do wygenerowanych komputerowo portretów Rebekki Shaw, opublikowanych niedawno przez policję: na plaży, w barze, w hamaku z koleżanką. Szybko się okazało, że to żart, a studentka, która była jego autorką, wystosowała przeprosiny przez rodzinnego adwokata, zanim jeszcze wróciła do Wielkiej Brytanii; mimo to byli tacy, co

twierdzili, że coś jest na rzeczy. Pani Simpson urządziła w szkole dzień otwarty dla dzieci, które miały rozpocząć naukę we wrześniu. Przyszli tylko bliźniacy Cooperów i dziewczynka z nowego osiedla, więc było dużo czasu na rozmowę. Pani Simpson oprowadziła ich po szkole, a potem, gdy dzieciaki bawiły się w kąciку klasy panny Dale, poczęstowała rodziców gorącym napojem i wysłuchiwała ich pytań. Zdziwiło ją, jak wiele pytań ma Su Cooper, którą zawsze uważała za dość małomówną. Austin Cooper wcale nie wyglądał na zdziwionego. Su wypytywała o plan zajęć, o możliwości zabaw kreatywnych i sposoby wykorzystania boiska. Interesowało ją też, czy nauczyciele przeszli szkolenie z zakresu różnorodności etnicznej, na co pani Simpson na chwilę zaniemówiła. Zaraz jednak zapewniła Su, że nie ma powodu do obaw, bo w szkole wszyscy traktowani są jednakowo. Szczycimy się tym, że nie zwracamy uwagi na kolor skóry, dodała z uśmiechem. Dopóki pani nie podniosła tego tematu, nawet nie pomyślałam, że pani sama i chłopcy jesteście etnicznie nacechowani. Przecież tu dla nas pani jest po prostu Su, prawda? Su zrobiła minę, którą Austin już znał, ale pani Simpson jakby jej nie zauważyła. Druga matka spytała o mundurek.

Sierpień był upalny i włókł się. Na skrajach pól koszycki nasienne tawuły i ostów poczerniały i oklapły w porannej rosie. Woda w rzece była przejrzysta i płynęła powoli, prązona słońcem. Pod powierzchnią widać było gęste ławice brunatnych pstrągów. Wieczorem Ian Dowsett usadowił się z wędką w cieniu buka i zarzucił kilka różnych jętek, ale nic nie złowił. Słyszał głosy z czyjogoś ogrodu za domem na wysokim, stromym brzegu. Powietrze stało nieruchomo. W Cardwell mecz krykieta zakończył się remisem, po raz drugi w ciągu trzech lat, i niektórzy zawodnicy zaczęli hardo przebąkiwać, że szczęście się odwróciło. W sadzie Fletchera kosy

tuczyły się na wczesnych spadach, nie strzegły swojego terytorium i zapomniały śpiewać. Sally obserwowała je przez kuchenne okno, szykując omlet na obiad. Połowę odłożyła na talerz dla Briana, żeby sobie zjadł później. Zostawił jej na stole kartkę z wiadomością, że wróci późno z rady parafialnej. Zjadła i napisała mu na kartce, że zamierza wstać wcześniej rano i pójść na spacer, więc niech jej z łaski swojej nie budzi. Pod spodem nakreśliła uśmiechniętą buźkę i całusa. Ciekawe, pomyślała, czy gdyby policzyć, to tych całusów na papierze nie byłoby więcej niż w życiu. Nie wydawało jej się to szczególnie ważne. Kiedy Brian wreszcie wrócił, usłyszała zamykanie drzwi wejściowych, tak ciche, że ledwo kliknęło. Wyciągnęła rękę i zgasila lampę, żeby Brian w drodze do swojego pokoju nie zobaczył światła i nie pomyślał, że przez niego nie śpi. Skoczogonki buszowały w starym sianie na tyłach owczarni, żerowały, składały jajeczka i wykluwały się, a na czubku długiego źdźbła siedział samotny samiec z ogonkiem zawiniętym do brzuszka, gotowy wyskoczyć w powietrze po raz pierwszy w życiu. Zawahał się na moment. Nocą upał przeszedł w ulewny deszcz, ale do późnego ranka ziemia obeschła. Geoff Simmons w swojej pracowni obracał na kole nowe naczynia, posługując się wąskim nożem do ścinania skośnych krawędzi u podstawy oraz kawałkiem skóry do wygładzania szorstkich miejsc. Jakaś klientka oglądała garnki, wahając się, czy może zagadać do Geoffa. Gdy weszła do środka, zauważył ją, ale nie zareagował, wiedząc, że klient lubi sam pogrzebać w towarze. Ludzie chętnie oglądali go przy pracy. Ale to była pierwsza klientka w tym tygodniu, więc nie stać go było na to, żeby ją odprawić. Przyszła sama, co mogło oznaczać zamiar kupna. Umiejętnie trzymała naczynie, ważąc je w dłoni. Miała dobre oko. Garnek wrócił na półkę, a kobieta obejrzała się na drzwi. Przyszedł moment podjęcia decyzji. Geoff zdjął nogę z pedału, zostawiając koło na wolnych obrotach. Podniósł wzrok i udał zdziwienie,



że ktoś jest w pracowni. Matkę zaginionej dziewczynki widziano w herbaciarni. Kelnerka, która ją obsługiwała, nie wiedziała, kto to jest, a gdy jej powiedziano, nie okazała większego zainteresowania. Przecież to już stara sprawa, no nie, spytała, na co jej koleżanka zgodziła się, że raczej tak.

Zaginioną dziewczynkę widziano na kempingu demonstrantów przy Kamiennych Siostrach: miała grube warkocze i twarz osmaloną dymem z paleniska. Policja musiała się tam udać i zweryfikować jej tożsamość. Liczba protestujących spadła, odkąd okazało się, że do żadnych prac wydobywczych na razie nie dojdzie. Jeden z synów Jacksona wdał się w sprzeczkę z garstką pozostałych na miejscu demonstrantów. Jacksonowie od lat wykorzystywali ten teren do wypasania owiec i byli zdania, że najwyższy czas zwinąć obozowisko. Nie mieli jednak prawnego zezwolenia na wypas, a majątek Culshawów nie palił się do sfinansowania eksmisji. Więc owce Jacksonów powędrowały gdzie indziej, a demonstranci zostali. Dom Tuckera sprzedano już jakiś czas temu, ale nikt się tam na razie nie wprowadzał. Tyle że naprawiono dach. Opuszczony dom zrażał ludzi bardziej niż pusta dacza. Spadkobierców Tuckera nie znano, więc nie było jak na nich naciskać. Wieczorem przed wyjazdem na uniwersytet James i reszta wybrali się do miasta na drinka. Zapewniali się wzajemnie, że będą za sobą strasznie tęsknić, ale tak naprawdę nie żalowali, że rozjeżdżają się w różne strony. Były przecież komplikacje. Lynsey i James odbyli niejasną rozmowę, w której zgodnie doszli do wniosku, że właściwie nie zrywają, ale chcą czuć się wolni, spotykać innych ludzi, a na czym stoją, przekonają się za rok latem. Wszyscy będą w kontakcie, to jasne. Będą przyjeżdżać do wsi. Takie słowa padały już wcześniej, więc zanim usiedli w ogródku piwiarni nad rzeką, nie zostało im prawie nic do powiedzenia. Pogadali

o niedokończonym pakowaniu i trasach, którymi pojadą nazajutrz. Pili szybko, żeby jakoś zapełnić przerwy w rozmowie. Lynsey, która prowadziła samochód, pierwsza powiedziała, że chce już wracać. Zaparkowała po drugiej stronie mostu, do którego było ćwierć mili szosą. James już ściągał buty i skarpetki. Tylko ten jeden ostatni raz, powiedział. Sophie opróżniła swoją szklankę i zzuła sandały. Lynsey przewróciła oczami. Naprawdę? Rohan dalej palił papierosa. Trzymając go w ustach, zdjął buty i skarpetki, a dym krętą smugą przenikał mu przez grzywkę. Lynsey była wyraźnie zniecierpliwiona, ale też zdjęła buty. Na pewno nie będę tego robić, jak wrócimy na święta, powiedziała. Bo co, dojrzejesz do tego czasu? – spytał James. Rzuciła mu spojrzenie mniej żartobliwe, niż się spodziewał. Wszyscy wystawili buty na stół. Było już ciemno, tylko światło z pubu rozlewało się po trawie. Postukali trzykrotnie butami, zanim puścili się biegiem na koniec ogródka i wskoczyli do wody. Rzeka płynęła tu płytko po łasze, więc zanurzyli się tylko do łydek. Taka była tradycja, odkąd przyjeżdżali do tego pubu, ale gdy poczuli zimną wodę, Rohan krzyknął ze zdumienia, a Lynsey zapiszczała, aż wszyscy zaczęli się śmiać. Dyszeli i trzaskali drzwiami auta. Papieros Rohana jeszcze tlił się w popielniczce, dym kołował w powietrzu, a puste szklanki złapały odbłask światła reflektorów, gdy Lynsey okrążyła parking. Odjechali.

Sophie Hunter po półtora dnia pobytu na uniwersytecie zadzwoniła do rodziców. Dotąd starali się nie sprawdzać telefonów, bo nie było się czym martwić; przejechali całą drogę powrotną z pustym i milczącym siedzeniem z tyłu, zapewniając się nawzajem, że nie ma się czym martwić, ponieważ Sophie świetnie sobie poradzi. Jednak gdy telefon zadzwonił, zerwali się oboje i Stuart stał przy Jess, kiedy rozmawiała z córką. Rozmowa zaczęła się w lekkim tonie, ale Jess wyczuła, że coś jest nie w porządku. Spotykasz

się z kolegami? – zapytała. Znalazłaś sobie przyjaciół? Sophie odpowiedziała, że spotyka się z wieloma ludźmi, owszem, i niektórzy wydają się mili. Ale problem w tym, że jak tylko wspomni o tym, skąd jest, wszyscy chcą rozmawiać o tej zaginionej dziewczynie. Ja już nie chcę o tym gadać, mammo. Jakim cudem oni to w ogóle pamiętają? Jess przypomniała jej, jaki to był swego czasu głośny news. Ludzie zapamiętują takie rzeczy, powiedziała. Później o tym samym donieśli na Facebooku Rohan, Lynsey i James. Rohan nazwał to Klątwą Zaginionej Dziewczyny, a Lynsey napisała mu, żeby nie robił sobie beki. We wsi psotna noc upodobniła się właściwie do Halloween i po raz pierwszy faktycznie pukano do drzwi, wygłaszając formułkę „trick or treat”. Pierwszy raz ktoś porozwieszał też papier toaletowy na drzewach i krzakach ogrodów od ulicy, więc następnego dnia było od cholery sprzątania. Okazało się, że głównymi winowajczyniami były Ashleigh Wright i Olivia Hunter. Uznano, że pokazują, co potrafią, po wyjeździe z domu starszego rodzeństwa. Dowcipnisie pokradli dynie z wielu ganków i powrzucaли je za ogrodzenie sadu na końcu ogrodu Fletcherów, podupadłego i zarośniętego chwastami. Od lat nikt tam nie zbierał owoców, a drzewa pokryły się grubymi naroślami. Fletcherowi mówiono, że są dotacje na odnawianie sadów, ale on się z tym jakoś nie spieszył. Nieudolność była dumą Briana Fletchera, który spóźnił się na własny ślub, chociaż mieszkał naprzeciwko kościoła. Poziom wody w zbiornikach był wysoki, a rzeka, zamulona osadami ze wzgórz, przelewała się przez jazy. Podjęto decyzję o ułożeniu drugiego szlaku z kamiennych płyt biegnącego przez grzbiet wrzosowiska w celu ograniczenia erozji powodowanej przez turystów i sprowadzono helikopter do zrzucania płyt w równych odstępach wzdłuż trasy. Płyty pochodziły głównie z nieczynnych młynów w Manchesterze, wycięte kilka wieków wcześniej i pokryte koleinami wyżłobionymi przez chodaki młynarzy

wędrujących na swoje zmiany. W szkole Jones znowu się pokłócił z panią Simpson. Bojler popsuł się ponownie i inspektor zalecił zmianę całego systemu ogrzewania. Kotłownie mieli rozebrać. Jones stanowczo się temu sprzeciwił. Bojler był w porządku. Wymagał tylko drobnej naprawy.

Wyjeżdżając na studia, James i Lynsey obiecali sobie, że, oczywiście, pozostaną w kontakcie. Cała paczka to sobie przyrzekła. Lynsey wysłała do przyjaciół kilka esemesów, ale podtrzymanie kontaktów wymagało śledzenia wpisów na Facebooku. W połowie semestru wybrała się autobusem do Newcastle, gdzie studiował James, i dopiero na miejscu wysłała mu esemesa z prośbą o namiary. Myślała, że fajnie będzie go zaskoczyć – tak mówiła do Sophie. A tymczasem James przedstawił jej Holly, swoją dziewczynę, i zaproponował nocleg w pokoju Holly, z którego ta ostatnio nie korzystała. Nie to planowała sobie Lynsey. Owszem, pozostawili sprawę otwartą, ale myślała, że zejdą się na nowo. O tylu rzeczach chciała pogadać z Jamesem. Widziała wiele możliwości, na przykład wspólne łóżko. Zamiast tego wypila prawie całą butelkę wódki i wyrzygała się do umywalki Holly. Gdy obudziła się rano, umywalka wciąż była zaświniona. Wyjechała bez pożegnania. Złapała pierwszy autobus powrotny do Edynburga. Autobus jechał przez płaskie pola uprawne i Lynsey czuła się bardzo daleko od domu. Chciała wysłać wiadomość do Sophie, ale nie było zasięgu. Zasnęła. Wyboje na drodze zamieniły się w pagórki i przyśniło jej się, że dojeżdża do swojej wsi, gdzie odrosty przyciętej wierzby na polu Hunterów połyskują czerwienią i złotem w płaskim zimowym świetle. Lisy leżały w głębokich norach. Martin Fowler pracował przy stoisku mięsnym w supermarkecie, kiedy Bruce wszedł tam ze swoim nowym partnerem. Tato, to jest Hugh. Martin skinął głową, skupiając uwagę na bekonie, który akurat kroił. Cienkie plastry

opadły na bok, ostrze świsnęło i zatrzymało się w ostatnim obrocie. Martin przerzucił bekon na woskowany papier w gablocie-chłodni i dopiero wtedy spojrzął na Hugh, który był chyba bardziej zażenowany niż on sam. Skinął głową. Miło mi, Hugh. Nie wiedział, co jeszcze powiedzieć, więc odwrócił się do Bruce'a i spytał go, czy już byli u matki. Właśnie tam idziemy, odparł Bruce. Martin kiwnął głową. Spodziewa się was? Tak, tato. Spodziewa się nas. Poznała już Hugh, wiesz? Martin kiwnął głową i kątem oka dostrzegł swojego szefa, który dał krok w jego stronę. Muszę wracać do roboty. Fajnie było cię zobaczyć. Wpadniesz kiedyś? Bruce kiwnął głową. Tak, tato. Wpadnę. Kiedyś. Gdy wychodzili, Bruce rzekł do Hugh, że jeszcze nigdy nie słyszał, żeby ojciec powiedział, że jest mu miło kogoś poznać, nie miał takiego zwyczaju, musiało go mocno trafić. Hugh chciał tylko wrócić jak najprędzej do samochodu. Szef oznajmił Martinowi, że może sobie zrobić dodatkową przerwę, jeśli chce, iść na kawę do barku albo co, na co Martin odparł, że nie, dziękuje, chociaż kawa by się przydała.

Jackson przestał korzystać z solarium i pomieszczenie zapełniło się stopniowo pudłami, wiązkami słomy i worami paszy. Tom konstruował kukłę Gya Fawkesa i zostawił ją niedokończoną na fotelu. Mike szukał tam akurat gumiaków, gdy w kuchni usłyszano jego wrzask i odgłos ciężkiego upadku, a potem wściekły okrzyk, coś jak „chuj ci w dupę”. Nikt nie patrzył mu w oczy, gdy wrócił do kuchni i cisza panowała, kiedy napełniał czajnik. Włożyliśmy kupę roboty w budowę pieprzonego składziku, powiedział. I po cholere? Czy on nigdy nie będzie z tego korzystał? Maisie zaczęła mu tłumaczyć, że muszą być cierpliwi, ojciec czuje się ostatnimi czasy bardzo słabo i nie jest w stanie wstać z łóżka. Lekarz uprzedzał, że to będzie huśtawka, powiedziała. Mike zrobił sobie

herbatę i skierował się do drzwi. Chuj ci w dupę? – spytał Simon. Pierdol się, odparł Mike i zatrzaskał za sobą drzwi. W zbiorniku nr 9 ekipa konserwatorska czyściła kraty odpływowe z kawałków drewna, wodorostów i śmieci, bo spodziewano się ulewnych deszczy. Na działkach sterczały wysokie łądygi brukselki o zwiędłych, podziurawionych liściach i kapustkach skurczonych ciasno od mrozu. Komitet działkowców wezwał Susannę Wright do zrzeczenia się ogródka, bo go nie uprawiała. Wiedziała, że mają słuszność, ale poczuła się dotknięta. Nie zdawała sobie sprawy, ile to pochłania czasu. Nikt sobie z tego nie zdaje sprawy, powiedział Clive. Trzeba być emerytem albo maniakiem, żeby porządnie obrobić działkę. No to ja się jeszcze nie zaliczam do żadnej z tych grup, odrzekła Susanna, oddając mu klucz. W majątku bażanty nioski zostały przeniesione pod dach na zimowe karmienie, sprowadzono też nowe. W lesie dzikie bażanty zbijały się w gromady i wyjadały ziarno z karmników. W piątek po lekcjach Jones wziął się do reperowania okna na zawiasach w klasie panny Dale. Zdjął je z zawiasów i był już w połowie wyśpiwywania drugiej frazy z *Fernanda*, gdy zauważył pannę Dale w kąciку czytelniczym. Spojrzała mu w oczy i zachowała pokerową twarz. Jones skinął głową i wrócił do wyskrobywania farby i brudu ze żłobień framugi. Po chwili zdało mu się, że panna Dale śpiewa cicho drugą frazę, ale gdy podniósł wzrok znad roboty, jej usta się nie poruszały. Godzinę trwało, zanim zamontował wszystko na nowo, a panna Dale wciąż siedziała nad pracami uczniów. Spakował narzędzia i powiedział „dobranoc”. Dobranoc, panie Jones, odrzekła z uśmiechem. Padało prawie cały miesiąc, znów przyszły powodzie, które naniosły śmieci pod pieszy most, ale tym razem się on nie zawalił. W pubie odbyło się kolędowanie, chociaż gdy rozdano śpiewniki, entuzjizm opadł. Zanim jednak doszli do *Calypso Carol*, śpiew słyhać

było aż na rynku i do kolędników dołączył tłum ludzi z baru. „O, zabierz mnie teraz do Betlejem”.

W drugi dzień świąt James z Rohanem spotkali się u Gladstone'a i wymienili uwagi o uniwersytecie. Po raz pierwszy od lat zobaczyli się z Liamem, któremu postawili drinka, zanim się okazało, jak mało mają sobie do powiedzenia. Liam zajął się kamieniarstwem przy ojcu. Dłonie miał obrzękłe, pokryte sińcami i cętkami ranek. Przede mną jeszcze lata nauki, powiedział, ale to dobry fach. Robimy tablicę w centrum informacji turystycznej, może chcecie obejrzeć? Rohan powiedział, że pewnie tam zajrzy. James pisał właśnie esemesa do Sophie, żeby dołączyła do nich razem z Lynsey. Zerwała się burza, przewiała dolinę bocznym śniegiem, a kiedy przeszła, drzewa obrysowane były bielą. Jacksonowie mieli straty w owcach. Richard Clark przyjechał do domu przed Nowym Rokiem. Jego siostry podarowały matce na Gwiazdkę komórkę, ale aparat był jeszcze w pudełku, kiedy Richard przyjechał. Rachel mówi, że dzięki temu będę miała z wami łatwiejszy kontakt, powiedziała matka, machając ręką w stronę urzędnika. Richard spytał, czy ma jej pokazać, jak to działa. Ja już mam bardzo dobry telefon, o tutaj. Może mi zostawić wiadomość, jak zadzwoni i mnie nie będzie. Matka powiedziała, że ona nie ma czasu na pogaduszki przez telefon, ale to przecież tylko pięć minut. Richard spojrzał na nią wymownie. Najwyżej dziesięć, poprawiła się. Najwyżej. Też spojrzała na niego wymownie, żeby zaznaczyć, że to koniec tematu. W trakcie tej wymiany zdań Richard bawił się swoim telefonem. Wydaje mi się, mamo, że Rachel miała na myśli nagły wypadek. Jaki znowu nagły wypadek? No, gdybyś była poza domem i potrzebowała pomocy. Albo gdybyś była na górze i nie mogła zejść do stacjonarnego. Stacjonarnego? Rozmowa się nie kleiła. Richard był zły, że to on ją musi prowadzić, kiedy

pomysł należał do Rachel. Pozwól chociaż, że ci ją naładuję i włączę, powiedział. Będziesz mogła esemesować do wnuków, to chyba miło? Matka wzięła pudełko do ręki. Było strasznie duże i ciężkie. Nie wyglądało na urządzenie mobilne, w żadnym razie. W sylwestra przeszła następna śnieżycą i do wieczora na szosie powstały zaspę. Białe światło przesuwano się wolno przez wrzosowisko. Mróz trzymał i śnieg leżał na ziemi przez cały następny tydzień.



## 7

O północy, z nastaniem nowego roku, na wielkim ekranie w świetlicy rozbłysły fajerwerki, a na ulicach rozbrzmiała *Auld Lang Syne*. Bliźniaki Cooperów po raz pierwszy witały nowy rok poza domem, oglądając pokaz fajerwerków u Hunterów, skąd matka zamierzała ich odholować do łóżka, gdy tylko ostatnia raca opadnie na ziemię. Z rana śnieg leżał po kostki, ale południowa ulewa zmyła go bez śladu. Zmiana pogody nastąpiła nagle: zwały śniegu zapadały się i spływały rynsztokami do rzeki, która zajaśniała i zadudniła bryłami bieli, a ulice pozostały wymyte i lśniące. Wszędzie zieleniły się czubki przebiśniegów. Po ulewie przysła cisza, śnieg z dachów spływał rynnami, ptaki nawoływały się na roztopach, a od lasu Hunterów dobiegał świst piły łańcuchowej. W telewizji pokazywali przewrócony statek, krążące nad nim helikoptery, pływające kamizelki ratunkowe. Na łąkach na południe od kościoła pasły się dzikie bażanty; ich zawadiackie brunatne pióra zaplątywały się w wysokich trawach. Na działkach z gruntu wyłaził pasternak, otrząsając kremowe bulwy z czarnej ziemi. Nocą w lasach skrzeczały lisy, więc każdy, kto miał inwentarz na wzgórzach, zrywał się ze snu, nasłuchując. Kiedy do Jacksona przysła lekarka na badanie kontrolne, Maisie poskarżyła się, że mąż już prawie nie wstaje z łóżka. Powiedziała, że jej zdaniem coś obniża jego poziom energii,

choć fizjoterapeuta twierdzi, że nie ma się czym martwić. Lekarka zbadała Jacksona i na osobności poinformowała Maisie, że według niej cierpi on na depresję. Maisie się roześmiała i zaprzeczyła. Jacksonowie nie dostają depresji, powiedziała. Nie mamy czasu na depresje. Tak często słyszała ten slogan, że wypchnął jej się z ust. Zamilkła, a lekarka lekko się uśmiechnęła. Właśnie czas może stanowić dla niego problem, oświadczyła. Ale możemy zastosować pewne środki. On nie łyknie pigułki szczęścia, zachęła się Maisie. Nie musimy od tego zaczynać. Ale trzeba poobserwować. Późnopołudniowa mgła zaległa przed zmierzchem, a gdy ze szkolnego autobusu wysypały się dzieci, ich głosy były stłumione i zagubione na głównej ulicy.

W pubie Irene szorowała podłogę przed otwarciem. Pracowała szybko, ale starannie. Tony rozgadał się o swoich planach rozszerzenia menu i to jej trochę przeszkadzało. Napomknął coś o piecu do wypiekania pizzy. Irene nie miała zdania na ten temat. Nie jej pieniądze. W telewizji mówili o dziewczynie zaginionej na południu Anglii. Tony obszedł bar, żeby podkreślić głośność, a Irene zwróciła mu ostro uwagę, żeby uważał na jej mokrą podłogę. Cofnął się o krok i oboje spojrzeli w ekran. Reporter wiadomości zapowiadał rekonstrukcję zdarzeń. Irene wyniosła kubek z mopem do kuchni i kazała Tony'emu nie deptać podłogi, dopóki nie wyschnie. Trzynastoletnią dziewczynkę uprowadzono z domku letniskowego. Przez jakiś czas sprawa zdawała się być powiązana ze zniknięciem Becky Shaw. Ale odnaleziono ciało i aresztowano podejrzanego, który w czasie zaginięcia Becky był za granicą. Widocznie takie rzeczy po prostu się zdarzają. W domu Tuckera wymieniono instalację elektryczną i położono nowy tynk i nową warstwę impregnatu. Dom kupił podobno ktoś z Birmingham, niedawno owdowiały. Ale jakoś się nie

wprowadzał. Tony włączył do menu w pubie naleśniki i popełnił ten błąd, że zareklamował je hasłem „Tyle, Ile Dasz Radę Zjeść”. Okazało się, że ludzie są w stanie zjeść sporo naleśników. W kuchni zabrakło ciasta; nie wszyscy okazali zrozumienie. Nad brzegiem rzeki w dalszym końcu buczyny borsucza nora pogrążyła się w ciszy. Sześć metrów od jej wejścia, za ślepyimi zaułkami i wyścielonymi liśćmi sypialniami, rodził się pierwszy tegoroczny miot, wypływając na oślep w ciemny świat ciepłych traw i mleka. Dni zaczynały się zimną mgłą, która nie podnosiła się aż do obiadu, a i wtedy zdawała się czaić w koronach drzew. Sklep rzeźnicki stał pusty. Za ladą tkwił jeszcze wysklepiony pieniek, który ciemniał z roku na rok. Pod żywopłotami i wokół starych kamieniołomów rosły mięsiste, łyżkowate liście owczej sałaty, dostępne tylko dla wtajemniczonych. W weekend Jones przyszedł do szkoły cyklinować parkiety: maszyna szumiała, popychana w przód i w tył. Zajęło mu to bite dwie godziny. Przed wyjściem ustawił krzesła w stos i zgasił światło. W klasie panny Dale gniazdko znajdowało się koło wystawy prac plastycznych dzieci. Jones wymyślił sobie zabawę polegającą na zgadywaniu imion po obrazkach. Był w tym dobry. Ludzie zdziwiliby się, gdyby wiedzieli. Wetknął wtyczkę maszyny do kontaktu i wypolerował parkiet do połysku. Czas było wracać. Siostra na pewno się niecierpliwi. Nie zawsze dawało się coś na to poradzić.

Richard wrócił do wsi odwiedzić matkę i w spokojne popołudnie widziano go z Cathy na wrzosowisku. Odkryli, że znów mogą rozmawiać prawie o wszystkim, i rozmawiali dużo. Gdy schodzili po dalszej stronie wzgórza, tam, gdzie opada ono do zbiornika nr 7, Richard spytał Cathy, czy spotykała się z kimś od śmierci Patricka, a ona w zamian zapytała o jego związki z kobietami, i tak rozmowa, którą Richard pragnął skierować na

odkrycie pewnej możliwości, przerodziła się w coś w rodzaju zwierzeń. Była to oczywista pomyłka, ale nie dało się jej odkręcić. Zwłaszcza że Cathy, wysłuchawszy opowieści o licznych krótkotrwałych relacjach Richarda, nieostrożnie opowiedziała mu o historii z Gordonem Jacksonem, datującej się sprzed lat. Richard zdziwił się, lecz próbował okazać zrozumienie. Żałoba robi z ludźmi dziwne rzeczy, stwierdził, a Cathy ledwo powstrzymała się od pytania, skąd on może to wiedzieć. Powiedziała, że to zdarzyło się jeszcze przed śmiercią Patricka. Jakieś pół roku wcześniej, uściśliła. I trwało przez jakiś czas. Byłam z nim, kiedy wezwali mnie do szpitala. Potem się skończyło. Ja byłam gotowa ciągnąć to dalej, ale Gordon nie chciał. Zauważyła, że Richard jest w szoku, chociaż temu zaprzeczył, i powiedziała mu, że relacje męsko-damskie są chyba bardziej skomplikowane, niż myślał – bardziej skomplikowane, niż najwyraźniej by chciał. Powiedziała to z niejaką irytacją, czy resentymentem, chociaż nie widziała powodu do takich uczuć. Richard przyznał jej rację i dodał, że jest chętny do nauki. Poszli ścieżką wokół zbiornika. Ziemia była sucha. Nie padało i poziom wody w zbiornikach był niski. Skierowali się z powrotem do wsi. Potem oboje czuli się tak, jakby się pokłócili. Kiedy Cathy myślała o Gordonie, tak jak sobie na to pozwalała po powrocie do domu, doznawała cichej ulgi, że coś takiego w ogóle się stało, nie biorąc wcale pod uwagę powrotu do tych radości życia. Za pierwszym razem odbyło się to gwałtownie i chaotycznie, ten jeden jedyny raz ryzykowali, ale później zachowywali się bardzo uważnie i, dzięki niej, niespiesznie. To były takie proste przyjemności, pozostawiające na wiele dni uczucie satysfakcji, z którego nie umiała się otrząsnąć. Jednym z jej wielu zdziwień była miękkość skóry Gordona, nawet na dłoniach, które siłą rzeczy powinny być bardziej stwardniałe. Był taki delikatny, i tak mocno czuła jego pragnienie. Gdy teraz widywali się we wsi, zastanawiała się czasem, czy on dalej ma

taką miękką skórę. Pomyślała o Richardzie i uśmiechnęła się na wspomnienie nieśmiałości, z której nie zdołał wyrosnąć. Sama nigdy nie wiedziała, czy ta jego cecha ją pociąga. Usłyszała, że Nelson szczeka i poszła zapukać do drzwi pana Wilsona. Synowie Jacksona byli zajęci koczującymi się owcami. Na początku kilka stracili, ale w sumie poszło dobrze. Noce były długie, sypiali na zmianę po kilka godzin. Geoff Simmons w swojej pracowni lepił uchwyty garnków, wyciągając balaski z grudy gliny, wysmuklając je między kciukiem a palcem wskazującym i po odcięciu odkładając do suszenia. Whippet okrążał go powoli: czekał. W buczynie pokazały się pierwsze lisięta wypuszczone z nory.

Cztery tygodnie nie padało, aż do kwietnia, więc brakowało dobrej trawy dla inwentarza. Nowy miesiąc przyniósł ciepły wiatr z południa i późnym rankiem w całej wsi rozwieszono na dworze pranie. Susanna weszła do domu po przebieżce po lesie i rzuciła się prosto do kranu: jednym haustem wypła szklanekę wody i dopiero wtedy złapała oddech, czując w klatce piersiowej lodowaty strumień. Dochód z balu wiosennego przeznaczono na fundusz Woda dla Afryki, na wniosek pana Wilsona, który powiedział ludziom, że jeśli im się zdaje, że przeżywają tu ciężki okres tak zwanej suszy, to on im może podać kilka faktów do przemyślenia. Jego poglądy na tę kwestię były znane, więc wniosek przyjęto bez konieczności użycia materiałów informacyjnych, które ze sobą przyniósł. Jim Stephenson ze szkoły średniej ściągnął na bal swój zespół instrumentów blaszanych. Zamiast tradycyjnych kawałków grali klasyki disco: Stevie Wondera, Donnę Summer oraz Sly and the Family Stone. Zanim Jim zaproponował ten repertuar kapeli, musiał sam najpierw przesłuchać płytę CD, żeby się z nim oswoić, ale teraz chłopcy wykonywali go już gładko i ze swadą, a on dyrygował, podrygując tanecznie. Jim Stephenson nie był

młodzieniaszkiem. Po tańcach, w barze, Miriam Pearson zapytała go, czy ma coś z biodrami. Lekko zaczerwieniony, lecz niezawstydzony odpowiedział, że nie umie ustać przy takiej muzyce. Porządny rytm czuje się w biodrach, dodał, a Miriam się uśmiechnęła. Święta prawda, panie Stephenson, powiedziała mu, gdy ocierał łysinę dużą białą chusteczką. Na ścinkach kory w tartaku rosły grzybki świętego Jerzego – Jones podejrzewał, że nikt o nich nie wie. Zbierał je z przyjemnością, odkąd tartak sprzedano Hunterom. Bo to było tak, jakby zabierał coś, co jest własnością Stuarta Huntera, a tego typu nigdy nie lubił. Jeden z demonstrantów z obozowiska złamał nogę i ekipa ratowników górskich musiała znieść go ze wzgórza. Chłopak próbował skakać z kamienia na kamień, co ponoć było starym rytuałem, ale okazało się ewidentnie niewykonalne, gdy ocenić odległość między kamieniami w zimnym świetle dnia. Matkę zaginionej dziewczyny widziano z nikomu nieznanym mężczyzną: spacerowali po wsi. Wieczorem pojawili się przy barze u Gladstone'a. Siedzieli blisko siebie przy wspólnej butelce wina. Kobieta najwyraźniej celowo patrzyła w oczy każdemu, kto się na nich gapił, tak długo, aż ciekawski odwrócił wzrok. W pewnym momencie zauważono, że trzymają się za ręce.

W maju dni otwierały się eksplozją światła. Śniadanie jedzono pod rozjarzonym słońcem, a szykowaniu popołudniowej herbaty towarzyszył odgłos bawiących się na dworze dzieci. Na kasztanowcu koło boiska do krykieta biły się grzywacze, nacierając na siebie od tyłu z furkotem skrzydeł. Nie zawsze oczywiste było, jakim cudem nie spadną z drzewa. Hałas gołębi dochodził aż do kościoła. Wcześniej rano, przed szkołą, Jones był na działce: wykopywał kartofle. Clive na swojej działce przesadzał kabaczki z cieplarni do ziemi, ale Jones go nie widział i szybko udał się do

domu z narzędziami na ramieniu. Później Clive zobaczył Miriam Pearson, która przenosiła skrzynki z roślinami z samochodu na swoją działkę. Nakupiła sadzonek w centrum ogrodniczym, tak się domyślił. Był zdania, że sadzonki trzeba dobrze podlać przed wsadzeniem w ziemię, ale nieproszony nigdy by tego nie doradził. Grządki Miriam wyglądały schludnie. Na zebraniu rady parafialnej Janice Green odczytała list firmy autobusowej, która groziła zaprzestaniem usług, jeżeli sytuacja z parkowaniem nie ulegnie poprawie. Wyrażono ogólną obiekcję co do tonu listu, ale zgodzono się, że jego autorzy mają rację. Wywiązała się dyskusja o środkach przymusu i punktach karnych, a gdy już wszyscy się wygadali, William Pearson powiedział, że tak naprawdę mówią o tym, że Martin Fowler parkuje jak ostatni chuj. Niektórzy z obecnych wręcz poodwracali twarze z zażenowania. Poproszono Janice, żeby nie protokołowała ostatniej uwagi, a Williamowi kazano opuścić salę, i właśnie wtedy wydało się, że kawa, którą przez cały wieczór nalewał sobie z termosu, składała się głównie z whisky. Kiedy drzwi za Williamem wreszcie się zamknęły, stwierdzono, że miał on trochę racji co do zwyczajów parkingowych Martina i stanęło na tym, że z Martinem trzeba się rozmówić. W igłakach nad zbiornikiem nr 5 kwiczoł wysiadywał jaja ukryte pod ciepłym brzuszkiem, przez gałęzie ciągnął wiatr. Wieczorami padał deszcz, ale taki, na który przyjemnie jest wyjść na chwilę; zbierał kurz z powietrza. Ashleigh Wright zaprzyjaźniła się ze swoim ojcem na Facebooku. To on ją odszukał i napisał pierwszy. Była radośnie przejęta tym kontaktem. Wiedziała, że nie może mu zdradzić, gdzie mieszkają, ale w jej wpisach było dość wskazówek, żeby się zorientował. W jednej wirtualnej rozmowie ojciec rzucił nazwę wsi i Ashleigh ogarnęło złe przeczucie, o którym nikomu nie mogła powiedzieć. Richard i Cathy zabrali jej samochodem psa pana Wilsona w góry, do zbiornika nr 13, żeby mu zmienić otoczenie.

Zbiornik położony był wysoko, gdzie wiatr wiał prosto z krawędzi wrzosowiska, wypychając wodę ciemnymi skibami na szczyt tamy. Przespacerowali się ścieżką wzdłuż cembrowiny, zgięci pod wiatr. Musieli mówić podniesionymi głosami. Richard zwierzył się Cathy, że myśli o wprowadzeniu się do matki na dłuższy czas. Mógłby brać takie zlecenia, które nie wymagają wyjazdów. Dodał, że miło mu we wsi po tylu latach przerwy. Fajnie było nawiązać z powrotem kontakty z ludźmi. Spytał ją o zdanie. Poradziła mu, żeby dobrze przemyślał wszystkie opcje. Zapytała o jego matkę, czy miała więcej upadków, a Richard zrozumiał, że odciąga rozmowę od tego, co on chciał usłyszeć. Poddał się temu. Powiedział, że matka wydaje się być w formie, ale mają ją na oku. Doszli do końca zbiornika, gdzie ścieżka się urywała. Kiedy się obrócili i ruszyli z powrotem do samochodu, wiatr wiejący w plecy nadał im postawę skoczków, bo musieli uginać lekko kolana, żeby powstrzymać się od biegu.

W czerwcu wdowiec wprowadził się do domu starego Tuckera. Nadjechał pewnego ranka wynajętą furgonetką i Clive widział ze swojej działki, jak wyładowuje kartony, torby i krzesła. Oczywiście było, że przydałaby mu się pomoc. Clive odczekał, aż mężczyzna przysiądzie odpocząć na murku i dopiero wtedy podszedł z ofertą pomocy. Do przeniesienia była kanapa, łóżko i kilka podłużnych drewnianych skrzyń transportowych. Nie zajęło im to długo. Wdowiec uprzejmie podziękował, ale nie przedstawili się sobie i Clive nie został zaproszony do środka. Znów się wypogodziło i w blasku słońca rzeka pod końskim mostem była jak szklana tafła, załamywała się dopiero pokonując jaz. Strażnik wodny wyszedł w teren sprawdzać zezwolenia. Miejscowi wiedzieli, że jest sumienny, więc mało kto wędkował bez karty. Ale z letnikami bywało różnie. Les Thompson ciągnął kosiarkę przez pierwszą łąkę: kosił od



brzegów do środka, unosząc i opuszczając maszynę na każdym zakręcie, i zostawiał za sobą szeroki pokos do wyschnięcia w żniwnym słońcu. Brian Fletcher wyniósł sobie na dwór kubek herbaty i talerz grzanek, które ustawił na wąskim, niskim murku przy samochodzie. Sally wstała, zanim się obudził, i wyszła, zostawiając kartkę w kuchni na stole, że wybiera się na przechadzkę do starych kamieniołomów. Znów te motyle. To teraz jej pasja. On najczęściej nie dostrzegał między motylami różnicy ani nie zbliżał się do nich na tyle, żeby je rozpoznać. Mgnienie koloru, nic więcej. Nie umiał się zainteresować. Ale Sally wcale tego nie oczekiwała, tak jak on nie oczekiwał od niej zainteresowania swoimi samochodami. Pewnie też nie dostrzegała różnicy. Nie zauważyła może nawet, że ostatni jest nowy. Citroen DS3, rocznik 1968, z ruchomymi reflektorami. Polował na niego od jakiegoś czasu. Trzeba było dłuższej dyskusji, żeby gość zgodził się sprzedać. Maile krążyły w tę i z powrotem. Ale Brian był cierpliwy. Pochlebiał sobie, że ma dar perswazji. Zawsze wiedział, co powiedzieć i kiedy. Cała ta sprawa przypomniawsza mu pierwszą rozmowę z Sally na czacie. Maile też krążyły w tę i z powrotem, zanim doszło do spotkania. Spojrzał na czyste linie karoserii, na elegancję sylwetki. Dopił herbatę, dojadł ostatnią grzanekę i podniósł maskę. W gniazdach na iglakach wykluwały się pierwsze kwiczoły. W długie dni żywopłoty wybijały w górę. W dole nad rzeką turyści już wydeptali w trawie ścieżki. Winnie pracowała nad projektami do dekoracji studni, rozpostarłszy na stole w jadalnym płaty pergaminu. Zaczęła od obramowania i łuków, potem wykonała napis, naszkicowała niebo, chmury, słońce i wzgórze, a na koniec zaznaczyła w tle sylwetki ludzi i zwierząt. Jak zwykle miała wątpliwości, czy to wystarczy na potrzeby komitetu, który zawsze zapewniał ją wylewnie, że jak najbardziej. Na trawniku u pana Wilsona pojawiły się trzy młode kosy, tłuściutki i nastroszone. Porwały je gawrony. Nietoperze

w swoich koloniach rodziły młode i tuliły je w fałdach skrzydeł. Co noc rozlegało się poruszenie i pomruk, gdy małe nietoperze jadły, a odgłos ten przypominał podmuch wiatru w koronach drzew.

Pod koniec pierwszego roku studiów James Broad zwiózł z powrotem do wsi swoje rzeczy i złożył je w pokoju, który kiedyś należał do niego. Uprzedzono go, że przed przeprowadzką musi dokonać selekcji. Żadnego z rodziców nie było stać na spłacenie drugiego, więc sprzedawali dom. Matka kupowała komunalne niegdyś mieszkanie na końcu Close, a ojciec wynosił się z okolicy. James jeszcze nie wiedział, co ze sobą robi. Dali mu wolny wybór. Sophie Hunter oblała sesję i wróciła do domu, nie wiedząc nawet, co powinna zrobić, żeby zakwalifikować się na drugi rok. Matka zapewniła ją, że da radę, a nawet gdyby musiała powtarzać rok, to nie będzie to koniec świata. Ojciec zadeklarował, że tak czy owak są z niej dumni i ją kochają. Sophie zapamiętała głównie wymuszoność tych deklaracji. Czuła, że to raczej ona powinna podtrzymać rodziców na duchu. Matce wydawało się, że w studiach przeszkodziło jej całoroczne ostre imprezowanie, ale dla niej po prostu nauka okazała się za trudna. Ja rozumiem, że jesteś w fazie odkrywania siebie, powiedziała matka, a kiedy miałabyś się wyszumieć, jak nie teraz. Sophie wyprowadziła ją z błędu. Imprez wcale nie ma tak wiele, odparła. Wykonuję zadania, tylko źle. Matka ściszyła głos i spytała, czy Sophie korzysta z protekcji. Sophie uniosła rękę i kazała jej przestać. Za moich czasów było inaczej. Ale najważniejsze, żebyś była w zgodzie ze sobą. Sophie zatkała uszy i głośno powiedziała, że nie słyszy. Jess Hunter uśmiechnęła się do córki z czułością. Pamiętała swoje identyczne rozmowy z matką, gdy była w wieku Sophie. Na szczycie łąk nad rzeką gęsto rosły stokrotki w trawie po kolana. W długich trawach okalających boisko krykietowe wylęgały się

z larw pierwsze złote skoczogonki i rozwijały mokre skrzydełka. Drugi wylęg jaskółek przebiegł pomyślnie i białe podbrzusza piskląt łąskały półkoliście w wieczornym mroku. Grupa z Towarzystwa Edukacji Pracowników poszła na kurs informatyki. Zapanowała konsternacja, gdy padło anonimowe pytanie, jak uniknąć przypadkowego wchodzenia na strony zawierające zbyt dorosłe treści. Brian spytał, co to do cholery znaczy „zbyt dorosłe”, ale nikt nie pokwapił się z odpowiedzią.

Susanna Wright otworzyła sklep z wyrobami rzemieślniczymi, upominkami i pocztówkami w dawnym sklepie żelaznym starego Tuckera. Zgromadziła sporo rozmaitej ceramiki i Geoff Simmons podobno się obraził. Jego pracownia znajdowała się dalej za wsią i ustawicznie walczył o klienta. Susanna proponowała mu wstawienie prac do sklepu, ale odmówił. Wymamrotał jakieś powody, ale Susanna usłyszała tylko „barachło”, i z kolei ona się obraziła. Było wino musujące i chorągiewki na ulicy, i człowiek w kamizelce, który wygrywał pod drzwiami na akordeonie, starając się zwrócić na siebie uwagę. Ludzie cieszyli się z otwarcia nowego sklepu, chociaż przypuszczano, że na ten rodzaj towaru skuszą się tylko turyści. Cooper zrobił zdjęcie Susanny z Rohanem i Ashleigh przed sklepem, akordeonista wcisnął się w kadr i wszyscy unieśli szklanki. Zdjęcie trafiło na okładkę „Echa Doliny” i Ashleigh wstawiła je na swoją stronę na Facebooku. Rankiem, zanim ludzie Thompsona skończyli dojenie i wymyli oborę, słońce stało już wysoko. Wygarnęli gnój i spłukali wszystko szlauchem: woda, która spłynęła do rynsztoka na zewnątrz, była zrazu zielonobrunatna, ale potem czysta. Wrócili do domu na śniadanie. Przepracowali już trzy godziny. Bardziej opłacało się spuścić mleko prosto do rynsztoka. Jeśli ceny wkrótce nie wzrosną, farma się nie utrzyma. A poza farmą nie było nic. Zbiorniki wyglądały jak powleczone

cynołowiem. W sadzie Briana Fletchera stała przyczepa kempingowa, wciśnięta między kolczaste krzaki koło furtki. Pod uszczelkami okiennymi miała mech, a srebrna taśma maskowała pęknięcie w okładzinie. Nie było jasne, co Fletcher planuje. Gniazda w kolonii czapli już prawie opustoszały, a ziemię zaścielały spadające z nich patyki. Po wzgórzach rozlał się fiolet wrzosów w pełnym rozkwicie. Przez cały tydzień przed meczem krykieta padało, więc o grze nie było mowy, ale drużynę z Cardwell podjęto u Gladstone'a, gdzie w zamian rozegrano mecz w rzutki o puchar, i znów wywozła go do domu drużyna z Cardwell. Mike Jackson oznajmił rodzinie, że zamierza wyemigrować. W tej dziurze nic się nigdy nie zmieni, powiedział. Maisie dała mu ręką znak, żeby mówił ciszej, a Simon wymknął się do solarium i włączył telewizor. Każda normalna rodzina już dawno by wszystko ustaliła, a my mamy czekać z założonymi rękami, żeby się dowiedzieć, jakie niespodzianki kryje testament taty? Jemu się zdaje, że będzie tak siedział w łóżku i zdalnie sterował farmą, a przecież pojęcia nie ma. Dobrze wiesz. Trzeba było zmienić profil gospodarstwa lata temu, powiększyć je, wziąć kredyt. Maisie obserwowała ruchy jego ust, ale właściwie nie słyszała, co mówi. Myślała, jak daleko jest Australia i że na pewno nigdy tam nie pojedzie. Ale to tylko na jakiś czas, tak? – spytała. Tam się proszą o ludzi z doświadczeniem, powiedział Mike. I dobrze płacą. No to będziesz mógł zaoszczędzić na powrót i urządzenie się tutaj na swoim za rok czy dwa? Mają tam tanią ziemię na terytoriach północnych, odpowiedział. Dotacje i wszystko. Ale to tylko tymczasowo? Mike spojrział na nią. Był jej najmłodszym. Był ostatni. To tylko Australia, mamó. Nie jadę na Księżyc.

Lato było mokre, ale we wrześniu niebo się wypogodziło i błoto na drogach powysychało, tworząc grubościennie koleiny. Skoczogonki pod

bukami za Close ryły w ziemi, żywiąc się strzępkami opadłych liści, a gdzieś głęboko w kopcu samiec złożył krążek spermy. Z dzikiego bzu przy wejściu do domu Hunterów zdmuchnęło gniazdo kosa, gliniana zaprawa się wykruszyła, a trawiasta wyściółka rozwiała jak plewy. Tony zmajstrował dekorację z chmielu na dożynki w kościele: kompozycja była bez wątpienia frapująca, ale znaleźli się tacy, co uważali, że jej dosadna woń nie przystoi w miejscu świętym. Siostrę Jonesa widziano na pocztce, jak kupowała papier do pakowania i sznurek – powszechnie uznano to za jakiś przełom. Irene opowiadała czasami, że siostra Jonesa na jej weselu była duszą towarzystwa. Straszna szkoda, że tak jej się porobiło, wzdychała Irene. Tak, jakby ktoś rzeczywiście wiedział, co się porobiło. W niedzielę wieczór Brian i Sally Fletcherowie jedli razem kolację. Brian usmażył kotlety jagnięce i ugotował kartofle, a Sally przyrządziła sałatkę. Taki przyjęli zwyczaj i bardzo go przestrzegali. Przez większość tygodnia mijali się, komunikując się za pomocą liścików zostawianych na kuchennym stole. Obojgu to odpowiadało. Pobrali się późno i dobrze czuli się w samotności. Ale postanowili, że w każdą niedzielę zjedzą razem wieczorny posiłek. Nie chcę zapomnieć, jak wyglądasz, zażartował Brian. Kolacja i rozmowa, a później wspólne oglądanie telewizji. Zazwyczaj nadawali wtedy jakiś kryminał. Na działkach widziano Ruth pracującą samotnie: zrywała garściami fasolę z przeładowanych pędów. Na liściach było pełno mszyc, ale o tej porze roku to jej nie martwiło. Przynajmniej biedronki się pożywią. Kabaczkom pozwoliła jeszcze dojrzewać, bo nawet jeśli ostatnio nie miały wzięcia, to świetnie wyglądały w koszach przed sklepem. Przypominały ludziom o festynach dożynkowych, a to ich zachęcało do wejścia do sklepu i wydawania pieniędzy. Krzaki czarnych porzeczek wokół szklarni były ciężkie od owoców, więc Ruth za każdym razem, gdy przechodziła, zjadała garść owoców prosto z krzaka. Komitet

działkowców miał zastrzeżenia do tych chaszczy. Sprawa nie była jeszcze rozwiązana. Zabuczał telefon, a kiedy odczytała esemesa, jej twarz rozjaśnił uśmiech, który mimowolnie skryła za poplamioną porzeczkami dłonią. Na moment przysiadła na ławce i obserwując wydłużające się w poprzek doliny cienie, napawała się ciepłem i starannie obmyślała odpowiedź.

W psotną noc we wszystkich bocznych uliczkach i alejkach zadymiły śmierdzące bomby i smrodziły aż do wyczerpania się zapasów. Irene zrzędziła, że jeśli ktoś uważa to za psotę, to musi być rozpuszczony jak dziadowski bicz. Spytała, czy już opowiadała o tym, jak jej mąż nieboszczyk schował całe stado bydła, i dowiedziała się, że owszem. Były kostiumy z popularnych horrorów i podświetlane dynie z wyciętymi gębami. Rzepy jak na lekarstwo. Ścierniska po południowej stronie kościoła roiły się od żerujących kwiczołów. W pubie, kiedy Irene sprzątała, była mowa o filmie z Bondem, który właśnie wyświetlano w klubie kinomana. Ktoś powiedział, że to nie najlepszy Bond, na co Irene zaprotestowała, mówiąc, że gra w nim Daniel Craig, więc, oczywiście, musi być najlepszy. To jest mężczyzna, westchnęła. Chętnie zapłacę nawet za obejrzenie go w dokumencie o malarstwie pokojowym. Spodziewała się śmiechu, a usłyszała ciszę. Wróciła do zmywania podłogi, każąc ludziom unosić stopy. Sama nie wiedziała, po co w ogóle zabierała głos. Wszyscy się zdziwili. Myślą sobie, że jak człowiek śpi sam, to już krew w nim nie krąży. Myślą sobie, że jak już nie działasz na facetów, to i na ciebie nic nie działa. Ludzie czasami dziwią się najoczywistszym rzeczom. Żyje się tylko dwa razy, rzucił Tony z za baru. Klasyczny Connery, powiedział Martin. Wywiązała się dyskusja. Irene odstawiła wiadro z mopem. W szkole wybuchła awantura, bo pani Simpson sprowadziła inżynierów do kontroli kotłowni, a Jones nie chciał ich tam wpuścić. To nie jest pana własna

kotłownia, panie Jones. Nie dam się szarpać, zaprotestował Jones, a inżynierowie zapowiedzieli, że przyjdą kiedy indziej.

Cathy zapukała do pana Wilsona z pytaniem, czy Nelson nie powinien wyjść na spacer, a on jej oznajmił, że już nastawił czajnik. Nelson krążył w tę i z powrotem koło stolika w salonie, przy którym siedzieli, i trącał go ogonem. Pan Wilson znowu upiekł ciasteczka. Były przepyszne, ale Cathy wiedziała, że nie ma sensu pytać, dlaczego pan Wilson nigdy nie ofiaruje swoich ciastek na wiejskie festyny. To raczej babskie zajęcie, no nie? – odpowiedział, kiedy go raz o to zagadnęła. Nie przypominał sobie, żeby piekł cokolwiek, dopóki żyła jego żona. A to było dawno temu. Jean pewnie by nawet nie zauważyła, gdybym coś upiekł. Umarła piętnaście lat temu albo i więcej, kiedy synowie Cathy nie chodzili jeszcze do szkoły, a ona sama z trudem orientowała się, jaki jest dzień tygodnia. Przypomniało jej się, jak stała z malcami pod drzwiami, odliczając do dziesięciu, żeby się opanować i wyjść do wsi bez miny udręczonej matki, która przed chwilą ubierała na siłę dzieciaki, ścierała resztki śniadania ze ścian i wyła z niemocy w stertę poduszek. A potem poprawienie na sobie ubrania, uśmiech i otwarcie drzwi. Gotowość do mówienia „dzień dobry”, do wysłuchiwania rad znajomych spotkanych na ulicy. Pan Wilson nie był jeszcze wtedy stary. Nie przeszedł nawet na emeryturę. A jednak zawsze widziała w nim staruszkę. Może przez podświadome skojarzenie ze słowem „wdowiec”. Albo przez dystans młodości. Chociaż przecież nie była już taka młoda, a czuła się starsza ponad swój wiek, dużo starsza, i bez przerwy zmęczona. Uśmiech, wdech, poprawienie ubrań, otwarcie drzwi. Gotowość do przyznania, że to wielka radość mieć dwóch synów i chociaż czasem dają do wiwatu, to w sumie warto się pomęczyć. I śmiech. Wciąż ten pieprzony, wymuszony śmiech. Musiała trzymać fason przed całą ulicą, bo

pan Wilson często coś robił przed domem, doglądał kwiatów albo bawił się z psem – wtedy to jeszcze nie był Nelson, tylko wyżeł Franklin – a potem padała tuż za swoim progiem, ale nie przestawała działać, bo chłopcy zawsze się czegoś domagali albo coś psuli, no i trzeba było zrobić herbatę i położyć ich spać, nareszcie, a i Patrick zawsze czegoś chciał, gdy wracał do domu. Dopija herbatę, podziękowała panu Wilsonowi za ciasteczko i poszła po smycz Nelsona. Od lasu Hunterów dobiegał warkot ciężarówki ściągającej drzewo; silnik ryczał przeraźliwie z wysiłku pokonywania oporu ciężkiej ziemi. Pod koniec miesiąca spadły pierwsze śniegi, ale były mokre i nie utrzymały się.

Na placu rozbłysły bożonarodzeniowe dekoracje i Tony wywiesił szyld informujący o otwarciu rezerwacji na świąteczne obiady. Było kolędowanie nadawane przez radio z szopy, gdzie trzymali traktor, a gdy Gordon Jackson wysłuchał Willa śpiewającego *Cichą noc*, nie przestawał o tym gadać całymi dniami. Ilekroć Will wszedł do pokoju, Jackson intonował „Pokój niesie ludziom wszem”. Były mąż Susanny wszedł do sklepu pewnego popołudnia i powiedział „cześć”, jakby był zaproszony. Sprawiał wrażenie wyluzowanego i otwartego, ale drzwi zamknął w sposób wielce wymowny. Susanna, powiedział z szerokim uśmiechem. Tu jesteś. Był niskiego wzrostu. To fakt. Susanna skinęła głową. Nie miała odwagi przemówić. Spojrzała w okno za nim – nie było tam nikogo. Ludzie raczej nie przechodzili tą ulicą. Były mąż stanął pomiędzy nią a drzwiami i zapytał, jak się miewa. Jej telefon leżał na półce przy kasie, od której też odgradzał ją nieproszony gość. Sklepek był mały. Chciała poprosić, żeby wyszedł, ale czuła, że byłoby to niebezpieczne. Zmobilizowała cały swój instynkt samozachowawczy. Środki biernego oporu. Trzymała się prosto. Usztyniła kręgosłup. Odpowiedziała, że ma się dobrze i spytała, co go



sprowadza. Wyluzuj, Susanna. Jesteś spięta. Daj spokój. Nie przyszedłem tu robić szumu. Zawiedziesz się, ale nie zamierzam zdobywać cię z powrotem. Zacerpnęła tchu przez falę irytacji. Pokręciła nieznacznie głową, a on zbliżył się o krok. Chcę się tylko zobaczyć z Ashleigh. Dość czasu minęło. Mała potrzebuje ojca. Susanna znów pokręciła głową. Ashleigh jest w szkole, powiedziała. Mogę poczekać, odparł. Nie tak się umawialiśmy, powiedziała. Nie powinno cię tutaj być. Przysunął się jeszcze o krok, ale wystawił dłonie, jakby się oddalał. Na nic się nie umawialiśmy, Susanna. Ten ton, którym wymówił słowo „umawialiśmy”. Stała nieruchomo. Jej telefon leżał poza zasięgiem ręki. Sklep był mały. Usłyszała jego przyspieszony oddech, gdy zrobił jeszcze krok.

Wystawiono sztukę *Złotowłosa i trzy niedźwiadki*. Andrew został obsadzony w roli Małego Misia. Był za duży na to, ale się zgodził, bo wiedział, że matce sprawi to przyjemność. Czuł, jak język kołowacieje mu z tremy, a głos zanika w futrzanym łbie kostiumu. Kiedy znalazł w swoim łóżeczku śpiącą Olivie Hunter, z długimi blond warkoczami wijącymi się po poduszce, dał sobie w ogóle spokój z mówieniem i tylko na nią patrzył. Wydawało mu się, że tak należy robić. Był w tym jakiś spokój. Jess Hunter, przebrana za Mamę Niedźwiedzicę, wpadła na scenę i zaczęła recytować. Któż to śpi w twoim łóżeczku, Mały Misiu? – spytała, a Andrew jakoś zdołał okazać zdumienie pomimo nieruchomej maski. Zszedł ze sceny wcześniej niż to przewidywał scenariusz, a potem przez jakiś czas nie można go było znaleźć. Richard Clark przyjechał do domu na sylwestra i jego siostry znów zaczęły przebąkiwać o oddaniu matki do domu opieki. Rozmowy były szeptane, nerwowe i matka się zorientowała. Nigdzie nie pójde, oświadczyła. Już wy się więcej o to nie martwcie. Będziecie mnie musieli stąd wynieść w drewnianej skrzynce. Nie denerwuj się, mamo,

powiedziała Rachel głośno i wyraźnie, tak jakby problemem pani Clark był osłabiony słuch albo zdolność rozumienia. My tylko chcemy, żebyś zamieszkała gdzieś, gdzie będzie ci lepiej. Gdzieś, gdzie będziesz mogła o mnie zapomnieć, chciałaś powiedzieć. Gdzieś, gdzie nie musielibyśmy martwić się co pięć minut, że coś ci się stało, tak mam, owszem. Nie wysilaj się. Nie obrażaj się. Richard obserwował tę wymianę zdań, jakby nie miał w niej żadnego udziału. Przemawiały jak według scenariusza. Decyzja tak czy owak zapadnie poza jego plecami. Musiał wyjechać wcześniej, żeby zdążyć na zebranie. Gdy wychodził, one jeszcze dyskutowały. W przyczepie kempingowej w sadzie u Fletchera widziano światło i poruszającą się po wnętrzu postać. Przystąpiono do wycinki krzaków porzeczek. Mike Jackson przygotował papiery na wyjazd do Australii i zaczynał się pakować. Maisie odmówiła mu pomocy, a nawet rozmowy na ten temat. Ojcu pęknie serce, powiedziała tylko, ale Mike był prawie pewien, że to nieprawda. Po prostu robi dobrą minę do złej gry, powiedziała Maisie. Zaginiona dziewczynka nazywała się Rebecca albo Becky, albo Bex. Na zdjęciu była prawie odwrócona od obiektywu, jakby nie chciała się pokazać, jakby wolała być gdzie indziej. Powinna mieć teraz dwadzieścia lat, ale wciąż mówiono o niej jako o dziewczynce. Minęło siedem lat i przebąkiwano, że według prawa będą musieli uznać ją za zmarłą. Z oświadczenia policji wynikało jednak, że nie ma takiej podstawy prawnej. Tego typu deklaracje zależą zawsze od okoliczności. Rodzice dziewczynki nie zaprzestali poszukiwań i to samo oświadczenie policji potwierdzało, że sprawa jest otwarta. Ludzie we wsi popatrywali na wzgórze i czuli, że od dawna znają prawdę. Dziewczynka mogła wspiąć się wysoko na wrzosowisko i spaść w zalany dół, zagrzebując się w zimnym, głębokim mule, zanim zjawily się tam psy i kamery termiczne. Mogła spaść

gdziekolwiek i leżeć tam nadal, z rozmiękłą, wygarbowaną brunatną skórą, opleciona starannie włosami.

## 8

O północy, z nastaniem nowego roku, w deszczu rozbłysły fajerwerki, a z sąsiedniej doliny zagrzmiała burza. Deszcz chlusnął falą znad wzgórz, siekąc twarze amatorów sztucznych ogni. Rzeka wezbrała i zgęstniała, przyciągając liczne lipienie, które pożywiały się larwami chruścików i krewetkami. Rankiem Ian Dowsett wyszedł z domu z nowym pudłem poczwerek i ledwo utrzymując równowagę w wartkim nurcie, wysypał ciężką zawartość do wody. Były mąż Susanny zjawił się ponownie i tym razem doszło do kłótni na oczach świadków. Wezwano policję, która go aresztowała. Dostał kolejne napomnienie. Susanna była zażenowana i nie chciała o tym mówić, ale koniec końców prawda wyszła na jaw. Sprowadziła się do wsi, żeby uciec od eksmałżonka. Najpierw mieszkała z dziećmi w schronisku, ale on ich wytropił. Jego pogróżki nie dawały podstaw do aktu oskarżenia, lecz dostał zakaz kontaktów. Susannie zaproponowano pomoc w przeniesieniu się w inne miejsce. Słyszała o tej wsi, mieszkała tu kiedyś jej ciotka; takie samo dobre miejsce jak każde inne. Zamierzała zachować tę informację dla siebie. Uważała, że warunkiem zbudowania nowego życia jest nie myśleć o tym, co było. Zdawało jej się, że może zostawić przeszłość za sobą. Ale teraz on się pojawił i wszyscy o tym wiedzieli. Wyszło to na jaw w rozmowie z Cathy

Harris, która pewnego wieczoru pomagała Susannie sprzątać po zajęciach z jogi. Cathy miała w sobie coś, co skłaniało do zwierzeń. Skinęła głową, jakby z góry wiedziała, co Susanna chce powiedzieć. Niewiele osób widząc jej męża, podejrzewało go o taką agresywność. Nie miał odpowiedniej postury, nie był w typie brutala. Susanna słyszała takie opinie, nawet gdy jego poczynania stały się, przynajmniej po części, powszechnie znane. Kiedyś myślała, że to jej wina, że czymś prowokuje tego układowego człowieka do zachowań, które są mu z gruntu obce. Że powinna znaleźć sposób uchronienia go przed atakami furii. Po każdej awanturze był bardzo skruszony. Tłumaczył, co mu się nie spodobało i co Susanna powinna robić inaczej, żeby pomóc mu na przyszłość opanować wybuchy złości. Zawsze tłumaczył się utratą kontroli nad sobą, a jednak bardzo pilnował, żeby nie zostawić śladów na jej twarzy. Dwa razy złamał jej rękę, a raz wyrwał ramię z barku. W szpitalu Susanna kłamała na temat tych obrażeń. Powtarzał jej, że bez niego byłaby nikim, że ma wśród ludzi opinię głośnej, bezczelnej dziwaczki. Mówił, że ma schudnąć, ćwiczyć mięśnie, ubierać się inaczej, śmiać się ciszej, nie jeść w miejscach publicznych, zmienić przyjaciół, być lepszą matką. Gdy Rohan ją zapytał, dlaczego nie odejdą z domu, poczuła po raz pierwszy, że to możliwe. Rohan miał wtedy dwanaście lat. Wcześniej niż ona zrozumiał, co się dzieje w domu. Zapewniła go, że ojciec ich kocha, tylko przeżywa trudny okres w pracy, że wszystko wkrótce się poprawi – a syn wydrukował dla niej informację o przemocy domowej i sieci schronisk dla jej ofiar. Gdy uciekli, nie doznała ulgi i nie miała pewności, że postąpiła słusznie. To przekonanie przychodziło do niej stopniowo. Ale we wsi poczuła się gotowa do nowych wyzwań. Podniosła głowę. Wyprostowała się. Joga pomogła.

W lutym śnieg padał solidnie przez tydzień i na wzgórzach potworzyły się trzymetrowe zasy. Drogę ze wsi do miasta odśnieżano pługiem, zgarniając na pobocza wysokie wały, ale za wsią szosa była nieprzejezdna. Synowie Jacksona musieli pieszo wyprawić się po owce, których ściągnęli ze wzgórz, ile się dało. Większość owiec znaleźli z łatwością, bo schroniły się na zawietrznej za skałą lub skupiły wokół drzewa, ale i tak straty były niemałe. W majątku przeniesiono bażanty z zimowych klatek do mniejszych kojców lęgowych i wzbogacono im karmę. Na działkach spod śniegu sterczały ostatnie żółtawe pory, dorodne i ciężkie, z łuszczącą się pergaminową błoną zewnętrzną. Nad rzeką burza powaliła wierzbę, która rosła sobie dalej jakby nigdy nic, wyciągając gałęzie do nieba. Molly Jackson obchodziła drugie urodziny. Na przyjęciu Maisie uważnie obserwowała Willa i Claire, a potem miała pytania, na które Will nie chciał odpowiadać. Widziała, że między nimi znów się psuje, ale nie mogąc nic na to poradzić, drżała tylko o dzieci. Ostatki wypadły czternastego: w kuchni u Gladstone'a Olivia Hunter z mozołem smażyła naleśniki w kształcie serc. Był to pomysł Tony'ego, którego on sam chyba nie próbował zrealizować. Tony dał Olivii wykrawarkę do ciastek spełniającą swoją rolę foremki, dopóki nie trzeba było odwrócić naleśnika na patelni. Olivia co i rusz parzyła palce. Goście żartowali sobie ze złamanych serc, o czym Tony nie omieszkał jej donieść, gdy wrócił do kuchni. Wieczór dłużył się niemiłosiernie. Nazajutrz, w Środę Popielcową, na nabożeństwo przyszły trzy osoby, z których jedną była Jane Hughes. Zaprosiła obecnych do ołtarza i odprawiła liturgię półgłosem, który mógł dotrzeć najwyżej do pierwszego rzędu ławek. Na koniec naznaczyła popiołem czoła Irene i Briana i poprosiła, aby Irene zrobiła to samo jej, a potem wszyscy usiedli z zimnymi smugami na twarzach. Na dworze w późnozimowym słońcu widziano Sally Fletcher wynoszącą z domu dwa kubki herbaty

i rozmawiającą z mężczyzną, który mieszkał w przyczepie kempingowej. Okazało się, że to jej brat. Uporał się z chaszczami porzeczek i ogólnymi porządkami, a teraz brał się do drzew. Brian Fletcher kazał mu na początek pousuwać martwe gałęzie, a potem się zobaczy. Trudno powiedzieć, jakie układy mieli Fletcherowie z tym człowiekiem, ale ludzie odnosili wrażenie, że on nigdy nie wchodzi do domu. Widziano go czasami w drzwiach kampera, jak palił papierosa. W jego twarzy było coś ponurego. Miał tatuaże.

Wdowiec zadomawiał się w chałupie starego Tuckera. Wykonał wielką robotę w ogrodzie. Usunął betonowe płyty, posadził drzewka owocowe i usypał liczne grządki. Jego ogród przed domem przypominał raczej działkę i niektórzy byli zdania, że należy z nim porozmawiać. Jednak w świetle okoliczności postanowiono dać mu spokój. Nie pokazywał się we wsi, co brano za oznakę żałoby. Niewiele wiadomo było o rodzinie, którą stracił, i nikt nie ośmielił się wypytywać. Na działkach Jones sadził cebulę. Grządki były u niego prościutkie i nie dopuszczał na nie chwastów. Uporawszy się z robotą, odniósł narzędzia do domu. W szkole spece od ogrzewania uzyskali dostęp do kotłowni i wydali wyrok skazujący na bojler. Była mowa o nowoczesnym systemie grzewczym w głównym budynku. Pani Simpson powiedziała Jonesowi, że może nadal korzystać z kotłowni jako magazynu, a on nic na to nie odpowiedział. Zegary przesunięto do przodu i wieczory się wydłużyły. Pączki na gałęziach były coraz jaśniejsze. Irene miała kłopoty z Andrew. Próbowwała porozmawiać z panią pastor, ale nigdy nie trafiła na stosowną porę. W ośrodku dziennym działały grupy wsparcia, ale nie dla niej. Należeli do nich rodzice, którzy chcieli coś zmienić, poprawić. Ona wiedziała, że o żadnej poprawie nie ma mowy. Potrzebowała tylko sposobu na panowanie nad tym, co ma. Sposobu

na zachowanie bezpieczeństwa we własnym domu. No, może trochę przesadzała. Ale to był już duży chłopak. A temperament miał porywczy. Po ojcu. Wyzywał ją okropnie. Nie wiedziała, skąd on zna takie słowa. Pewnie z komputera. Nie miała pojęcia, co on tam robi przy tym komputerze. Wiedziała tylko, że siedzi przed nim zaabsorbowany. Niewzruszony. A bywały dni, że nie mógł się od niego oderwać. Nie ubierał się wtedy, nie wychodził na przystanek. W internecie były niebezpieczne treści, wiedziała o tym, chociaż nie miała pojęcia, jakiego rodzaju. Martwiła się, nie wiedząc właściwie o co. Mogła pogadać z Cooperem. On znał się na komputerach. No i mogła wyłączyć urządzenie z sieci, gdyby zaczęło dziać się coś złego. Tylko co by wtedy zrobił Andrew. Był już taki duży. Przy zbiorniku nr 3 ekipa konserwatorska sprawdzała stromy nasyp, wypatrując jam, rozmięklej ziemi i dzikiej roślinności. Na razie nic nie znaleźli, ale sprawdzali dalej. Poziom wody w zbiorniku opadał szybciej niż powinien. Straty nie dawały się wyjaśnić. Nocą rozpętała się druga burza i deszcz siekł okna jak żwir.

Kiedy zmrok zaczął gęstnieć nad borsuczą norą w dalszym krańcu lasu, samiec z poszarpanym uchem wywabił samicę, drepcząc dookoła wylotów nory, aż wylazła z cichym piskiem i została wzięta. W lasach unosił się gęsty zapach dzikiego czosnku, a liście przy ścieżkach lśniły ciemną zielenią. Synowie Jacksona wyszli na łąki doglądać owiec. Większość jagniąt pasła się już na trawie i szybko rosła. Za to ich matki straciły kondycję i zostały oznaczone na dożywianie. Ranek był ciepły, a ziemia emanowała oszałamiającą wonią pożywności. Jagnięta tryskały zdrowiem i obskakiwały się nawzajem. Synom Jacksona trafiła się rzadka okazja przycupnięcia na przyczepie i zapalenia papierosa. W weekend Cooper zabrał bliźniaki na wczesnoporanny spacer, żeby Su chociaż raz mogła się



wyspać. Ostatnio dużo pracowała i późno się kładła. Spakował im do plecaków prowiant i napoje, i wyruszyli przez ogród do lasu. Chłopcy byli przejęci, wybiegali naprzód i siekli patykami pokrzywy. Kiedy doszli do rozwidlenia, dał im wybrać drogę, ale sprytnie pokierował w stronę centrum i szlaku wiodącego do zbiornika nr 3. Chłopcy nigdy jeszcze nie zaszli tak daleko. Po drodze przechodzili obok zagrodzonej furtką grotę, która nasunęła im na myśl masę pytań. Ojciec opowiedział im o kopalniach ołowiu i o grotach naturalnych, i o tym, że owszem, są chętni do zapuszczania się w podziemia. Zapytali, czy to bezpieczne, na co odrzekł, że nie dla nich i śmiejąc się ruszył dalej, jakby uznał, że na tym wyczerpała się dziecięca ciekawość. Zanim pokonali wzgórze, chłopcy zaczęli zostawać z tyłu, więc Cooper zarządził odpoczynek. Usiedli na płaskiej skale i zaczęli jeść kanapki. Sam zapytał, czy to prawda, że pod wodą są domy. Lee nazwał go idiotą, ale Cooper wyjaśnił, że tam w dole faktycznie były kiedyś wsie, a wszystkie zbiorniki powstały z zalanych dolin. Spojrzeli na niego, sprawdzając, czy nie żartuje. Świat nie zawsze miał sens w objaśnieniach dorosłych. A jednak w miasteczku żyli jeszcze ludzie pamiętający, jak rzeka przelewała się przez brzegi za nowo wzniesionymi tamami, przesiąkając powoli, jakby nigdy nie miała napełnić doliny, wbrew obietnicom inżynierów. Ale z dnia na dzień poziom wody wzrastał, zalewając granice ewakuowanych wsi, i tama zaczęła nabierać sensu, aż kiedy przyjechał książę, aby dokonać uroczystego otwarcia śluzy, woda przelewała się ponad wałem. Interes Susanny Wright nie spełniał założeń planu biznesowego, który przedstawiła swojemu doradcy małych firm. Sklep był otwarty do późna, miejscowi zaopatrywali się w nim w kupowane w ostatniej chwili kartki urodzinowe i upominki, ale turystów, którzy zaglądali do środka, zwykle nie interesowały świece ani rzemiosło artystyczne. Ashleigh pomagała czasem matce po szkole, jednak trudno

było udawać ruch w interesie. Prawie codziennie sklep mijał Geoff Simmons ze swoim whippetem, ale nigdy nie wszedł do środka. Na balu wiosennym Gordon Jackson zaskoczył Irene zaproszeniem do tańca. Nie pamiętała już, jak się tańczy, ale szybko złapała jego krok. Miała nadzieję, że nikt na nich nie patrzy. Czuła tężyznę jego ciała pod koszulą i nie widziała powodu, by o tym nie myśleć. Trzymał ją tak, jakby lada chwila miał unieść w powietrze. Dwa razy poczuła na udach dotknięcie jego nóg. Potem zostało jej wspomnienie sztywności jego zwartych mięśni. Powiedział coś, czego nie dosłyszała, i uśmiechnął się do niej z góry, a ona na chwilę uwierzyła, że poza nią Gordon Jackson nie widzi w tej sali nikogo. Zrozumiała, że to talent. Ted nigdy tak na nią nie patrzył. Od dawna podejrzewała, że Gordon ma złą reputację, a teraz zrozumiała dlaczego. Taniec się skończył i Irene poszła usiąść. Gordona zaskoczył niechciany impuls z wnętrza ciała. Nie uległby mu, ale zmartwił się, że w ogóle coś takiego poczuł. Niektórzy na pewno powiedzieliby, że ma problem. Rozejrzał się za Susanną Wright.

W maju poziom wody w zbiornikach był niski, a rzeka powoli niosła kożuch chwastów w stronę jazów. Słońce stało wyżej na niebie. Dni wypełniły się, a długie zimowe noce poszły w niepamięć. Les Thompson spacerował po swoich łąkach i czekał na pierwsze kwitnienie traw; łądygi już sztywniały, a źdźbła u podstawy więdły. Za parę dni trzeba będzie kosić. Na plantacji iglaków gniazda mysikrólików były pełne jajeczek wielkości niemowlęcego kciuka. Przy szlaku przez wrzosowisko leżały owcze kości, obgryzione do czysta i już zaczynające się rozsypywać. Słyszano odgłos ciężarówki, która minąwszy wjazd do cementowni, wspinała się pod górę do wsi: silnik zapiszczał zniechęca i całkiem zgasł, gdy kierowca zmieniał bieg. W buczynie młode liski ssały matczyne mleko. Tłoczyły się przy

wejściach do nor albo siedziały na zewnątrz i czekały na powrót matek. U Jacksonów wybuchła awantura, gdy Simon Jackson oświadczył, że wyjeżdża do Australii razem z Mikiem. W sadzie Fletchera widziano drugiego mężczyznę oprócz brata Sally: wiadomo było, że sypia w przyczepie kempingowej, ale nie było jasne, czy jest mile widziany. Nie wyglądało na to, żeby coś robił. Richard Clark zaszedł do Cathy. Umawiali się na spacer, ale kiedy zapukał, jeden z synów Cathy powiedział mu, że jej nie ma. Richard czekał na jakąś dalszą informację, ale jej nie uzyskał. Kiedy spytał, czy Cathy niedługo wróci, chłopak powiedział mu, że nie warto czekać. Już właściwie nie chłopak, a młody mężczyzna; przerwał studia i pętał się po domu ze swoją niepewnością. Dzięki, Nathan, powiedział Richard, zgadując jego imię. Jednak poczekam, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Nathan wzruszył ramionami i zostawił drzwi otwarte. Richard wszedł do kuchni i sprawdził swój telefon. Chyba nie powinien do niej esemesować. Na pewno właśnie jedzie skądś samochodem. Utknęła w korku albo zagadała się na rynku, czy gdzie tam była. Zaczął oglądać zdjęcia i karteczki przyczepione do lodówki. PAMIĘTAJ O ROZMOWIE W URZĘDZIE PRACY, ŚRODA. Pismo Cathy. I fotografia Patricka między zdjęciami chłopców z uniwersytetu i fotkami jakichś pewnie kuzynów i dziadków. Tyle było rzeczy, których nie wiedział. Tyle przegapił. Nathan wszedł do kuchni, zabębnił palcami po stole i spytał Richarda, czy chce herbaty. Dzięki, chętnie, odrzekł. Nathan nastawił czajnik i sięgnął po kubek. Chodziłem do szkoły z twoim ojcem, powiedział Richard, pukając palcem w zdjęcie na lodówce. Nathan albo już o tym wiedział, albo nie był zainteresowany. Przyjaźniliśmy się we troje, ciągnął Richard; twoja mama, Patrick i ja. Wszystko robiliśmy razem. Nathan stał plecami do niego i wyciągał z kubka saszetkę herbaty. Mleko jest w lodówce, okej? – powiedział, wycofując się za drzwi. Z głębi domu dobiegł Richarda odgłos

włączanego telewizora. Począł tyle, ile mu zajęło wypicie herbaty, i wyszedł bez pożegnania. Gdy później wysłał do Cathy esemesa z pytaniem, czy zaszło nieporozumienie, odpisała, że przeprasza, ale musiała pojechać do Manchesteru i zapomniała go zawiadomić.

Na przystanku Andrew czekał na matkę. Coś się działo wysoko na wzgórzu. Drogą dojazdową ciągnęły jakieś pojazdy. Pierwsza faza projektu budowlanego. W ośrodku dziennym będzie mógł sobie sprawdzić plany inwestycyjne. Skoro już ujrzał te działania, trudno mu będzie przeżyć dzień bez odkrycia, co one znaczą. Na razie tylko obserwował, a matka obserwowała jego. Na ogół nie miała pojęcia, co się dzieje w głowie syna. Był wystarczająco dorosły, żeby nie musiała go odprowadzać na przystanek, a jednak wolała to robić. Gdyby go tak po prostu wypuściła z domu, nie przestałaby zamartwiać się przez cały dzień. A gdy widziała, jak wsiada po schodkach, mogła wyłączyć czujność na parę godzin. Taki był w połowie cel istnienia ośrodka dziennego. Wytchnienie. W tej chwili jego milczenie sprawiało jej ulgę. Bo rano był dość głośny. Andrew nie ubrał się stosownie. Ale jakoś tam się ubrał. Szarpnął Irene za rękę, którą przytrzymał z całej siły. Przechylił ku niej głowę, nie przestając patrzeć na wzgórze. Wybełkotał coś, co zabrzmiało jak „mamuś”, i roześmiał się. Powtórzył to słowo. Kto mógł wiedzieć, co on sobie myśli. Autobus wyjechał z za rogu i Andrew puścił jej rękę niczym rozżarzony węgiel. Patrzyła, jak wspina się po stopniach, a gdy autobus odjechał, nie wiedziała, dokąd ma iść. Nie czuła się na siłach, by pójść na pocztę, tak jak to sobie planowała. Właściwie nie wiedziała, co się stało. Poszła posiedzieć na kościelnym dziedzińcu, z widokiem na grób Teda, ale nie za blisko. On oczywiście nie miał pojęcia. Ten człowiek. Ale właściwie czego się spodziewała? Była młoda, lecz powinna była być mądrzejsza. Posiedziała

tak parę minut. Odeszła, zanim ktokolwiek ją zobaczył i uznał za stosowne spytać, czy wszystko w porządku. Mogła się obejść bez takich pytań. W świetlicy dekoratorzy studni wciskali paski kory w mokrą glinę w miejsca, gdzie deseń odpadł, ale zanim ukończyli pierwszy etap pracy, zrobiło się późne popołudnie. W gniazdach między iglakami wykluwały się pierwsze pisklęta myszołowów. Nastaly upalne dni i któregoś popołudnia synowie Cooperów ganiali z domu na ulicę i z powrotem, nalewając wody do plastikowych pistoletów i balonów, i zachlapując cały korytarz, dopóki wszyscy mieszkańcy Close nie zakosztowali dyngusa. Niektórzy potraktowali to wyrozumiale. W noc świętojańską obóz demonstrantów zorganizował z okazji pełni księżyca imprezę, do której przyłączyło się trochę ludzi ze wsi. Bębny słycać było przez większą część nocy. Potem mówiono coś o golasach, ale ta pogłoska się nie potwierdziła. Ojciec zaginionej dziewczynki odbył pielgrzymkę w intencji dobroczynnej spod swojego domu w Londynie aż na szczyt wrzosowisk górujących nad wsią. Prasa poświęciła temu sporo uwagi, a na stronie internetowej publikowano aktualne dane o kolejnych miejscach jego pobytu. Wędrował przeważnie wzdłuż kanałów, cały czas na północ, twierdząc, że to najlepszy sposób, żeby się nie zgubić. Czynił też obszernie uwagi na temat podążania za energią psychiczną wody aż do samych zbiorników, ale tego już większość gazet nie wydrukowała. Dotarł na północ w zdumiewającym tempie, a kiedy doszedł do wsi, czekał tam już na niego tłum reporterów. Oświadczył, że jest dumny z zebrania tak pokaźnej sumy pieniędzy na fundusz organizacji poszukiwania osób zaginionych. Następnie poprosił o możliwość oddalenia się samotnie na wzgórze i zdjęcia w gazetach ukazały go wychodzącego ze wsi w pojedynkę. Wieczorem w przeddzień wyjazdu Mike'a i Simona do Australii bracia Jacksonowie wybrali się w komplecie do miasta na drinka. Była z nimi Claire, która wyjątkowo

miała wychodne z domu. Toma i Molly zostawili na noc u Maisie. Początkowo Claire dużo paplała i upierała się, że pokona braci w picciu, aż nagle znikła. Simon widział ją po raz ostatni w sali bilardowej, a Mike myślał, że wyszła na dwór na papierosa. Wreszcie zmusili Willa, żeby do niej zadzwonił, ale nie odbierała. Pewnie poszła do domu i już śpi, zawyrokował Will. To w jej stylu. Simon chciał protestować, ale Gordon spojrzeniem nakazał mu spokój; jednak, znalazłszy się przy barze, zadzwonił do Susanny i poprosił ją o sprawdzenie, co się dzieje z Claire. Żaden z braci nie uznał za stosowne spytać, skąd wrażenie, że to się stało nie pierwszy raz.

Długie lipcowe dni były upalne, gorąco biło falami od wrzosów. Rankami wokół owczarni Jacksonów roiły się jaskółki. James Broad ukończył pierwszy rok studiów i wcale nie wrócił do wsi. Matka wyszykowała dla niego gościnny pokój w nowym domu, ale z jego strony facebookowej dowiedziała się, że syn podróżuje po Tajlandii z kimś o imieniu Saoirse. Całkiem ładna ta dziewczyna, powiedziała matka Jamesa do Susanny. Ale ja nawet nie wiem, jak się wymawia jej imię. W obozie demonstrantów urządzono dzień akcji. Część mieszkańców wsi się przyłączyła, ale większość słuchała z daleka bębnow dudniących na wzgórzu. Pierwsze prace wydobywcze podjęto tydzień później. Su Cooper znalazła pocztową książeczkę oszczędnościową Austina, o której nic nie wiedziała. Miał na niej prawie pięć tysięcy funtów. Kiedy go o to zagadnęła, powiedział, że to miała być niespodzianka. Ładna mi niespodzianka: masz pięć patyków, o których ja nic nie wiem, powiedziała. Co jeszcze masz? Drugi telefon komórkowy? Kim ty jesteś, Austin, dilerem narkotyków? A może ty masz romans? Przy tym ostatnim pytaniu zachichotała, bo było skrajnie niedorzeczne, ale wściekłość pozwoliła jej

nie żałować Austina, który zrobił zranioną minę. Wyznał jej, że oszczędzał na wielkie rodzinne wakacje, którymi chciał ją zaskoczyć. Wymarzył sobie, że zabierze rodzinę do Chin. Do Chin? – spytała Su. Myślał, że chłopcy chętnie dowiedzą się czegoś o swoim dziedzictwie. O swoich korzeniach. Korzeniach? Korzeniach, Austin? Człowieku, oni mają korzenie w cholernym Chorlton. Co ty mi tutaj pleciesz o korzeniach? Myślałem, że to będzie dla nich ważne, powiedział. Su pokręciła głową. Ty przecież nawet nie masz paszportu, przypomniała mu. Co ty wiesz o podróżowaniu? Wiesz, jakie wielkie są Chiny? Dokąd mielibyśmy pojechać? Myślałem, że możemy się poradzić twoich rodziców. Sądziłem, że oni wpadną na jakiś dobry pomysł. Zastanawiałem się, czy nie pojechaliby z nami, nie pokazali nam kraju. Su w szoku zasłoniła usta i wytrzeszczyła oczy. Oparła się w fotelu i spojrzała w sufit. Naprawdę, Austin? Przecież moi rodzice uciekli z Chin, nie pamiętasz? Uciekli. Rozumiesz, co znaczy to słowo? Masz jakieś pojęcie? Przecież teraz tam się zmieniło, powiedział. To nie jest ten sam kraj, z którego wyjeżdżali. Su popatrzyła na niego i znów pokręciła głową. Kochała go, ale czasami był taki tępy. Nie pojedziemy do Chin, oznajmiła. Ta rozmowa jest zakończona. Zachowaj sobie te pieniądze na coś innego. Możesz je wydać na kochankę, jeśli chcesz. Uśmiechnęła się do niego rozpaczliwie. Ale książeczkę oszczędnościową cały czas trzymała w garści i schowała ją z ich wspólnymi dokumentami. Martina Fowlera widziano, jak rozmawiał z tymi dwoma z przyczepy kempingowej w sadzie Fletcherów; niekiedy nawet siadywał z nimi przy ognisku, pił piwo z puszki i wyglądał, jakby wcale tam nie pasował, a ci dwaj mamrotali do siebie dowcipy, których nie rozumiał. Ruth czasami o niego pytała i odpowiadano jej, że dobrze sobie radzi. Cathy Harris i Richard zjedli razem w mieście lunch, przy którym ona powiedziała mu, że zarejestrowała się w agencji randkowej online. Opanowując ton głosu, spytał ją, jak jej tam idzie.

Odpowiedziała, że było kilka niewypałów, ale teraz spotyka się regularnie z pewnym panem. Czuł, że próbuje wyczytać reakcję z jego twarzy. Chciałam, żebyś o tym wiedział, powiedziała. On pracuje w Manchesterze. Czy to poważne? – spytał. Jeszcze nie wiem. Ale jest miło. Dobrze się bawię. Dziwnie bym się czuła, nie informując cię o tym, to wszystko. Powiedział, że docenia jej szczerość. Potem mówił o kolejnym projekcie, nad którym będzie pracował, a gdy ona spytała, czy zjedzą deser, odrzekł, że właściwie powinien już iść.

W sierpniu pogoda się trzymała. Przez tydzień ze wzgórz staczały się mgły, ale słońce szybko je wypalało. Zmęczeni upałem ludzie obalili płot wokół zalanego kamieniołomu i chodzili tam pływać, chociaż wiedzieli, czym to grozi. Postawiono tablice ostrzegawcze, ale ludzie dalej skakali z rozbujanej liny do lodowato zimnej, głębokiej wody z piskiem, któremu wtórowały wiwaty tych, co prażyli się na okalających zbiornik skałach. Rzeka czołgała się pod końskim mostem i wsiąkała w zwirowany brzeg. W lasach i wzdłuż ocienionego brzegu rzeki kwitły jeszcze firletki. Drużyna krykieta wyjechała do Cardwell i znów przegrała mecz. Mówiono, że ten drugi mężczyzna z sadu Fletcherów jest wspólnikiem Woodsa. Plotka była bezpodstawna, ale wyglądał na kogoś takiego. Była w nim brutalna siła rodem nie z siłowni i żyłaste napięcie w ramionach. Miał wiecznie rozbiegane oczy i mamrotał pod nosem. Otaczała go aura więziennego dziedzińca. Na imię mu było Ray, jak twierdził Martin, który zatrzymał się tam kiedyś w drodze nad rzekę i wygłosił parę rad w związku z przycinaniem drzew. Ten pierwszy przedstawił się ksywką Flint. Nie przyjaźnili się właściwie, ale tymczasowo dotrzymywali sobie towarzystwa. Ray miał niezły zapas taniego tytoniu, a Flint znał się na nożach. Gdy się dowiedział, że Martin prowadził kiedyś sklep rzeźnicki, spytał, czy te noże



za ladą to są jego. Martin odparł, że należały jeszcze do jego ojca. Flint powiedział, że są warte dobrych parę funtów. Marki Sheffield, dodał Martin. Z czasów, kiedy w Sheffield znali się na robocie. Dzisiaj taki wyrób można znaleźć tylko w Japonii. Japońce znają się na ostrzach, wymamrotał Ray. To fakt. Splunął w ognisko i poszedł do kampera. Nie lubił długich rozmów. Martin podejrzewał, że Ray może być lekko cofnięty w rozwoju, chociaż wiedział, że tego określenia już się nie używa. Zauważył, że Flint obserwuje go czasem w trakcie rozmowy, tak jak obserwuje się psa, który może przewrócić mebel. Kiedy Ray wycofywał się do kampera, zawsze włączał radio, co rozpraszało gadatliwego Flinta. Tych dwóch łączyło coś, czego Martin nie potrafił dobrze opisać. Nie pedałstwo – raczej jakby nawzajem mieli na siebie haka. W każdym razie Martin przypuszczał, że to nie geje, chociaż kto to może wiedzieć w dzisiejszych czasach. W niektóre wieczory Martin czuł się tam intruzem. Żegnał się szybko, bez siadania, i szedł dalej do końskiego mostu.

Wiadomo było, że wdowiec ma swoje sekrety, więc nikt się nie dziwił, gdy okazało się, że wcale nie jest wdowcem. Dzieci przyjechały do niego na koniec lata, a przywiozła je kobieta, którą uznano za byłą żonę. Nikt już nie pamiętał, jak doszło do nieporozumienia, ale niektórzy poczuli się oszukani. Dzieci, trójka nastolatków lub prawie nastolatków, spędzały czas głównie na placu zabaw albo nad rzeką. W pierwszym tygodniu widziano, jak prowadzone przez ojca wychodzą z centrum turystycznego, a godzinę później wrócili wszyscy w nabuzowanym milczeniu, jakie bywa następstwem wymiany poglądów. Więcej nie wypuszczali się na wędrowki. Większym problemem był ojciec zaginionej dziewczynki. Od czasu swojej pielgrzymki odwiedzał regularnie te okolice, zawsze pieszo. Znajdowano go na gruntach prywatnych, w budynkach gospodarczych i na ogrodzonych

terenach wokół zbiorników. W końcu został aresztowany, przesłuchany i zwolniony bez postawienia zarzutów, chociaż krążyły plotki, że znów uważają go za podejrzanego. Pokazały się pierwsze kwiczoły: zleciały się na samotny głóg i terkotały pod wiatr. To był dobry rok dla orzechów laskowych. Niewielu zostało we wsi takich, którzy zadawali sobie trud ich zbierania, ale dla nich był to dobry sezon. Leszczyny rosły gęsto na całym wzniesieniu pomiędzy zalanym kamieniołomem a buczyną, więc za jednym zamachem można było zebrać całą torbę orzechów. Korzystała z tego oczywiście Winnie, a ostatnio i Ruth zaczęła jej towarzyszyć, zbierając kilka koszyków na sprzedaż w sklepie. Cieszą się wielkim powodzeniem, powiedziała do Winnie. Ludzie są skłonni za nie dobrze płacić. Zadanie przygotowania dekoracji dożynkowej w kościele przypadło w tym roku panu Wilsonowi. Oświadczył wielebnej Hughes, że zamierza obudzić w ludziach świadomość niewypałów, beneficjentem akcji czyniąc fundusz dobroczynny, który wspierał; szykował instalację z min lądowych i moździerzy, którą chciał zatytułować „Gorzkie żniwa”. Odpowiedziała mu, że rozumie jego troskę i ją podziela, ale może stosowniejszy od instalacji byłby plakat obok stoiska z książkami w kruchcie kościoła. Było włamanie do starego sklepu rzeźnickiego i wszystkie noże ze ściany znikły. Jakiś czas potem Martin wszedł w ich posiadanie i nie zadawał żadnych pytań. Brakowało tylko najmniejszego nożyka, co uznał za zgodne ze zdrowym rozsądkiem. Wkrótce potem wejście do sklepu zabito deskami. Dojrzały owoce dzikiej róży i Su Cooper poprowadziła bliźniaków ścieżką wzdłuż rzeki: nazbierali całą torbę, bo Winnie dała Su przepis na syrop, który, jak zapewniła, ochroni chłopców przed przeziębieniem przez całą zimę. Dopiero wracając do domu, zauważyli, jak strasznie podrapali sobie ręce. Wyglądasz, jakbyś stoczyła walkę ze stadem kotów, powiedział Austin, unosząc rękę Su pod światło, gdy już leżeli w łóżku. Pocałował

wszystkie szramy po kolei, a Su skrzywiła się i przyciągnęła go do siebie. W środku nocy zeszła na dół i przez dłuższą chwilę obserwowała, jak bladoczerwony syrop sączy się kroplami przez muślin zawieszony nad rondlem do smażenia konfitur. Nie pachniał tak ładnie, jak wyglądał. Zwątpiła, czy chłopcy w ogóle zechcą go zażywać.

Martin Fowler pracował na stoisku mięsnym w nowym supermarkecie, kiedy zjawili się ci dwaj z sadu. Spotkali się z nim na rampie w czasie przerwy na papierosa, a kilka nocy później wybrali się wspólnie na polowanie. Nie bardzo się udało. Posprzeczali się o to, w którą mają iść stronę i na co właściwie polują, i w ogóle za dużo było gadania jak na gust Martina. Nie poszedłby z nimi wcale, gdyby nie te noże. Czuł się im coś winien. Wieczór był cichy i pogodny. Wyruszyli około północy, przeszli przez koński most, pokonali wzgórze i skierowali się na wysokie wrzosowisko za Kamiennymi Siostrami. Wcześniej pili. Martin się ograniczał, ale nie miał pewności co do nich dwóch. Każdy niósł plecak i lampę, a Ray dodatkowo strzelbę w podłużnym czarnym worku. Martina wzięli ze sobą, żeby rozebrał tuszę. Ostatnim razem ten tutaj zrobił z tego krwawą jatkę, powiedział Flint, a Ray wesoło potaknął ruchem głowy. To się zgadza, powiedział. Nie moja działka. Ja jestem strzelcem. Gdy tak gadali w kamperze, Martin zorientował się, że tamci nie mają pozwolenia na broń. Mógł wtedy odejść, ale został. Dotarcie do Kamiennych Sióstr zajęło im godzinę, a drugą godzinę trwała wędrówka do pierwszego jaru na skraju wrzosowiska, który Flint uznał za najlepsze miejsce do rozpoczęcia łowów. Nastawiali się na sarnę, ale Ray powiedział, że jak sarna nie wyjdzie, to przerzucą się na króliki, zające albo głuszca. W sumie, skonkludował Ray, strzelamy do wszystkiego, co się rusza. Martin wątpił, czy cokolwiek wskórają w tym jazgocie, który robili swoim gadaniem.

Częściowo właśnie dlatego zdecydował się z nimi iść, że przypuszczał, iż nie narobią szkody. Wieczory czasem mu się dłużyły. Fajnie było mieć jakieś zajęcie. Pół godziny przesiedzieli we trzech w zaskakującej ciszy, w której chaos mijającego wieczoru przekształcał się w napiętą koncentrację, a kiedy Flint wreszcie zapalił lampę, Martin nawet nie za bardzo zdziwił się na widok stojącej o sto metrów od nich grupy saren. Najwyraźniej im przeszkodzili. Przedtem pasły się spokojnie na wrzosach, a teraz gapiły się z tępym zaciekawieniem w światło lampy. Martin wstrzymał oddech. Usłyszał szelest w momencie, gdy Ray uniósł broń do ramienia. Pięć z sześciu saren rozpierchło się w różne strony. Szósta obróciła głowę i spięła się do ucieczki, ale powalił ją pierwszy strzał. Martin stał za blisko Raya w momencie oddania strzału, toteż nie usłyszał co tamci mówią do siebie, zanim Flint ruszył biegiem do sarny, która właśnie próbowała się dźwignąć na nogi, pomimo odstrzelonego kawałka barku. Światło lampy huśtało się dziko, gdy Flint brnął przez wrzosowisko i nagle strzelba wypaliła tuż obok głowy Martina i światło zgasło, bo Flint rzucił się na ziemię. W świszczącej ciszy Martin ledwo widział sarnę, która zataczając się, kuśtykała ku niższemu brzegowi jaru, i Raya pochylonego nad Flintem i krzyczącego mu coś prosto do ucha, zanim zerwał się galopem przez wrzosi z wysoko uniesioną strzelbą. Martin przysiadł na ziemi i patrzył, jak Flint gramoli się na nogi, podświetlony lampą od dołu. Kiedy odzyskał słuch, dobiegł go dźwięczny huk. Flint szukał chyba na sobie śladów krwi. Zza wzgórza usłyszeli drugi strzał. Martin udał się do domu. Przy jazie czapla dała znieścacka nura do wody – kręcąc ciałem na długich, prostych nogach – i wynurzyła się z pustym dziobem. Otrząsnęła głowę dwa razy i ponownie zastygła w oczekiwaniu. Na kupie kompostowej w ogrodzie pana Wilsona wyroiły się skoczogonki i rankiem Nelson siedział tam, obserwując ich skoki po grząskiej powierzchni. Zaczął

padać miarowy deszcz i było tak przez cały dzień. W kamieniołomie dźwig prznosił wielkie sztaby wapienia na ciężarówki, które wywoziły ładunek na główną drogę, po kilkadziesiąt wozów dziennie, rzeżąc z wysiłku. Gdzieś odchodziło wielkie budowanie.

W listopadzie padało tak długo, że boisko do krykieta zamieniło się w bagno, więc pokaz ognisk odwołano. Kwiczoły wyniosły się z przykościelnych łąk i żerowały pod żywopłotami z głogu. W południe Jones wyszedł ze szkoły i kupił w sklepie dwie zapiekanki. Siostra czekała na niego w domu, tuż za drzwiami, i powiedziała mu, że była u nich policja. Zabrali komputer, dodała. Robiła ten swój numer z rękami, jakby ścierała z nich brud. Akurat szukałam czegoś w internecie i nawet nie dali mi dokończyć, poskarżyła się. Jones zapytał, czy zaparzyła herbatę, na co odparła, że oczywiście. Dopytywała się, dlaczego wzięli komputer. Jones odpowiedział, że chcą tylko sprawdzić, czy dobrze działa. Niedługo zwrócą. Nie ma się czym przejmować, powiedział. Ale będą czytali mojego Facebooka? Nie chcę, żeby go czytali. Stephanie strasznie się pogniewała o te moje komentarze do jej zdjęć z wycieczki. Myślisz, że to ona na mnie doniosła? Uważasz, że wpakowałam się w kłopoty? Jones powiedział, że nie sądzi, aby miała jakieś problemy. Kazał jej się nie martwić. Powiedział, że może będzie musiał wyjechać na kilka dni. Poszedł z gazetą do ubikacji, a zanim wrócił, siostra podgrzała zapiekanki i postawiła lunch na dwóch tacach. Zabrali je do bawialni, gdzie usiedli przed telewizorem. W telewizji pokazywali pożary buszu w Australii. Co oni zrobią z tym komputerem? – niepokoila się siostra. Tylko go sprawdzą, kochanie. Zjadł lunch i wyniósł się do kuchni, a potem oznajmił siostrze, że wraca do szkoły. Zapytał ją, czy sobie poradzi. Kiwnęła głową. Chciał się dowiedzieć, czy się kogoś spodziewa, ale spojrzała na niego czujnie i spytała, czemu miałyby się

kogoś spodziewać. Miała wystraszoną minę. Bez powodu, powiedział, tak tylko zapytałem. Jak myślisz, co się stało z tą zaginioną dziewczynką? O Jezu, Susan, kto to może wiedzieć? Ale co? Wszystko się mogło zdarzyć. To było lata temu. Biedne dziecko. Już jej nie znajdują. Dlaczego o nią pytasz? To nie ma nic wspólnego z zaginioną dziewczynką. Co nie ma nic wspólnego z zaginioną dziewczynką? – zapytała. Co takiego? Nic, Susan. Nic. Włożył z powrotem buty, a kiedy otworzył drzwi, siostra zawołała go po imieniu. Znowu miała taki głos. Spytał ją, czego chce. Powiedziała, że się boi. Uspokoił ją, że wszystko jest w porządku. Obiecał wrócić do domu na podwieczorek. Usłyszał jej płacz i zamknął drzwi. Bywały dni, że miał ochotę rozwalić tę chałupę gołymi rękami. Tylko co ona by wtedy zrobiła. Musiał grać takimi kartami, jakie dostał. Słowo się rzekło. Szedł szybko główną ulicą do szkoły, a kiedy tam dotarł, dwaj nieumundurowani detektywi zapytali go, czy mogą przeszukać kotłownię. Skinął głową i skręcił sobie papierosa. Zabrali ze sobą jego laptop. Pod wieczór następnego dnia Cathy Harris udała się do Clarków z wczesną kartką bożonarodzeniową dla Richarda, zanim ten znów wyjedzie do pracy. Chciała, żeby wiedział, ile zachowała do niego sympatii. Ucieszył się na jej widok i jednocześnie nie mógł znieść jej widoku, a gdy tak stała w progu, jego matka zawołała ją do środka. Stanęli we troje w kuchni. Matka Richarda oświadczyła, że to wielka radość znowu widzieć Cathy. Za długo cię nie było, powiedziała i zaprosiła Cathy na obiad. Richard napełnił czajnik i wystawił kubki do herbaty. Nie wiedział, co może zrobić, żeby sprawy ułożyły się po jego myśli. Nie miał pojęcia, czemu się w ogóle nad tym zastanawia, skoro spotyka się z kimś innym. Cathy zamierzała spędzić Boże Narodzenie w Manchesterze, z Anthonym. Richard nie bardzo rozumiał, po co mu o tym mówi. Jego matka miała w kuchni mały telewizor: w wiadomościach lokalnych podawali, że przed sądem stanął

mężczyzna oskarżony o posiadanie dziecięcej pornografii. Reporter wspomniał o zaginionej dziewczynce, a Richard kątem oka zauważył, że Cathy kładzie rękę na ramieniu jego matki. W telewizji policjant mówił, że sprawa nie jest związana z zaginioną dziewczynką. Pokazali człowieka wprowadzanego do gmachu sądu i nawet sweter naciągnięty na głowę nie przeszkodził im rozpoznać w nim Jonesa.

Synowie Jacksona pomagali w szkole pod nieobecność Jonesa. Takim określeniem posługiwali się ludzie: nieobecność. Sprawa była żenująca. Poczyniono ustalenia co do opieki nad siostrą Jonesa i zaczęto sondować możliwości znalezienia dla niej innego miejsca pobytu. Siostra Jonesa miała pytania, na które nikt nie kwapił się odpowiadać. Dzieci w szkole dopytywały się, czy mogą wysłać Jonesowi kartki z życzeniami zdrowia i szybkiego powrotu. W pokoju nauczycielskim debatowano o tym długo: trudno było orzec, co zrobić. Podczas przerwy śniadaniowej na boisku padło słowo „pedofil” i pomysł wysłania kartek upadł. Po południu toczyły się w klasach trudne rozmowy. To słowo oznacza kogoś, kto krzywdzi dzieci albo myśli o krzywdzeniu dzieci, albo dotyka dzieci tak, jak one nie lubią. Nie wiemy, czy pan Jones kogoś skrzywdził. Policja próbuje to ustalić. Jeżeli kogoś z was niepokoi coś, co miało miejsce, niech przyjdzie do mnie sam, porozmawiamy. Oczywiście, że wolno zadawać pytania. Ale czasem po prostu nie znamy odpowiedzi. Wieczorem w telewizji pokazywali głodujące dzieci, mężczyzn z karabinami i nożami, kobiety zakrywające twarze, a później te same zdjęcia Jonesa wprowadzanego do sądu. Grzywacze dostały się pod siatkę na działce Clive’a i ogołociły mu grządki brukselki i jarmużu. Nietoperze zwinęły się potulnie do hibernacji, oddychały powoli i zwisały skórzastymi gronami spod okapów kościoła. Cathy zapukała do pana Wilsona i spytała, czy Nelson chce na spacer.

Napili się herbaty przegryzanej ciastem, a potem Cathy szybko poprowadziła Nelsona uliczką wiodącą do kościoła i dalej, mijając sad, aż do końskiego mostu i wzdłuż rzeki. Zawsze tą samą trasą, którą Nelson znał na pamięć. Pod lasem Hunterów przecisnęła się przez kamienny przejazd i ruszyła z biegiem rzeki zwężającym się wąwozem; ścieżka stopniowo oddalała się od wody i nawet Nelson zaczął zwalniać, wspinając się po schodkach do centrum informacji turystycznej. Cathy przystanąła na moment dla złapania oddechu, po czym skierowała się szosą w stronę buczyny, ogródków działkowych i wsi. Znów ktoś postrącał z postumentów Kamienie Milenijne, a Sam Hooper, który przyszedł naprawić szkodę, orzekł, że cała konstrukcja jest do chrzanu. Ktoś musiał użyć nie lada siły, ciekawe po co tak się trudził. Na placu odbyło się kolędowanie, ale że było mokro, wzięło w nim udział niewiele osób.

Brian Fletcher wezwał specja od rewitalizacji sadów i na drzewach pojawiły się kolorowe sznurki w miejscach, gdzie potrzebne były cięcia. Przez tydzień uwijali się tam brat Sally i ten drugi, Ray, z drabinką schodkową i sekatorem, wyraźnie dumni ze swojej pracy. Obcięte gałęzie zgarniali na kupę i palili. Wieczorami ich głosy niosły się przez dolinę wraz z wilgotnym dymem. Ludzie wiedzieli już, że to brat Sally, ale tego drugiego nie znano. Ich stosunki z Fletcherami były niejasne. Zdecydowanie nietypowe, ale tak to już było z Fletcherami. Dziwne małżeństwo. Było trochę plotek, ale większość ludzi uznała, że to ich sprawa. Dwadzieścia lat różnicy, a jakoś się dogadywali. Rodzina Briana mieszkała w tej okolicy od lat i była jakoś powiązana z oryginalnym rodem Culshawów. Ale Sally była skądinąd, więc krewni Briana nie popierali tego związku. Brian się nie ugiął, dlatego całkiem się od niego odcięli. Brian i Sally wzięli cichy ślub. Żadne z nich nie lubiło wielkich fet. Wiadomo



było, że poznali się przez internet. Spadł wielki śnieg i utrzymał się na dłużej. Irene i Winnie wybrały się do miasta na wyprzedaże, tak jak to robiły co roku, odkąd się znały. Musiały jechać autobusem i pociągiem, ale tłok wcale im nie przeszkadzał. Warto było, bo ceny naprawdę bardzo spadły. Martin przechodził koło biura Coopera, gdy ten pracował nad nowym numerem gazety, i wdali się w rozmowę o komputerach. Martin myślał o sprzedaniu swojego, ale chciał mieć pewność, że pamięć urządzenia została gruntownie wyczyszczona. Hasła, dane bankowe itp. Uzyskasz właściwie czysty twardy dysk, jak go zreformatujesz, powiedział Cooper. Ale żeby mieć absolutną pewność trzeba by go zniszczyć fizycznie. Najlepiej młotkiem. Młotkiem? – zdziwił się Martin. – A to nie wpłynie na cenę sprzedaży? Raczej tak, przyznał Cooper. No widzisz.

## 9

O północy, z nastaniem nowego roku, Rohan odszukał Lynsey na parkiecie w świetlicy i pocałował ją przy dźwiękach *Auld Lang Syne*. Mówił później, że oboje ich to zaskoczyło, ale w gruncie rzeczy już od pewnego czasu miał nadzieję na odnowienie związku. Lynsey potem wcześniej poszła sama do domu, ale rano widziano ją wychodzącą od Rohana. Od tygodnia nie padał śnieg, ale i nie było odwilży. Zamarznięta breja na ulicach przypominała kocie łby. Ktoś, kto poślizgnąłby się przy kościele, miał szansę zjechać po zmarzlinie aż do końskiego mostu. Demonstrowali to przez całe popołudnie bliźniacy Cooperów, aż Lee skręcił nogę w kostce i trzeba go było zanieść do domu. W szkole na początku nowego semestru zaczęła się szerzyć jakaś infekcja. Krążył wirus grypy żołądkowej. Synowie Jacksona mieli moc roboty z trocinami i bielidłem. Pod koniec tygodnia zachorował także personel i szkołę trzeba było tymczasowo zamknąć. Podobno zawiniła kuchnia, ale nigdy nie zostało to udowodnione. Tym razem wystawiono *Królewnę Śnieżkę*, a że w okolicy brak było siedmiu karłowatych aktorów, w rolach krasnoludków obsadzono najwyższych i najpotężniejszych mężczyzn, jakich komisji producenckiej udało się znaleźć. Miało być śmiesznie, ale nie wszyscy poznali się na dowcipie. Zwłaszcza Irene zgłaszała szeptem obiekcje. A nie była mocna

w szeptaniu. Andrew bardzo poważnie potraktował swoją rolę Pyszałka i starannie deklamował wszystkie kwestie. Gdy ukląkł koło Ashleigh, która grała Śnieżkę, i obiecywał, że będzie jej strzegł, śmiech na sali zamarł gwałtownie. W pewnym momencie Andrew się zawahał, co mogło być albo dramatyczną pauzą, albo efektem zapomnienia kwestii, i właśnie wtedy Irene wyszeptała po swojemu, że nie wie doprawdy, dlaczego po prostu nie obsadzili dzieci – i nastrój prysł. Pod koniec miesiąca Martin pojechał do nieczynnego kamieniołomu i młotem kowalskim rozwalił swój stacjonarny komputer, a szczątki kopnął pod czerep spalonego samochodu.

Sally zawiozła brata na umówioną wizytę do szpitala. Po drodze miała okazję porozmawiać z nim po raz pierwszy, odkąd się u nich zjawiał. Powiedział jej, że zaczyna czuć się trochę jak dawniej. A Sally mu odrzekła, że się martwi, że Ray ma na niego zły wpływ i spytała, czy on sam tego nie widzi. Przeżyliśmy razem to i owo, odparł enigmatycznym tonem, na który silił się od paru lat. Spytała, co konkretnie ma na myśli, na co on stwierdził, że zawarł z Rayem pewną umowę. Utknęli na ogonie betoniarki i wyglądało na to, że się spóźnią. Sally w napięciu operowała pedałami i co chwila zerkała w lusterko. Spytała, co za władzę ma nad nim Ray. Zwróciła się do niego „Phil”, ale poprawił ją: „Flint”. Wypomniała mu, że przy Rayu stale się w coś pakuje. On się tobą nie przejmuje, powiedziała. Nie zależy mu na tobie. Za daleko żeśmy zabrnęli, odparł. Sally zjechała na środek jezdni, żeby sprawdzić, czy ma dość miejsca na wyprzedzenie betoniarki. Nie miała. Powiedziała, że ten Ray znowu ich wszystkich wpakuje w kłopoty, bo jest wmieszany w różne dziwne sprawy. Flint spokojnie patrzył jej w oczy. Gdy wolność jest wyjęta spod prawa, tylko wyjęci spod prawa będą wolni, oznajmił. Odrzekła mu na to, że czas dorosnąć. Znowu zwróciła się do niego per „Phil”, a on znów ją poprawił:

„Flint”. Zauważyła, że nigdy wcześniej się tak nie nazywał. Droga się wyprostowała, ale gdy Sally zaczęła wyprzedzać, śmignęła zza niej furgonetka dostawcza. Cofnęła się, zakłęła, a Flint uśmiechnął się cierpliwie. Spytała, czy tę ksywkę nadał mu Ray, czy Ray dyktuje mu też, co ma jeść i pić, kiedy się kłaść do łóżka i o której wstawać. Za daleko żeśmy zabrnęli, powiedział po raz kolejny Flint. Powiedziała mu, żeby przestał to powtarzać. Przypomniała, że ich matka nigdy Rayowi nie ufała i wiedziała, co robi, nie wpuszczając go do domu, gdy byli młodszy. Zesztywniał i zabronił jej wspominać o matce. Znała się na ludziach, powiedziała Sally. Przestań, zgasił ją. Im bardziej zbliżali się do miasta, tym wolniejsza stawała się jazda, aż w końcu w ogóle przestali się posuwać. Brian nie jest zadowolony z tej sytuacji, powiedziała Sally. Znowu mnie wyrzucasz, wymamrotał. On rozumie, że tobie trzeba bezpiecznego miejsca, ciągnęła, odwracając się do niego. Ale nie w tym domu, skwitował. Nie w tym rzecz, powiedziała, prawie skutecznie hamując irytację, Brian po prostu nie jest zadowolony z obecności Raya. Nie ufa mu. Ludzie różnie gadają. Mają rozmaite podejrzenia. Flint chciał wiedzieć, co gadają i jakie mają podejrzenia, na co mu odpowiedziała tylko tyle, że słusznie się niepokoją. Ludzie nic nie wiedzą, oświadczył Flint. Robią z gęby cholewę. Poprosiła, żeby się uspokoił i posłuchał, i oznajmiła, że Ray nie może u nich dłużej zostać. Nie mogę zmusić go do odejścia, powiedział Flint. Nie może zostać, powtórzyła. Nie usłucha mnie, powiedział Flint. Coś musimy zrobić, rzekła Sally, Brian ma tego dość. Wtedy Flint zapytał, co za władzę zyskał nad nią Brian, a ona mu odpowiedziała, żeby nie był za dowcipny. To do ciebie nie pasuje, dodała.

Do marca dzikie bażanty utuczyły się na zimowej diecie i szykowały się do wiosny. Na dalekim skraju buczyny samiec bażanta krążył wśród grupy

samic, wyczekująco strosząc pióra. W późnopołudniowym świetle wypalone wrzosa skrzyły się na tle wzgórza. Demonstranci wdarli się do nowego kamieniołomu i na cały dzień zatrzymali pracę. Aresztowano ich pod zarzutem wtargnięcia na teren zamknięty. Po tym incydencie część starszych ludzi we wsi nabrała do nich większej sympatii. My tu mamy tradycję wtargnięć, powiedział na poczcie pan Wilson do jednego z demonstrantów. Jakbyście czegoś potrzebowali, to dajcie znać. Su Cooper urządziła kolację dla grupy przyjaciół z Manchesteru. Odkąd znów miała pełny etat w BBC, robiła to coraz częściej. Zapraszała głównie kolegów z pracy, ale także znajomych, z którymi dorastała w Manchesterze. Czasami zostawała z nimi po pracy na drinka lub posiłek, a czasem oni przyjeżdżali do wsi. Byli nawet sympatyczni, ale Austin nie bardzo umiał z nimi rozmawiać. Ktoś z nich opowiadał o wspólnej znajomej, której cofnięto fundusze na realizację filmu dokumentalnego, mimo że pracowała nad nim przez dziesięć lat. Austin zebrał talerze ze stołu i oświadczył, że musi wpaść na chwilę na górę, dokończyć coś do nowego numeru „Echa”. Sądząc po dobiegających z dołu wybuchach śmiechu, nikt nie miał mu tego za złe. Po wyjściu gości Su usta się nie zamykały, aż podrygiwała na palcach, gdy przy wspólnym ładowaniu zmywarki opowiadała mu dowcipy, które przegapił. Cieszył się, że jest taka ożywiona, ale to był dla niego obcy świat. Pod jesionami przez zimną, czarną glebę przebijały się pierwsze młode pastorały paproci. Rohan przyjechał na weekend do matki i nie chciał jej powiedzieć, co mu jest. Lynsey na wszystkie jego esemesy odpowiadała później, niż się spodziewał. Parę razy spróbował się z nią umówić, aż w końcu zrozumiał, że nic z tego. Zdziwiło go, że za drugim razem to aż tak boli. Ray z Flintem wyszli z kampera w sadzie i mijając Kamienne Siostry, przez drugą dolinę udali się do Cardwell. Długi marsz, ale warto było. Doszli do bungalowu, który Ray wcześniej namierzył

i zapukali do drzwi, a kiedy otworzyła im stara kobieta, Ray powiedział, że wędrują od rana, trochę się pogubili i chcieliby poprosić o szklankę wody. Wpuściła ich do kuchni. Poruszała się powoli, ale Flint powiedział jej, że nie ma pośpiechu. Napełniła dwie szklanki i zerknęła na półkę, gdzie stała puszka na herbatniki. Jakby dawała im znak, że proszę bardzo. Herbatników w puszcze nie było, ale były pieniądze. Zrobili swoje i sami trafili do wyjścia.

Cathy zapukała do pana Wilsona i zapytała, czy Nelson nie powinien wyjść na spacer, na co pan Wilson spytał, czy mógłby im towarzyszyć. Nie musi pan pytać o pozwolenie, powiedziała Cathy. Pan Wilson był już w butach, z kurtką na rękę. Ciepło jest? – spytał. Nie tak ciepło, jak wygląda, odparła Cathy. Włożył kurtkę, ale nie mógł trafić w rękaw, więc odwrócił się do Cathy, żeby mogła mu dyskretnie pomóc. Pomalutku ruszyli ulicą, przechodząc na drugą stronę jezdni, żeby wyjść z cienia. Pan Wilson raz czy dwa skorzystał z podsuniętego mu ramienia Cathy. Nelson utknął, węsząc w wysokich trawach na styku uliczki z szosą. Zatrzymali się i Cathy spytała pana Wilsona, co go wyciągnęło z domu. Nie od razu odpowiedział, bo miał zadyszkę, co Cathy dopiero teraz sobie uświadomiła. W końcu odrzekł, że tego dnia wypada rocznica śmierci Jean, więc chciałby nazbierać kwiatów. Spytał, czy Cathy nie ma nic przeciwko temu, żeby zajrzeli na cmentarz, na co taktownie zwróciła mu uwagę, że nie ma kwiatów. Z teatralną emfazą popatrzył na swoje puste ręce, po czym się uśmiechnął. To jedyna pociecha umierania wiosną, powiedział, wyciągając z kieszeni kuchenne nożyce. Nelson szarpał smycz tak mocno, że Cathy musiała pójść przodem, a gdy znów znalazła okazję, żeby się odwrócić, pan Wilson, który został z tyłu, trzymał duży bukiet świeżych żonkili. Nie miała pojęcia, skąd je wziął i wołała nie pytać. Poprowadził ją przez dziedziniec

kościół na grób Jean. Teraz szedł szybciej i kontuzja biodra była bardziej widoczna. A potem zaczął rozmawiać z Jean, czego Cathy nigdy nie umiała zrobić na grobie Patricka. Pochylił się i złożył kwiaty na ziemi. Żeby z powrotem wyprostować plecy, musiał przytrzymać się nagrobka, a gdy Cathy podstawiła mu ramię, ujął je od razu. Cathy odwróciła wzrok ku chmurom płynącym nad wzgórzami za farmą Jacksona i łzy napłynęły jej do oczu. Nie zdarzało się to często. Pan Wilson podał jej schludnie poskładaną chusteczkę i przysiedli na ławce koło kościelnej bramy. Wypłakawszy się, Cathy powiedziała, że wypierze chusteczkę, zanim ją zwróci. Pan Wilson nie zaproponował. Posiedzieli tak chwilę, aż oddech Cathy się wyrównał. Wówczas spytała, czy żałoba nigdy nie mija. Odpowiedział nie od razu. Wkrótce po ślubie, rzekł, Jean zażądała od niego, żeby przestał palić. Cathy nie była pewna, czy to odpowiedź. To były lata sześćdziesiąte, ciągnął pan Wilson. Wtedy jeszcze nikt nie rzucał palenia. A ja lubiłem papierosy. Ale Jean bardzo nalegała. Potrafiła być bardzo kategoryczna, pewnie pamiętasz. Narzekała, że śmierdzą papierosami, że cały dom od nich śmierdzi. Wyczytała gdzieś, że palenie powoduje raka i inne choroby. Chyba nigdy nie powiedziała: albo ja, albo fajki, ale i tak wolałem nie ryzykować. W każdym razie rzuciłem. Z dnia na dzień. Bez żadnych plastrów nikotynowych i takich tam. Tylko czasami szedłem sobie do pubu i wdychałem dym na pociechę. Nic więcej. Była mi wdzięczna, ale chyba nie rozumiała, co to dla mnie znaczyło. Jednak na krótko przed śmiercią, gdy już była bardzo chora, spytała mnie, czy kiedykolwiek tęskniłem za papierosami. Pod koniec myślała o wszystkim. Nie za często, Jean, odpowiedziałem. Tylko po jedzeniu. Cathy odwróciła się do niego: śmiał się po cichu. Tylko po jedzeniu, powtórzył i śmiech przeszedł w spazmatyczny kaszel. Spojrzała mu w oczy. To zakichana metafora, Cathy, powiedział. Kiwnęła głową. Zrozumiałam, panie Wilson.

Poklepała go po kolanie. Bardzo dobre. Nelson ciągnął smycz. Może już pójdziemy, powiedziała Cathy. Ty idź, odparł pan Wilson. Ja posiedzę tutaj. Przez to cholerne biodro człowiek się rusza jak mucha w smole. Zapytała, czy sam dojdzie do domu, na co odrzekł, że tak. Tylko sobie tutaj chwilę odpocznę. Obserwował Cathy kroczącą alejką wzdłuż sadu, a gdy znikła mu z oczu, wyjął paczkę tytoniu i skręcił sobie papierosa.

Do maja poziom wody w zbiornikach spadł do stanu sprzed czterdziestu lat: szkielety domów dawnej wsi sterczały ponad powierzchnię, a na dawnym dziedzińcu kościoła ludzie urządzali sobie pikniki. W czterech hrabstwach zakazano używania węży ogrodowych, wzgórze wysychały. Will i Claire Jacksonowie znów byli w separacji. Claire przeprowadziła się tymczasowo do matki i szukała mieszkania. Tom został na wsi z Willem. Martin stanął do wyborów na przewodniczącego rady parafialnej, reklamując się jako, jak się wyraził, nowa miotła. Był to pierwszy przypadek zakwestionowania dotychczasowego przywództwa. Zwrócono mu uwagę, że jest różnica między nową miotłą a kimś, kto nigdy nie był na zebraniu rady, i w głosowaniu po staremu wygrał Brian Fletcher. W świetlicy grupa dekoratorów studni już trzeci dzień utykała płatki kwiatów i mech, ludziom zaczynały puszczać nerwy. Część nowych nie miała opanowanej techniki i Irene zmuszona była mówić im wprost, że niektóre fragmenty się nie nadają. Musiała nawet tłumaczyć, że płatki mają zachodzić na siebie jak dachówki, żeby deszczówka mogła po nich spływać. Nie mieściło jej się w głowie, że ktoś wychował się we wsi kultywującej obyczaj majenia studni, a nie wie takich podstawowych rzeczy. Z borsuczej nory w buczynie o zmierzchu wyszły na świat pierwsze młode. Trzymały się dorosłych, obserwując, jak matki znajdują pożywienie. Oszołomione kakofonią zapachów, zaznaczyły drogę między dorosłymi



a wejściem do nory, oczyszczając ją łapkami i ogonkami. Jacksonowie przegnali owce w górę, na wrzosowisko. Niższe łąki musiały odpocząć. Owce zrobiły raban, tłocząc się w uliczce, ale szybko się uspokoiły. Widziano policjanta zmierzającego do sadu Fletcherów. Wszedłszy przez furtkę, ujrzał mężczyznę oddającego mocz na kamienny murek. Był to Flint, który odwrócił się i skinął głową, wycierając ręce o spodnie. Funkcjonariusz wyjaśnił, że bada sprawę kradzieży. Flint wzruszył ramionami. Policjant zapytał go o miejsce zamieszkania, zatrudnienie i poprzednie miejsce pobytu. Wyjaśnił, że są to rutynowe pytania. Flint udzielił mu rutynowych odpowiedzi. Z wnętrza kampera dobiegały jakieś odgłosy. Drzwi się otworzyły i wyszedł przez nie Ray. Skinął głową policjantowi i Flintowi, i poszedł się wysikać pod murek. Policjant spytał, czy panowie nie mają nic przeciwko temu, żeby się rozejrzał. Flint ponownie wzruszył ramionami. Policjant pogmerał w pokrzywach pod kamperem i w szczelinie między kamperem a murkiem. Ray i Flint wymienili spojrzenia. Policjant wszedł do kampera i zaczął otwierać szafki i szuflady. Ray poprawił spodnie, ale Flint powstrzymał go gestem wystawionej ręki. Policjant wyszedł na zewnątrz i podziękował im za poświęcony czas. Flint powiedział, że zdawało mu się, iż do rewizji potrzebny jest nakaz, na co policjant odparł, że chciał tylko sprawdzić wszystkie możliwości. Ray burknął, że jak o niego chodzi, to może je sobie sprawdzać dalej, ale odczekał z tą uwagą, aż policjant znalazł się w połowie uliczki.

O świcie w dzień przesilenia letniego słońce ustawiło się w jednej linii z dwiema parami spadłych głązów na obu krańcach Kamiennych Sióstr. Ze wsi dobiegł odgłos bębnow. Orlica wzeszła, ale już brązowiała. Wydało się, że Ashleigh Wright wagaruje. Susanna dostała telefon z wezwaniem na

rozmowę z wychowawczynią, panią Bowman. Ashleigh też była przy tym obecna, ale nie dała się skłonić do zabrania głosu. Rozwalona na krześle, schowała twarz za włosami i milczała. Czy ktoś jej dokuczał? Czy lekcje były dla niej za trudne, czy może za łatwe? Dokąd chodziła, gdy nie było jej w szkole? Czy się z kimś spotykała? Jeśli ma problem, to chętnie pomogą jej go rozwiązać. Bo tak dłużej być nie może. Ashleigh coraz bardziej osuwała się na krześle, a gdy Susanna dotknęła jej ramienia, szarpnęła się. Trudno było słać pytania w tę nadąsaną próżnię bez uczucia frustracji. Susanna i pani Bowman zamilkły. Pokój był mały i ciepły, okna zaparowały. Z dworu dobiegały krzyki dzieci z młodszych klas spędzających tam poranną przerwę. Na biurku pani Bowman piętrzył się stos zeszytów, które miała ocenić do końca lekcji – starała się na nie nie patrzeć. Susannę piekła jeszcze dłoń po gwałtownym szarpnięciu Ashleigh. To było coś nowego. Chociaż właściwie nie. W podobny sposób zachowywała się przy ojcu. Susanna dawno już tego nie widziała. Czowała w tym zachowaniu jakąś siłę – siłę, jakiej dziecko nie powinno potrzebować. Chciała się dowiedzieć, co takiego dzieje się teraz, że dziewczynka reaguje podobnie. Pani Bowman obserwowała matkę i córkę. Wiedziała, że w grę wchodzi przeszłość. Z bratem Ashleigh nie było większych kłopotów, ale dziewczynka sprawiała wrażenie bardziej zaburzonej. Prawdopodobnie trzeba będzie porozmawiać oddzielnie z matką i z córką. Może z udziałem psychologa, jeśli matka się na to zgodzi. Tymczasem jednak czas uciekał, a biedne dziecko chciało tylko, żeby je zostawić w spokoju. Pani Bowman uśmiechnęła się do Susanny i dała znak, że wezwie ją później. Susanna wstała, żeby wyjść, a Ashleigh już była w drzwiach. Na korytarzu odeszła od matki bez słowa. Susanna patrzyła za nią, jak idzie zgarbiona, powłócząc nogami. Miała wadę postawy, ale nie dawała sobie tego powiedzieć. Susanna sama czuła się

dość spięta w okolicy obojczyków. Pójdzie pobiegać, jak wróci do domu. Te wszystkie dawne koszmary. Myślała, że ma je już za sobą, a one wracały. Podniosła głowę, opuściła ramiona i spróbowała złapać łączność z ziemią przez poduszki stóp. Rohan ukończył studia i wrócił do domu bez żadnego pomysłu na życie. Pomagał matce w sklepie, ale nie mogła mu płacić. Od miesięcy miała straty, ledwo ją było stać na uzupełnianie towaru. Właściciel domu tracił cierpliwość. James Broad wrócił z uniwersytetu i przez jakiś czas pracował w tartaku u Huntera. Na rozdanie dyplomów nie pojechał. Świadectwo ukończenia studiów przyszło listem poleconym i przekazał je matce, gdy oboje stali w kuchni w szlafrokach, James z ustami pełnymi grzanki. Matka musiała wyrwać mu świadectwo, żeby nie upadkał go dżemem. Później James spotkał się na mieście z kolegami, poszli na drinka – mieli świętować, ale jakoś nie byli w nastroju. Usiedli w ogródku piwnym nad rzeką, tam, gdzie przed trzema laty, i szybko skończyły im się tematy do rozmowy. Jedna tylko Sophie, która zaważyła studia, miała załatwioną pracę. Gdy Rohan zaproponował przedostanie się skrótem przez rzekę na parking, dziewczyna spojrzała na niego wzrokiem bazyliuszka. Les Thompson i jego ludzie wstali wcześniej rano razem z kosiarzami. Prosto od dojenia przeszli do szopy z maszyną i uruchomili urządzenie. Ranek był jasny i spokojny, mgła podnosiła się znad pól falami i słońce wypaliło ją, zanim krowy wyszły na pastwisko. Jones stanął przed sądem i dostał półtora roku. W gazecie ukazał się reportaż z procesu, którego nikt nie chciał czytać. Dom Jonesa stał pusty. Nocą nietoperze fruwały nisko nad rzeką i alejką wzdłuż sadu, żywiąc się owadami, o których istnieniu nikt nie wiedział, dopóki nie zniknęły. Wieczorem w sadzie u Fletcherów widziano policyjną furgonetkę. Ray i Flint zostali aresztowani.

Długie lipcowe dni były upalne. We wrzosach buzowało życie owadów. W niedzielę wieczorem Sally i Brian Fletcherowie zjedli razem kolację. Zwykle przy takiej okazji rozmawiali, ale dziś milczeli. Za oknem przyczepa kempingowa rysowała się blado na tle zmierzchu, a sad przybliżał się do domu. Kolacja była już prawie zjedzona, kiedy Brian przemówił. Nie możesz powiedzieć, że nie byłem cierpliwy, zaczął. Sally spojrzała na niego, zgarniając na widelec resztkę tłuczonych ziemniaków. Nie miała nic do powiedzenia. Nawet po tamtej ostatniej historii, ciągnął Brian, przyjąłem go z powrotem. Chłopak ma kłopoty. Wiemy o tym. Myśleliśmy, że odrobina stabilizacji mu pomoże. Gdybyśmy tylko umieli przekonać Raya, żeby trzymał się od niego z daleka, westchnęła Sally. Z Rayem zawsze są problemy. Ma zły wpływ na Phila. Nie sądzę, żeby tego człowieka dało się namówić do pójścia tam, gdzie nie chce, powiedział Brian. Chyba że w kajdankach. Ale jak się wyjaśni z tymi zarzutami? Na pewno Ray był prowodyrem. Może Phil dostanie tylko pouczenie? Daj spokój, Sally. Obaj byli w tym domu. Obaj tam weszli i ją okradli. To było współdziałanie. Cholerne wtargnięcie. Nie skończy się na pouczeniu. Sally pokiwała głową. Wiedziała, że Brian ma rację. Kochała go bardzo i wiedziała, że ma rację. Pamiętała, jak wiele poświęcił, żeby się z nią ożenić, ale chwilami wciąż przemawiał jak pan na włościach. Pozmywali i usiedli przed telewizorem. Leciał jakiś kryminał. Na plantacji iglaków u Hunterów wykluwały się drugie pisklęta mysikrólików, ledwo pierwsze, które przeżyły, wyfrunęły z gniazd. Na początku wakacji była żona wdowca przywiozła do niego jedno z dzieci, dziewczynkę, około trzynastoletnią. Nikt jakoś nie przestał nazywać go wdowcem. Dziewczynka spędzała w ogrodzie więcej czasu niż rok wcześniej, gdy była u ojca z rodzeństwem. Zwłaszcza świetnie – co zauważono – zajmowała się kurami, które dłużej niż potrzeba zaganiała na noc do kurnika. Wieczorami siadywała czasem

z ojcem na nowej ławce w ogrodzie, siorbiąc z kubka gorącą czekoladę, a potem on siedział sam, gdy światło w oknie na górze świeciło w gęstniejącym mroku, aż wreszcie zgasło. Pod koniec miesiąca, kiedy żona zabrała dziewczynkę z powrotem, widywano nieraz wieczorami to samo światło przez zaciągnięte zasłony, a wtedy kury dłużej niż zwykle kokosiły się w kurniku. Strażnik wodny wszedł do rzeki i powycinał wodorosty.

Sierpniowe noce były zimne, a nad ranem znad ziemi podnosiły się pierwsze wilgotne oznaki jesieni. Jaskółki, które najszybciej wyczuwały zimno, zaczynały zbierać się rzędami na drutach wysokiego napięcia, zwracając łebki na południe i oczekując na sobie tylko wiadomy sygnał. W lasach i wzdłuż ocienionego brzegu rzeki kwitły firletki. Powietrze było suche i niosło przez wieś odgłosy meczu krykietowego: uderzenie, hurgot i wiwaty zdawały się coraz to głośniejsze. Pod koniec popołudnia gruchnęła wieść, że drużyna wsi nie przegrywa. Publiczności przybyło. Wynik stał jeszcze pod znakiem zapytania, ale po pokonaniu ostatniej bramki Cardwell James Broad obwieścił go okrzykiem, który poniósł się aż za rzekę, płosząc gołębie na skraju pola i głosząc wszem i wobec, że wieś wygrała po raz pierwszy od niepamiętnych czasów. W cieniu jednego z parowów odchodzących w dół od wrzosowiska odkryto porządny szałas z brzozowych i modrzewiowych gałęzi, zadaszony paprociami tak grubo, że światło ledwo dochodziło do środka. Nie wiadomo było, kto go zbudował ani do jakich służył celów, ale strażnik parku narodowego i tak go rozebrał. W środku znalazł czasopisma. Gdy zameldował o tym w biurze, zainteresowali się, co to za czasopisma. Powiedzmy, że specjalistyczne, rzekł strażnik. Czyli łowieckie, wędkarskie? Nie. Rozumiecie chyba, co mam na myśli. Pisemka dla dorosłych. A więc nie komiksy, nie mówimy

o Beano ani o Dandy? Nie. Specyficzne pisemka dla dorosłych. Znaczą się o cyckach? No. Mówię przecież. Specyficzne. W jakim sensie, Graham? Koledzy potrafili być strasznie namolni. Wiedział, że robią to celowo. Najlepszą na to odpowiedzią była przesadna cierpliwość. Tylko że Graham nie miał ochoty ciągnąć tej rozmowy. Wziął je ze sobą, Graham? Masz je w biurku? Nie, odparł. Są w archiwum. Zajrzyjcie tam sobie. Pod S – specjalistyczne? Pod D – dla dorosłych? Pod W – wiązanie? Koniec rozmowy, panowie. Graham na niby uchylił kapelusza i wyszedł. Miał lepsze rzeczy do roboty. Gdy zamykał drzwi, usłyszał rechot kolegów. Niech tracą czas, szperając w archiwum. Na działkach wieczorami ustawiały się kolejki do kranu, a ci, co mieli zbiorniki na deszczówkę, patrzyli i nic nie mówili. Woda ciekła po stwardniałej ziemi i nie zawsze wsiąkała w grunt. Czuło się, że nadciąga zmiana pory roku; jeszcze nic nie wiedło, ale zieleń wiotczała, szarzała, zaczynały spadać nasiona. Podlewanie przeciągało się aż do czasu, gdy długie cienie sięgnęły szosy i zostały wchłonięte przez potężniejszy cień wzgórza. Na słupku ogrodzenia przy drodze myszołów sprężył się i wzbił do lotu, a następnie wylądował wystawionymi szponami na grzbiecie młodego królika, którego porwał ze sobą. W szkole wyburzono kotłownię.

Cathy Harris pomogła Sally wysprzątać kamper, gdy policja skończyła go przeszukiwać. Większość rzeczy, których policja nie zabrała, nadawała się tylko do wyrzucenia. Cathy spytała Sally, co jej zdaniem nastąpi teraz. Naprawdę nie mam pojęcia, odparła Sally. Wiesz, zaczynam podejrzewać, że on jest lekko zaburzony. Ciągłe się pakuje w te sytuacje. Spokojny bywa tylko jak siedzi w szpitalu, ale żeby tam trafił, muszą go najpierw aresztować. Nie wiem, co jeszcze powinnam dla niego zrobić. Sad wyglądał łyso i dziwnie, ale Brian Fletcher był zdania, że w sumie dwaj mężczyźni

wykonali dobrą robotę. Obóz protestacyjny już prawie się zwinął, bo nowy kamieniołom jednak powstał i działał pełną parą. Pierwsze prace wydobywcze prowadzono o około pięć kilometrów od Kamiennych Sióstr i pewne było, że bliżej nie podejda. Zazwyczaj w obozie dyżurował już tylko jeden demonstrant: podtrzymywał ognisko i odmalowywał transparenty. Majątek Culshawów stracił więcej niż zwykle bażantów przez kłusowników i mówiło się o zorganizowanym gangu. Stratę jednego czy dwóch ptaków jeszcze tolerowano, ale tu chodziło o kilkadziesiąt sztuk w jedną noc. W oborze u Thompsona mężczyźni podczepili mechaniczne dojarki następnej grupie krów i w późnopołudniowym powietrzu rozniósł się zawieszisty zapach śmietany i gnoju. Geoff Simmons w swojej pracowni doklejał ucha nowej partii dzbanków, znacząc miejsca przyczepu krzyżykiem. Musiał jeszcze spakować zamówienie i odnieść je na pocztę. Od jakiegoś czasu spotykał się z kobietą, garncarką z Devon, która okazała mu wiele sympatii na targach rzemiosła i już kilka razy go odwiedziła. Ale mówiła, że wolałaby, żeby to on do niej przyjeżdżał. Namówiła go na sprzedaż wysyłkową. Był stanowczo przeciwny idei strony internetowej, nie chciał, żeby ludzie kupowali jego garnki, nie biorąc ich wpierw do ręki, ale kobieta miała dar przekonywania. To go zaczynało martwić. Martin w przerwie obiadowej poszedł z kanapkami do parku nad rzeką, a po ich zjedzeniu wstąpił do toalety publicznej i stojąc przy pisuarze, usłyszał coś z zamkniętej kabiny. Z początku tylko mamrotanie, a potem szelest czy szamotaninę. Miał wrażenie, że są tam dwie osoby i przeszło mu przez myśl, że to może dwaj mężczyźni uprawiają seks. Wiedział, że takie rzeczy się zdarzają. Przypomniało mu się, że gdy dowiedział się o Brusie, zastanawiał się, czy on też to robi. Myśl ta zaniepokoiła go znacznie bardziej niż sam fakt, że syn jest gejem, czy jak tam oni lubią siebie nazywać. Uporał się z tym. Kiedy już wreszcie poznał Hugh, powiedział

Bruce'owi, że się z tym uporał. W kabinie panowała cisza. Martin uznał, że zmyślił sobie tamte odgłosy. Co było samo w sobie powodem do zmartwienia. Ale kiedy mył ręce, w kabinie coś gwałtownie się poruszyło, coś walnęło w drzwi i rozległ się bolesny jęk rozkoszy. Wychodząc bez wytarcia rąk, Martin uświadomił sobie, że myśl o rozkoszy go zdziwiła. A przecież nie powinna była dziwić. Bo ludzie mogą sobie o tym myśleć, co chcą, ale oni musieli czerpać z tego przyjemność. Inaczej czemu narażaliby się na takie przykrości. Czemu znosiliby złośliwe języki. Przez wiele następnych dni Martin przyłapywał się na tym, że mimo woli myśli, czy faktycznie słyszał to, co wydawało mu się, że słyszy. Bardzo chciał komuś o tym powiedzieć, ale nie miał komu. Ciekaw był przede wszystkim, jak faceci umawiają się na randkę w kabinie toalety. Z pól pszenicy przy głównej szosie zebrano plony i na rzysku buszowały grzywacze, wydziobując rozsypane ziarna. W jarze wieczorami rzadka mgła snuła się wzdłuż koryta rzeki, wznosząc się z wody jak dym. Pogoda się psuła.

W salonie rodzina Cooperów oglądała *Harry'ego Pottera* po całym dniu spacerowania po wzgórzu. Bliźniacy zasnęli po dwudziestu minutach, obaj z ręką we wciśniętej między nich misce z popcornem. Austin rzucił cichy komentarz na ten temat do Su, ale w połowie zorientował się, że ona też śpi. Przyciszył telewizor i wsłuchał się w oddechy swojej trójki. Pamiętał, że tak samo nasłuchiwał ich, kiedy chłopcy byli niemowlętami. Jak oni wyrosli od tamtego czasu. Patrzył na ich falujące klatki piersiowe, poruszane małymi jeszcze płucami, na ich ciała zaabsorbowane rośnięciem. Obserwował swoich synów. Schludność ich proporcji. Skórę. Niezmacony spokój twarzy. Światło w pokoju zmieniało się wraz z ruchami drzew za oknem. Postacie na ekranie wrzeszczały na siebie bezgłośnie. No i Su, ta drobna figurka leżąca twarzą do niego, spowolniała w rytm przyptywów



i odpływów, odmierzany sennym oddechem. Austin poczuł się tak, jakby trzymał w objęciach ich troje, ten pokój, ten dom. Czuł się przy nich zarazem bezgranicznie kompetentny, jak i bezgranicznie bezradny w swojej roli. Przypomniały mu się noce, które przeleżał bezsennie, sprawdzając w myślach wszystkie zamki drzwi i okien, wyobrażając sobie, co by zrobił, gdyby ktoś wtargnął do domu. Oto są razem, bezpieczni. Blask od ekranu telewizora ślizgał się po twarzach chłopców. Austin od dłuższej chwili wstrzymywał oddech, jakby się bał, że czar pryśnie. Zadowolenie rozpierało mu pierś jak bolesny mięsień. Spozrzegł, że Samowi drga zanurzona w popcornie rączka, ciekawe, co mu się śniło. Poczuł, że Su przysuwa się do niego i kładzie policzek na jego ramieniu, a wtedy Lee poprosił go, żeby podgłośnił telewizor, bo nie słychać filmu.

Gdy pierwsza syrena zawyła nad kamieniołomem, robotnicy opuścili teren. Gdy zawyła druga syrena, umilkły ptaki. We wsi pozamykano wszystkie okna i drzwi. Zawyła trzecia syrena i ptaki wzbiły się w powietrze. Wybuch nastąpił głęboko pod powierzchnią wydobywczą, wstrząsając całym cielskiem ziemi głuchym, miazdzącym dygotem, który strącił wielkie sztaby wapienia na dno kamieniołomu. Wzbity kurz wznosił się w powietrze i rozwiewał przez co najmniej pięć minut. Zabrzmiała pierwsza syrena odwoławcza i ptaki hałaśliwie powróciły na czubki drzew. Zawyła druga syrena odwoławcza i robotnicy powrócili na stanowiska. We wsi okna i drzwi pozostały zamknięte przed roznoszącym się pyłem. W autobusie jadącym z miasta Winnie zobaczyła Irene i spytała ją, czy była u fryzjera. Irene sięgnęła ręką do włosów, chociaż wcale nie miała takiego zamiaru. Odparła, że nie robiła nic specjalnego, tylko to, co zawsze. Żeby włosy porządnie wyglądały, dodała. Ładnie ci w tej fryzurze, powiedziała Winnie. Irene tylko skinęła głową i odwróciła się twarzą w kierunku jazdy.

Winnie zachodziła w głowę, czym ją obraziła. Z Irene nie zawsze wiadomo było, na czym się stoi. Na przystanku Irene spotkała Sally Fletcher, która chciała się dowiedzieć, jaki jest plan najbliższej wyprzedaży w kole gospodyń, a na koniec też komplementowała jej fryzurę. Ślicznie cię uczesały, powiedziała, kładąc na chwilę rękę na ramieniu Irene, jakby ją chciała okręcić w koło niczym manekin krawiecki. No, wolę krótko, odrzekła Irene. Praktycznie. Później, kiedy podobny komplement wygłosiła Su Cooper, Irene zaczęła się zastanawiać, czy to nie jakiś subtelny żart jej kosztem. Tak wielkie zainteresowanie było jej nie w smak. Nie pyszniła się swoim wyglądem. Następnym razem poprosi Jackie, żeby obcięła ją skromniej. Schludnie – to wszystko, na czym jej zależało. Wieczorem spotkała się u Gladstone’a z Winnie na kieliszku wina, tak jak się umówiły. Był to dzień jej sześćdziesiątych urodzin, ale nie chciała robić szumu. Na zebraniu rady wywiązała się dyskusja na temat palenia kukły Guya Fawkesa w święto piątego listopada. Susanna Wright oświadczyła, że jest to zwyczaj antykatolicki, właściwie przejaw rasizmu, jak się głębiej zastanowić, i była zdania, że rada parafialna nie powinna go popierać. Większość jednak uznała, że tradycja jest nieszkodliwa i nie ma powodu z niej rezygnować. Po zebraniu Susannę wzięto na bok i pouczono, że jako nowa członkini rady parafialnej powinna odczekać rok, dwa, ze zgłaszaniem wniosków. W zbutwiałym pniu zwalonego jesionu nad rzeką skoczogonki liniały, zerowały i sposobiły się do ponownego złożenia jajeczek. Burza zdarła papę z dachu świetlicy. Woda poczyniła takie zniszczenia, że trzeba było zdjąć boazerię z jednej ściany. Koniec budynku odgrodzono taśmą i zwołano posiedzenie dotyczące pilnej konieczności zebrania pieniędzy na remont. Powódź objęła całą dolinę i rzeka porwała z ziemi Hunterów świeżo ścięte drzewa, które zniosły pieszy most koło jazu przy stawie młyńskim.

Jones wrócił do wsi, ale się nie udzielał. Gdy pierwszy raz zobaczono światło w jego oknach, niektórzy uważali, że trzeba go powitać. Już ja go, kurwa, powitam, powiedział Tony. O tym, żeby wrócił do pracy w szkole, nie było nawet mowy. Po uwzględnieniu czasu spędzonego w areszcie odsiedział tylko sześć miesięcy. Wypuścili go warunkowo, ale pozwolili mieszkać w domu. Ci, którzy go widzieli, mówili, że wychudł. Jego przestępstwo uznano za łagodne w skali zjawiska, ale wieś nie zamierzała tak łatwo odpuścić. Skala zjawiska, ja pierdołę, powiedział Tony. Martin stwierdził, że przecież tu chodzi nie o dzieci, tylko o nastoletnie dziewczyny, a te niektóre trzynastolatki to wiadomo. Gdy to powiedział, zapadła cisza i nikt nie przyznał mu racji. Tylko Tony zauważył, że trzynastolatka to jeszcze dziecko, i Martin natychmiast się wycofał. Nie to miałem na myśli, bąknął. Co z tobą jest, do cholery? – wkurzył się Tony. W sklepie Susanny przez cały grudzień wisiały plakaty o wyprzedaży. Domyślano się, że to wyprzedaż przed likwidacją sklepu, chociaż nikt nie nazwał rzeczy po imieniu. Susanna rozwiesiła lampki choinkowe i papierowe łańcuchy, i urządziła bożonarodzeniowy bankiet. Było grzane wino, keks i wspólne kolędowanie. Lokal wypełnił się po brzegi, ale i tak zauważono nieobecność Ashleigh. Przechodziła trudny okres. Rankiem na drzwiach pojawiła się nowa kłódka. Nad rzeką strażnik wodny naprawiał odcinek ścieżki, tam, gdzie powódź zrobiła półmetrową wyrwę w wale, splukując cały żwir. Szufłował żwir od rana i cieszył się z lekkiego wietrzyku. Richard Clark nie dojechał do domu na święta, jego siostry też się nie pokazały. W rano Bożego Narodzenia wszyscy po kolei zadzwonili do matki na komórkę i nawet ich słyszała, piąte przez dziesiąte, gdy wyszła na dwór tuż za tylne drzwi. Córki były podenerwowane, dzwoniły po ciężkim dniu przygotowań i sprzątnięcia. Głos Richarda był przyciszony,

jakby mówił z pokoju pełnego dywanów i draperii. Wyczuła, że ma kogoś w łóżku. Zawsze to wyczuwała i rozczuła ją, że Richard jest na tyle naiwny, że nie zdaje sobie z tego sprawy. Szelest pościeli, niecierpliwy ton. Po tych telefonach w domu i w ogrodzie zapanowała trwoźna cisza. Później przyszedli dwaj synowie Jacksona i zabrali ją do Winnie na lunch. Prowadzili ją do samochodu pod rękę, tak że nie była pewna, czy w ogóle dotyka ziemi.

Rozważano urządzenie przedstawienia w kościele, skoro świetlica była w remoncie, ale z uwagi na ton ostatnich spektakli rada parafialna uznała, że byłoby to niestosowne. Ależ nie, skądże, zaprotestowała Jane Hughes. Niestety tak, odparł Clive. Rozczarowywała go czasem swoją naiwnością. Przedstawienie przełożono na następny rok. W niedzielę widziano w kościele dzieci Jane. Jej syna i córkę, którzy przyjechali z uniwersytetu i nieswojo czuli się w kościelnych ławkach, w których ostatnio siadywali, gdy byli o połowę niżsi. Chłopak przerósł rodziców wzwyż i wszcz, więc kiedy miał czytanie, musiał się schylić nad lektorium, którego krawędzie ścisnął wielkimi łapskami, jakby miał zaraz dźwignąć pulpit nad głowę. Zostało dziecię Jezus w Jerozolimie, o czym nie wiedzieli jego rodzice. Czytał, połykając końcówki słów. Uszli dzień drogi i szukali go. A po trzech dniach znaleźli go w świątyni, siedzącego wpośród nauczycieli. Czyż nie wiedzieliście, że w tym, co jest Ojca mego, Ja być muszę? <sup>5</sup> Jane stała z boku, czekając aż będzie mogła zapowiedzieć następny hymn; patrzyła na syna i uśmiechała się do czytanej opowieści. Oto słowo Boże, wymamrotał syn Jane. Bogu niech będą dzięki, odpowiedzieli wierni. Odśpiewali następny hymn i Jane wygłosiła kazanie o zmianie i odnowie, podczas którego poinformowała wiernych, że niedługo przenosi się do Manchesteru. Rzeka zgęstniała od mułu naniesionego ze wzgórz i chlustała pióropuszcami

przez jazy. Białe światło wędrowało powoli przez wrzosowisko. Zaginiona dziewczynka miała na imię Becky, Rebecca, Bex. Jeżeli jeszcze żyła, mogła mieć prawie metr osiemdziesiąt wzrostu. Stworzony komputerowo portret osiemnastolatki był od pięciu lat nieaktualny, ale rzeczniczka prasowa policji oznajmiła, że nie planuje się zlecenia nowego. Sprawa pozostaje otwarta, powiedziała. Dżinsy, bezrękawnik i biała bluza z kapturem byłyby za małe. Tenisówki na pewno dawno się rozpadły.

## 10

O północy, z nadejściem nowego roku, wybuchł pożar w przyczepie kempingowej w sadzie Fletcherów. Trochę trwało, zanim ktokolwiek to zauważył, a straż pożarna przyjechała po półtorej godziny od alarmu. Do tego czasu przyczepa spłonęła do cna, a razem z nią dwanaście drzew. Rano pogorzelsko jeszcze dymiło, a nad wsią unosił się smród stopionego plastiku. Niewątpliwie doszło do podpalenia, a szanse odnalezienia sprawcy były nikłe. Przez kilka dni po pożarze widywano Fletchera krążącego po sadzie: oglądał zwęglone drzewa, jakby miał nadzieję, że są jeszcze do odratowania. Na rozmiękających polach z południowej strony kościoła żerowały tłumnie kwiczoły. Prawie co wieczór zapadała gęsta mgła, która utrzymywała się do rana. Andrew znowu miał zajście z matką. Sprzątała, jak zwykle, i marudziła mu, żeby pozbierał swoje rzeczy z podłogi. A on był w połowie procesu kodowania i nie chciał stracić wątku. Matka wiedziała, że ma nie wchodzić do jego pokoju, ale nie przestawała marudzić. Andrew starał się robić swoje, ale matka co chwila stawała w drzwiach. Przecież pozbierałby te rzeczy później, gdyby mu dała taką szansę. Powiedział jej, że teraz jest zajęty, a ona mu na to, że ma naszykowane pranie. Stał przy drzwiach, ale matka przestąpiła metalową listwę oddzielającą chodnik z korytarza od wykładziny w jego pokoju. Daj,

to sama pozbieram, powiedziała. Trzeba to poprać. Gra była już zmarnowana. Andrew nie pamiętał, do czego doszedł. Kompletnie się pogubił. Matka wyminęła go i schyliła się po ubrania. Wtedy walnął ją łokciem w kark. Wydała odgłos, którego nie zrozumiał. Uklękła i zgarnęła ciuchy. Potem powiedział „przepraszam”, ale tylko dlatego, że wiedział, że tak się mówi. Matka musiała się nauczyć.

Brian Fletcher wciąż jeszcze przeżywał pożar, a Sally wiedziała, że lepiej zostawić go w spokoju. Dom był dość duży, żeby nie musieli wchodzić sobie w drogę. Rodzina wprawdzie odcięła Fletchera od majątku, ale pozwoliła mu zachować dom. Nie stać ich było na jego utrzymanie, lecz robili, co mogli. Dom był kanciastą georgiańską kamieniczką, zupełnie niepasującą do reszty zabudowy ulicy. Swego czasu mieścił plebanię. Składał się z czterech sypialni, trzech salonów i olbrzymiej kuchni. Był ze trzy razy większy od tego, w którym wychowała się Sally. Miała w nim oddzielny gabinet na swoje książki przyrodnicze i akwarele, a Brian warsztat zagracony częściami samochodowymi. Wiadomo było, że śpią w oddzielnych sypialniach. Brian potraktował pożar osobiście. Sally schodziła mu z drogi, dopóki się z nim nie uporał. Przez ten pożar Brian poczuł się namierzony. Znalazł w mieście garaż na swoje samochody. Przez jakiś czas podejrzewał nawet swoją rodzinę, ale w końcu doszedł do wniosku, że to na pewno jakiś kumpel Raya czy Flinta. Takie typy zawsze szukają winnego, powiedział. Po kilku dniach nerwówki przyszedł do Sally i spytał, czy zostanie z nim na noc. Zawsze tak się to kończyło. Mogła odmówić, dzięki czemu łatwiej jej było wyrazić zgodę. Obydwoje mieli powody, żeby bronić swojej samotności, ale zdarzały się też noce, gdy tęsknili za poczuciem bezpieczeństwa. Seks uprawiali rzadko, ale nie czuli, że coś przez to tracą. Sally obgadała to kiedyś z Cathy Harris, czego potem

zawsze żałowała. Ludzie nie rozumieją takich rzeczy. Przez te deszcze pod koniec miesiąca pękła żeliwna rynna, która odpadając, zerwała płytę stropową. Stale było coś do naprawy, nie sposób nadażyć. Na wrzosowisku owce odcinały się nikotynową żółcią od tła świeżego śniegu. Opady były obfite, tworzyły się zaspasy. Will Jackson nie posłał Toma do szkoły i zabrał go na poszukiwanie zagubionych owiec. Większość sprowadzili do domu ubiegłego wieczoru, ale pięciu czy sześciu nie udało im się znaleźć. Parę pewnie padło, lecz Will uznał, że Tom jest już dość duży, żeby zobaczyć martwe zwierzę. Claire na pewno by się sprzeciwiła. To go nie wzruszało. Wyjechał quadem najwyżej jak się dało i skierował go w dół, zanim wysiedli. Wzięli ze sobą kije, łopaty, worki, torbę paszy i butelki z mlekiem. Przed wyjściem na wzgórze podzielili się tym ładunkiem. Tom sięgał już Willowi do ramienia, a bary miał równie jak on szerokie. Will stwierdził, że z trudem dotrzymuje mu kroku. Kazał synowi zwolnić. Tempo jest okej, dziaduniu, odkrzyknął mu Tom pod wiatr. Will kazał mu się odpieprzyć, a Tom się roześmiał. Zapadając się głęboko w śnieg, brnęli w stronę wąskiego jaru, gdzie zdaniem Willa mogły schronić się owce. Na radzie parafialnej doszło do sporu o to, kto ma odbudować pieszy most.

Sąd przyznał rację właścicielom majątku i usunięto ostatnią demonstrantkę. Dwaj policjanci podwieźli ją na stację z plecakiem wypchanym wszystkim, co zdołała unieść. Poprosiła o umieszczenie reszty rzeczy w magazynie i dowiedziała się, że to niemożliwe. Trochę się zmartwiła. Policjanci odnieśli wrażenie, że sama nie bardzo wie, dokąd się wybiera. Ludzie z majątku podjechali z przyczepą do obozowiska i zwieźli wszystko na dół za napiwek. Wróciły deszcze i zbiorniki szybko się wypełniły, a woda z namokłych wzgórz znów chlustała odpływami do rzeki. Wzdłuż ścieżki i w rogach pól powschodziły pierwsze pokrzywy.



Winnie należała do nielicznych gospodyń, które wciąż ścinały czuby pokrzyw na zupy i sosy. Zbierała je z narastającym wstydem, że ktoś zobaczy. Zarząd parku urządził w świetlicy wystawę na temat zapobiegania pożarom, której główny motyw stanowiły podpalenia. To w związku z ostatnimi wydarzeniami. Aby przypomnieć ludziom zasady bezpieczeństwa i obowiązek trzymania materiałów łatwopalnych pod kluczem. Brian Fletcher wziął to do siebie i spytał, co więcej powinien być zrobić. W BBC nastąpiło obcięcie funduszy i Su Cooper otrzymała propozycję dobrowolnej rezygnacji z pracy. Przez trzy długie wieczory wałkowała tę sprawę z Austinem. Gdyby została, mogła i tak nastąpić redukcja etatów, a wtedy odprawa byłaby znacznie niższa od proponowanej obecnie. Gdyby odeszła teraz, żałowałyby tego do końca życia; żal by jej było pracy, którą włożyła w osiągnięcie obecnego stanowiska, i straconego czasu, który mogła spędzić w domu z dziećmi. Gdyby została, patrzyłaby, jak odchodzą jej najlepsi koledzy, przybyłoby jej pracy, atmosfera w redakcji uległaby zmianie. Gdyby odeszła, nie wiedziałaby, co ze sobą zrobić. Mogliby to potraktować jak urlop, wyjechać z chłopcami w podróż. Tyle że chłopcy byli na to za mali i nie powinni przerywać nauki. A może by tak zaangażowała się bardziej w życie wsi, zaczęła działać w wolontariacie, znalazła sobie hobby. Hobby? – powtórzyła. – Zastrane hobby? Nie dało się z nią rozmawiać. Oczywiście rozwiązanie nie istniało. Zastrane hobby, powtórzyła i zdecydowała, że zostaje w pracy. Przesunięto do przodu zegary i wieczory otworzyły się na światło. Pączki na gałęziach pojaśniały. Gordon Jackson przyjął zlecenie na dostawę do sklepu Ruth w Harefield i wyliczył godzinę dojazdu tak, żeby zjawić się tam po zamknięciu. Gdy rozładował towar, a Ruth podpisała fakturę, umyli oboje ręce i przeszli na górę. Stała tam kanapa. Rozebrali się i Ruth pociągnęła Gordona na siebie. Nigdy dużo nie gadali. Tak się nie działo za każdym

razem. Tylko wtedy, kiedy kazała mu umyć ręce. Trwało to już od miesięcy, ale sporadycznie i zawsze ku zaskoczeniu Gordona. Była od niego starsza, ale miała dużo siły. Zdarzały się siniaki. Po fakcie on ją zagadywał, ale nie chciała rozmawiać. Nie przeszkadzałoby mu to, gdyby nie parę rzeczy, które chciał wiedzieć. Przede wszystkim co to jest, co się dzieje między nimi. Może nic. Trudno byłoby mu przyjąć to do wiadomości. Ruth oparła się o zagłówek kanapy i położyła mu stopy na kolanach. Myślał, że zasypia, ale połaskotała go w brzuch palcami stóp, tak że podniecił się od nowa. Kiedy wyszedł, było już ciemno i nie wiedział, czy nie spóźni się na podwieczorek. Ze szczytu wrzosowiska widać było światła samochodów jadących szosą, bezgłośnie i natarczywie. A wieś spała.

W kwietniu rodzice Su Cooper przyjechali na dłużej i chłopcy obskoczyli ich zaraz przy wejściu. Czy przywieźli słodycze, czy przywieźli ciasteczka? Ojciec Su śmiał się z ich obcesowości i schylił się, żeby podnieść do góry najpierw Hana Lee, a potem Lu Sama. Austin już był na dworze i wyciągał torby z samochodu. Su obserwowała ojca i widziała, jak zмага się z ciężarem każdego z wnuków. Jej matka czekała z boku, wreszcie nachyliła się i objęła stojących sztywno chłopców. Niedługo już nie będę musiała się schylać! – powiedziała, tak jak za każdym razem od kilka lat. Su uściskała rodziców i zaprosiła ich do salonu, a w tej samej chwili Austin stanął w drzwiach, objuczony torbami. Gdzie je postawić? – zapytał i dowiedział się, że ma je zanieść prosto na górę. Dzikie bażanty uwiły sobie gniazda w wysokiej trawie na skraju buczyny, ale wszystkie jajka wykradły im lisy, borsuki i wrony. Hunterowie stawiali sobie nowy mur bezzaprawowy przy wjeździe na podjazd; Liam Hooper pracował przy nim już od miesiąca. Sean Hooper niemal codziennie doglądał pracy syna, a zauważywszy, jak często Olivia Hunter przynosi Liamowi herbatę

i ciastka, albo po prostu kręci się w pobliżu, zadając liczne pytania, przypomniał mu, ile to dziewczę ma lat. Liam zrobił zdziwioną minę i wymamrotał, że w takim razie to legalne. Sean nie powstrzymał się od śmiechu, ale zapowiedział synowi, żeby trzymał się z daleka od tej małej. Gra niewarta świeczki, powiedział. Na wyprzedaży w kole gospodyń Winnie zagadnęła Irene, czy dobrze się czuje. Użyła intonacji oznajmującej, jakby stwierdzała, że niby czemu nie miałyby czuć się dobrze, ale Irene zeszywniała, słysząc to pytanie. Nie mogę się skarżyć, odrzekła. Jakoś ciągnę. A ty? Winnie odpowiedziała, że ma się świetnie. Dodała, że ludzie tęsknią za ciastami i konfiturami Irene, bo już dawno nie przynosiła nic na aukcję. Irene poczerwieniała i nie odzywała się przez chwilę. Nie można ode mnie oczekiwać, powiedziała w końcu. Nie można stale czegoś ode mnie oczekiwać. Winnie położyła rękę na ramieniu przyjaciółki. Nikt niczego od ciebie nie oczekuje, zapewniła. Ale jeśli mogę ci w czymś pomóc... Irene pokręciła głową i cofnęła się lekko, tak że dłoń Winnie zawisła w powietrzu. Dziękuję ci, powiedziała. Dam sobie radę. Doceniam twoją troskę. Daj spokój. Para myszołowów okrążyła się nawzajem wysoko nad wrzosowiskiem koło zbiornika nr 5: szpeciły się szponami i opadły gwałtownie ku ziemi w tumultie rozpostartych skrzydeł. Obrońcy przyrody wysunęli plan opanowania wegetacji na zalewanych łąkach przez wypas długorogiego bydła i Jacksonom zaproponowano odnośny kontrakt. Synowie Jacksona byli za. Oznaczało to zbudowanie nowej obory i zakup większej przyczepy do przewożenia inwentarza, ale dano im do zrozumienia, że za pierwszym kontraktem pójdą następne. Stary Jackson się sprzeciwił. A gdy usiłowali go przekonać o znaczeniu różnicowania hodowli, z demonstracyjnym trudem wykrztusił słowo „owce”. My – mamy – owce, powiedział. Nie było sensu przeciągać dyskusji. Nad boiskiem

krykietowym stał półksiężyc i blade światło padało na ziemię przez liście kasztanowca.

W maju na wyżynach spadł śnieg, chociaż turyści wędrujący przez wieś od niedawna chodzili w szortach. W koronie kasztanowca przy boisku krykietowym były się grzywacze i łopot skrzydeł niósł się w chłodnym porannym powietrzu. Świeżo wyrosłe paprocie rozpełzły się po wzgórzach nad zbiornikami, bladozielone i gęstniejące z dnia na dzień, więc zaplanowano intensywniejsze opylanie i wycinkę. W pokoju nauczycielskim światło paliło się przez całą noc, a nazajutrz rozeszła się pogłoska o spodziewanej wizytacji z Ofsted<sup>6</sup>. Po wizytacji pani Simpson wyglądała, jakby przez miesiąc doglądała kocących się owiec, a panna Dale musiała wziąć tydzień zwolnienia lekarskiego. Znalazły się pieniądze na remont świetlicy, a zajęcia na czas remontu przeniesiono do kościoła. Były obiekcje dotyczące ćwiczenia jogi w nawie ze względu na jej, jak się wyraził Clive, przypuszczalnie okultystyczne pochodzenie. Wywiązała się dyskusja. Jane Hughes porozmawiała z radą parafialną o organizacji swojego odejścia i działalności świątyni w okresie interregnum. Diecezja bardzo dba o wiejskie parafie, powiedziała, ale bądźcie przygotowani na długi wakat. Mówiła o konieczności wyznaczenia dyżurów dla lektorów i szafarzy, zamawianiu wizytujących kaznodziejów, możliwości skorzystania z emerytowanego duchowieństwa z okolicy. Po powrocie do domu powiedziała mężowi, że ci ludzie się nie zorganizują, a ona być może popełnia błąd. Mąż uspokoił ją, mówiąc, że ludzie muszą po prostu trochę dorosnąć, jakiś czas się pomęczą, ale ona nie może zawsze za wszystko odpowiadać. Odparła, że dojrzewanie jest dość bolesne, na co mąż podniósł do góry obie ręce. Nad rzeką strażnik wodny powrzucał z mostu do nurtu koło jazu butelki na próbki. Robił to zawsze w tym samym miejscu i o tej

samej porze dnia. Na powierzchni wody pokazały się bańki powietrza z napełniających się butelek, a potem strażnik wodny wywindował klatkę i butelki powystawiał. Obserwował parę ważek łączącą się nad brzegiem. Zaginioną dziewczynkę widziano w centrum turystycznym: siedziała na ławce i słuchała audioprzewodnika, w skupieniu, z przymkniętymi oczami, dyndając nogami nad podłogą. Podobno była w tamtych tenisówkach.

W czerwcu wieczory były długie i jasne. Słońce nie tyle zachodziło, ile dryfowało gdzieś w dal, pozostawiając za sobą szlak świętojańskiego blasku, który zdawał się trwać aż do rana. Nie chciało się spać. Chciało się gadać. Na łąkach ludzie Thompsona jeździli snopowiązałką wzdłuż pasów ściętej trawy, maszyna zgarniała grube sterty i odwirowywała je w ciasne bele. Co kilkaset metrów traktor przystawał, w urządzeniu dudniła wirówka i schludnie skręcona bela wytaczała się cicho spod kłapy na pole. Grzywacze złożyły jaja w gniazdach w buczynie i na kasztanowcu przy boisku do krykieta. Wysiadywały je na zmianę, ale i tak sporo wykradły sroki i wrony. Na wale nad opuszczonymi wyrobiskami ołowiu o zmierzchu z nory wylazły pierwsze borsuki. Samice z młodymi szukały pożywienia, a samce szukały samic do pokrycia. Dochodziło do konfliktów. We wsi byli jeszcze tacy, co pamiętali opowieści swoich dziadków o kopalniach ołowiu, o ludziach, którzy dzień w dzień, przez całe życie schodzili do ręcznie wykopanych szybów, aby wyciosywać żyły toksycznej rudy, o polach zaśmieconych urobkiem, o dymie z hut, który osadzał się w płucach. Pan Wilson poszedł do szpitala na operację biodra, a Nelson pod jego nieobecność zamieszkał u Cathy. W świetlicy plansze z dekoracją studni były na ukończeniu. Winnie z Irene zraszały deski, żeby glina nie wyschła, a kiedy wreszcie się odsunęły, uśmiechnięte z zadowolenia, rozległ się ogólny aplauz i do Gladstone'a posłano zamówienie na kiełbaski

z tłuczonymi kartoflami. Synowie Jacksona zagnali owce do zagrody na odrobaczenie. Will Jackson był już gotów z pistoletem do podawania leków. Brał owce po kolei za kark i bokiem wciskał im do pyska końcówkę urządzenia, aż do gardła. Chwilami przypominało mu to przymuszanie Molly do połknięcia różowego syropu, gdy spocona zrywała się ze snu. Dziewczynka często nie spała całą noc. Ciekawe, czy z nim w dzieciństwie było tak samo. Przypuszczał, że matka nie miałaby czasu na takie fanaberie. Kolejka owiec zmniejszała się, a skóra Willa błyszczała od lanoliny. Pod koniec miesiąca do Winnie przyjechały wnuki. Zabrała je do starego kamieniołomu przy szosie na zbieranie kwiatów czarnego bzu. Uzbierali pełny wór białych, pienistych kwiatostanów i zataszczyli go do domu na plecach. Winnie posadziła dzieciaki przy stole i kazała im ścierać na tarce cytryny i pomarańcze, sama zaś oczyściła czarny bez i namoczyła go na noc. Następnego dnia dzieci straciły zainteresowanie i nie dały się odciągnąć od telewizora, żeby zobaczyć, jak Winnie dodaje cukier i sok owocowy, cały czas lekko podgrzewając. Kiedy jej córka przyjechała po dzieci, Winnie podarowała im butelkę kordiału, jeszcze ciepłego i prześwietlonego słońcem, chociaż wiedziała, że nigdy go nie wypiją. Córka przytuliła ją lekko, cmokając w policzek i obiecała, że wkrótce znów się zobaczą. Dzieciaki pomachały jej z tylnego siedzenia samochodu.

Geoff Simmons załadował piec na pierwsze wypalanie i zabrał whippeta na leniwy spacer. Suka kiedyś fantastycznie biegała, ale teraz cierpiała na zwyrodnienie bioder. Szli alejką w stronę domu Jacksona i szosy. Geoff sam się trochę zasapał. Wstąpił do pubu i wyszedł stamtąd z piwem i miską wody. Usiadł na ławce i czytając „Echo Doliny”, czekał, aż whippet skończy pić. Znał wszystkie nazwiska wymienione w gazecie, ale wielu twarzy mijających go ludzi nie kojarzył. Nie kwapili się do rozmowy. On

zaś nie przypuszczał, że zostanie tu tak długo, więc też się nie wysiłał. Spędził tydzień w Devon u kobiety, z którą się spotykał. Zapraszała go na dłużej. Wymówił się sprawami wymagającymi powrotu. Dopił piwo i poszedł po następne. Piec nie wymagał doglądania jeszcze przez parę godzin. Geoff miał inne rzeczy do roboty, ale te mogły poczekać. Whippet uspokoił się i zasnął. Nad rzeką Jane Hughes spotkała Jonesa siedzącego na ławce przy zamkniętym wejściu do jaskiń. Musiałem chwilę odpocząć, powiedział. Przyjemne miejsce, przyznała, ocienione. Usiedli razem. W głogach po drugiej stronie rzeki panowało jakieś zamieszanie. Trzeba by powystrzelać te sroki, powiedział Jones. Polują tam na strzyżyki. Jane nauczyła się nie wdawać w takie rozmowy; kiwnęła głową. A jak tam pana siostra? Mówią, że lepiej, odpowiedział. Przyzwyczajają się. Powiedziałem im, że może wrócić tutaj, ale uważają, że na razie jeszcze nie. Od strony plantacji Hunterów zawyła jakaś maszyna. Kawki kołowały nad lasem. Popołudnie szarzało. Jones ruchem głowy wskazał zamkniętą furtkę do jaskiń. Na mój rozum mogła skończyć tam w środku, powiedział. Kto? – spytała Jane. Ta dziewczynka, odparł. Chyba przeszukali jaskinie, zanim wstawili bramkę, prawda? Całych nie da się przeszukać, rzekł Jones. Jane patrzyła na niego przez chwilę. Gdyby chciał pan porozmawiać, o czymkolwiek, powiedziała lekkim tonem, spoglądając za rzekę. Zapadła chwila ciszy, w której rzeka sunęła po kamieniach i przez szuwary. To ja już pójdę, pani pastor, powiedział Jones i wstał. Jane Hughes obserwowała sroki wyciągające z żywopłotu małe strzyżyki, których rodzice krążyli w górze. Jones odszedł już, ale zawrócił. Ja tego nie zrobiłem, powiedział. Nie zrobiłem nic z tego, co gadają. To była pomyłka. Coś się popsło w komputerze. Ja taki nie jestem. Ktoś mi podrzucił te świństwa. Mogą mnie pocałować w tyłek. Stał wyprężony łukiem w jej stronę i Jane na moment się przestraszyła.

Było pływanie w zalanym kamieniołomie, nad którym zawisła nowa lina do skoków. Na radzie parafialnej stanął wniosek o zwieńczenie ogrodzenia drutem ostrzowym. Brian Fletcher zgłosił sprzeciw. I tak tam wleżą, powiedział. Młodym się zdaje, że są nie do zdarcia. Nie można ich za dużo pouczać. Niektórzy leżą tam właśnie dlatego, że mówi im się, że to niebezpieczne. Czasem po prostu muszą się nauczyć na własnych błędach. Czyli jak już utoną, rzucił ktoś. Brian wzruszył ramionami. Jego głos był odosobniony i drut ostrzowy zyskał poparcie. Mecz w Cardwell przebiegł nerwowo i zakończył się remisem. Syn Willa Jacksona został zatrzymany z kolegami ze szkoły w kradzionym samochodzie przy zbiorniku nr 8. Tom nie prowadził i uparcie powtarzał, że nie wiedział, iż samochód jest kradziony, ale Will i tak poprosił Claire, żeby przez tydzień pottrzymała syna w domu. W zeschniętych trawach otaczających boisko krykietowe jajeczka złotych skoczogonków zmieniły kolor z białego na żółty, a larwy oplotły się kokonami. Przy zbiorniku nr 12 ekipa konserwatorska kosiła trawę na tamie nabrzeża: spuszczali włączoną kosiarkę po stromiźnie na linie i wciągali ją z powrotem. Była w tej pracy dziecinna przyjemność, do której nikt się nie przyznawał. Cathy zapukała do drzwi pana Wilsona, zanim sama otworzyła je sobie kluczem. Na wszelki wypadek, wyjaśniła, gdy ją o to zapytał. Popatrzył na nią z łóżka. Wyobrażałaś sobie, że co takiego robisz, na czym nie chcesz dać się przyłapać? Odpowiedziała, że zapukała przez grzeczność. Spytała, czy ma mu coś podać, zanim wyjdzie z Nelsonem. Odrzekł, że miałby wielką ochotę na filiżankę herbaty, ale przeraża go myśl o konsekwencjach. Spytała go, jak się czuje, na co odpowiedział, że czułby się świetnie, gdyby go pielęgniarzka nie wyciągała co chwila z łóżka na ćwiczenia. Na pewno wie, co robi, powiedziała Cathy. Jeszcze trochę i będzie pan sam wyprowadzał psa, dodała, biorąc Nelsona



na smycz. Wyszła z nim na uliczkę, minęła boisko krykietowe i szkołę, a przy kościele skręciła w lewo do końskiego mostu. Doszła do drugiego lasu Hunterów i opierając rękę na gładkim kamieniu, przecisnęła się przez bramkę.

We wrześnie jaskółki poderwały się pewnego ranka z drutów i odleciały na południe, szybko nabierając rozpędu, by u wylotu doliny rozciągnąć się w długi, równy sznur. Drobnny deszczyk, który nadciągnął od doliny, przeszedł nad wsią i, rosząc pola, dotarł do pierwszych zbiorników. Rzeka była leniwa i płytką, a po deszczu słońce prześlizgnęło się po wodzie na brzeg. Ian Dowsett stał w wilgotnym cieniu buka i zarzucał wędkę ze sztuczną muchą do basenu przy przeciwległym brzegu rzeki. Zaobserwował tam brązowego pstrąga. Mucha wylądowała na powierzchni wody i dryfowała nietknięta. Ian zwinął linkę i poczekał z następną próbą, aż zmieni się światło. Jane Hughes wyprowadziła się pod koniec sierpnia i nabożeństwo dożynkowe odbyło się bez niej. Na Susannę wypadła kolej przygotowania dekoracji w kościele. Nazbierała plonów z działek, powiązała snopki, dodała kwiatów z targu w mieście – i wyszły z tego dwie bardzo ładne kompozycje. Pomimo nadmiaru puszek i paczek przysyłanych do nowo powstałego banku żywności, ludzie mówili, że tak pięknej dekoracji nie widzieli od lat. Po nabożeństwie Clive odszukał Susannę i zagadnął ją, czy nie pora spróbować jeszcze raz z działką. Była wyraźnie zaskoczona, a może zażenowana. Po tej ostatniej przymiarce? Nie sądzę, Clive, odparła. Teraz chyba będziesz miała więcej czasu, zauważył. Nie jestem jeszcze emerytką, Clive. Oferta stoi, powiedział. Są na nią chętni. Odwrócił się i już miał odejść, gdy Susanna rzuciła, że się zastanowi, i dziękując za propozycję, dotknęła jego ręki. Spojrzał na tę dłoń, jakby plamiła mu rękaw olejem. Williama Pearsona ponownie poproszono

o ustąpienie z rady parafialnej. Nocą na wzgórzach płonął miejscami ogień. Nie wiadomo było, kto go roznieca i co tam się pali.

W psotną noc duża grupa starszych nastolatków z Cardwell zdołała przenieść wiatę przystanku autobusowego do połowy stoku wrzosowiska. Nazajutrz Facebook zaroił się od zdjęć przeniesionej wiaty, a synom Jacksona zniesienie jej na miejsce zajęło pół przedpołudnia. Dopytywano się, skąd ci młodzi wytrzasnęli szlifierkę kątową, i dlaczego nikt nie słyszał, że jej używano. Irene powiedziała, że to jej przypomina, jak jej nieboszczyk mąż w młodości schował stado krów. Wszyscy już znają tę historię, usłyszała. W sadzie Fletcherów zebrano bardzo mało jabłek. Jabłonki były urodzajne i zadbane po wyniesieniu się z domu brata Sally. Brian był z nich dumny. Utrata drzew w pożarze odebrała mu całą radość życia. Wyrzucał sobie, że za długo się lenił z usunięciem kampera. O czwartej po południu Les Thompson wyjechał quadem po krowy, żeby je ściągnąć z pastwiska do dojenia. Zwierzęta usłyszały warkot silnika i ruszyły ku Lesowi, zanim zdążył je wypatrzeć, mrużąc oczy przed niskim popołudniowym słońcem. Zawrócił quada i pozwolił krowom podążać za sobą; za plecami czuł napór ciepłego powietrza. Nie był sentymentalny, ale tęskniłby za krowami, gdyby przyszło mu zrezygnować z hodowli. Był ostatnim hodowcą bydła w promieniu wielu kilometrów. Bliźniacy Cooperów spytali, czy mogą zapisać się do lokalnej drużyny piłki nożnej, która trenowała i grała na boiskach za rzeką, w mieście. Cooper zawiózł ich tam w którąś niedzielę rano i czekając aż skończą trening, zrobił zakupy, dzięki czemu Su mogła sobie poleżeć w domu. Wrócił po synów przed czasem, więc miał okazję poobserwować ich z parkingu, kiedy w ramach rozgrzewki truchtali wraz z innymi chłopcami wzdłuż boiska. Wsiedli do auta bez słowa, a gdy Cooper zapytał, jak było, odpowiedzieli, że fajnie. Lecz tydzień później

oświadczyli, że już nie chcą trenować, na co ojciec palnął im kazanie o cnocie wytrwałości. W trzecim tygodniu czekali na parkingu, gdy Cooper wrócił z zakupów, chociaż trening trwał jeszcze w najlepsze, i kategorycznie oświadczyli, że już nie chcą grać w piłkę. Odmówili podania powodów. Na pytanie, co się stało, odrzekli, że nic. Lee spojrział wymownie na ojca i powiedział mu, że i tak by nie zrozumiał. Cofnięto zegary i noce przegoniły krótkie dni. Odgłosy strzałów dobiegały z lasu parami. Gdy Andrew wreszcie zasnął, Irene napełniła wannę parującym ukropem, wsypała sól do kąpieli i zanurzyła się ostrożnie, sycząc z bólu. W wodzie jej ciało zawsze wydawało się lżejsze. Sól nadała kąpieli ciemnozielony odcień, który prawie maskował sińce na ramionach. Oparła głowę o krawędź wanny i wsłuchiwała się w zamierające odgłosy domu. Poskrzypywanie drewna, bulgot wody w rurach, spazmatyczny odgłos śpiącego Andrew.

W noc ognisk zaległa ciężka mgła, gęsta od dymu palonego drewna. Fajerwerki błyskały w górze krótko, niczym flesze aparatu fotograficznego. W buczynie lisy szykowały sobie nory. Lisice wkopywały się w stare jamy i zawłaszczwały je, wyściełając trawą i liśćmi. Pod okapami kościoła zawisły, gotowe do hibernacji tłuste nietoperze. Wierzby nad rzeką strząsały ostatnie liście. Nocą pociągi towarowe kursowały częściej, z pojedynczym białym światłem na przedzie, wiodącym ciężkie cienie wagonów. Wdowiec zwrócił się do Clive'a po radę dotyczącą przycinania drzew owocowych i Clive zdumiał się stanem jego sadu. Śliwy chorowały na srebrzystość liści i nadawały się tylko do wycięcia. Krzewy owocowe trzeba było pilnie przeredzić. Drewniane obrzeża grządek rozpadały się. To był dobry rok dla kabaczków, powiedział wdowiec. Zastanawiał się nad hodowlą pszczół. Pod koniec miesiąca Brian i Sally Fletcherowie zaprosili kilka osób do

Gladstone'a na drinka i oznajmili, że to ich piętnasta rocznica ślubu. Zdziwiono się po cichu, że uznali to za okazję godną upamiętnienia, ale i tak rozległy się wiwaty i oklaski. Zamówiono następną kolejkę. Para jubilatów wyszła wcześniej. W drodze do domu zaskoczył ich pierwszy śnieg kołujący w pomarańczowym świetle latarni; topniał na chodniku i nie wyglądało na to, że wkrótce zalegnie. Sally przypomniała Brianowi, że w noc przed ich ślubem też padał śnieg. Gdy ustalili datę, pastor wezwała ich na rozmowę. Wiedzieli, że jej tematem będzie małżeństwo, więc przygotowali się na interwencję. Ludzie nie znali Sally, to po pierwsze. Kwestia różnicy wieku, to po drugie. Panowało przekonanie, że Brian jest w tym układzie jakoś wykorzystywany. Jego rodzina mówiła to otwarcie. Podjęła kroki w kierunku zabezpieczenia się przed ryzykiem, jakie stwarzała ta kobieta. Tak się dokładnie wyrażali. Brianowi powiedzieli, żeby nie traktował tego osobiście, ale tu stawką jest dobro pokoleń. Brian nie miał pojęcia, o co im chodzi i niewiele go to interesowało. Nikt z rodziny nie okazywał mu tyle troski, co Sally. Tak też powiedział do Jane Hughes, gdy spotkali się we trójkę, a ona aż klasnęła w ręce z radości. Brian zawstydził się i poprosił, żeby nikomu tego nie powtarzała. Nie padły pytania, których tak się obawiali. Pastor nie chciała wiedzieć, skąd jest Sally, jak się poznali i na jakiej podstawie sądzą, że będą szczęśliwi. Poczęstowała ich pysznym ciastem cytrynowym i zapytała, czy już wybrali hymny. Dopiero parę miesięcy, jak wyjechała ze wsi, a im strasznie jej brakowało.

Matkę Richarda Clarka zabrali do szpitala w Sheffield i niektórzy byli zdania, że już stamtąd nie wróci. Irene wzięła na siebie harmonogram odwiedzin pod nieobecność jej rodziny. Ustalono dyżury. Ruth i Susannę widziano razem na działkach: ścinały gałęzie ostrokrzewu i jodły. Jones

znowu przystrzygł swój żywoplot do wysokości kolan i palił ścięte pędy, kopiąc na całą wieś. Clive siedział w swojej szklarni. Rzadki śnieg zaczął sypać z niskiego, czarnego nieba i początkowo go zignorowano. Pod wieczór osiadał już na ziemi, a gdy Jones zarzucił narzędzia na ramię, biel zaskrzypiała mu pod butami. W zbutwiałych arkuszach sklejki, ustawionych pod murem sadu Fletcherów, zagnieździły się skoczogonki i najmłodsze z nich zrzucały właśnie pierwszą z licznych skór, podobną do skorupki. Widziano, jak Gordon Jackson rozmawia z dziennikarką, która przyjechała z Londynu, żeby zrobić materiał w dziesiątą rocznicę zaginięcia dziewczynki. Bardziej niż sama zaginiona interesował ją wpływ tego zdarzenia na wieś. Nasi czytelnicy wiedzą już o dziewczynce, powiedziała. Potrafią sobie wyobrazić, co musieli czuć jej rodzice. Wątpię, przerwał jej Gordon. Uśmiechnęła się. No dobrze, zgoda, powiedzmy, że mnie się wydaje, że potrafią. Na imię miała Emma. Przyjechała w długim płaszczu z jedwabną apaszką i w butach do kolan. Jej fryzura była bardzo schludna, ale co chwila zakładała włosy za ucho. Ciekawiło go, czy zdejmie apaszkę. Powiedziała, że chce napisać artykuł o miejscowych ludziach i o tym, jak żyją od wyjazdu reporterów. Gordon oprowadził ją po gospodarstwie, poczęstował herbatą, opowiedział o bieżących kłopotach z hodowlą owiec. Za każdym razem, gdy poprawiała włosy bił od niej zapach perfum. Kiedy już wyglądało na to, że się nagadała, Gordon powiedział, że musi wracać do roboty. Ale proszę mnie wołać w razie potrzeby. Kontakt wzrokowy. Uważne milczenie. Schemat zawsze ten sam, ale nigdy rutyna. Później przysłała mu esemesa i umówili się na drinka w hotelu w mieście. Miała dodatkowe pytania, ale Gordon wyraźnie czuł, ku czemu zmierza. Pod koniec wieczoru podziękowała mu za poświęcony czas i powiedziała, że wyjeżdża wcześniej rano. Odprowadził ją do schodów i tam zrozumiał, że źle zinterpretował sytuację. Reporterka uśmiechnęła się i powiedziała

„dobranoc”. Gordon się odwrócił. Nie bardzo wiedział, co ze sobą zrobić. To było coś nowego.

Matkę Richarda zatrzymali w szpitalu po Bożym Narodzeniu, a kiedy Richard przyjechał na tydzień, większość czasu spędził na oddziale. Matka nie polubiła szpitalnego życia. Jakby zmałała. Czasem, kiedy przychodził rano, zdawało mu się, że w ogóle nie ma jej w łóżku. Siedział przy niej, a że dużo spała, nadrobił zaległości w korespondencji mailowej. Personel zaczął go poznawać, częstowali go herbatą i kawą, a on dziwił się trosce, z jaką odnoszono się do jego matki, zwracając się do niej per „pani Clark” i przemawiając z miłością, która przecież miłością być nie mogła. W dolinie uporczywie padał deszcz. Rzeka zgęstniała od mułu naniesionego ze wzgórz i chlustała przez jazy. Na zwałach ziemi wokół borsuczej nory widać było ślady pazurów, a szlak rozsypanych liści i traw wskazywał, którędy borsuki wlokły pod ziemię świeżą wyściółkę. Na przedstawienie wybrano legendę o Dicku Whittingtonie i jego kocie, z Susanną Wright w roli głównej. Twórcy spektaklu zdecydowali się na wersję dość współczesną, co wzbudziło pewne obiekcje. Clive podniósł ten temat na radzie parafialnej, wyrażając troskę związaną z potencjalnie obscenicznym słowem „dick”. Janice Green przeprosiła i wyszła na chwilę z sali, a po powrocie spytała Clive’a, jak ma zaprotokołować jego wypowiedź. Tak, jak słyhać, pani sekretarz. Tak, jak słyhać. Padał deszcz i kęsał zimny wiatr. Na zbiornikach tworzyły się białe grzywy. Już dziesięć lat minęło od zaginięcia dziewczynki, ale – choć mało o tym mówiono – była ona stale obecna w ludzkich myślach. Nazywała się Rebecca, Becky, Bex. Ubrana była w białą bluzę z kapturem i granatowy bezrękawnik. Miałaby dzisiaj dwadzieścia trzy lata. Widziano ją w buczynie wspinającą się na drzewo. Widziano ją na stacji. Widziano ją na poboczu szosy. Szukano jej wszędzie.

Mogła się z kimś umówić i zostać wywieziona. Mogła wpaść w jakiś dół. Mogła paść ofiarą rodzicielskiej agresji w wyniku tragicznego nieporozumienia. Mogła wyjechać, bo tak chciała albo nie miała wyboru. Ludzie wciąż czekali na odpowiedź.

# 11

O północy z początkiem nowego roku wybuchł pożar w trzech domkach na działkach. Spłonęły, zanim straż pożarna zdążyła dojechać. W szkole od wczesnego rana paliło się światło, a kiedy pani Simpson weszła do pokoju nauczycielskiego, ze zdziwieniem ujrzała tam pannę Dale, która już pracowała nad planem lekcji, pogryzając grzanekę. Popatrzyły na siebie i panna Dale spytała panią Simpson, czy zasnęła. Nie wiem, odpowiedziała pani Simpson. Nie wiem, naprawdę nie wiem. Wyraźnie się spieszyła. Noce stwardniały od mrozu. Na zmarzniętej wyżynie padła owca, która się potknęła, i mysołowy raz dwa objadły ją do kości. Nad wsią całymi dniami wisiała woń węglowego dymu. Geoff Simmons siedział w swojej pracowni na kanapie i patrzył, jak dosycha ostatnia partia naczyń. Za długo były wystawione na dwór i pękały. Piec pewnie już się rozgrzał. Geoff od tygodni niczego nie sprzedał i czuł, że znowu zbliża się martwy sezon. Chciał wyprowadzić whippeta na spacer, ale czuł się zbyt ociężały, żeby wstać. W zlewice stały niepozmywane talerze i miski. Mówiła, że chce się z nim znów spotkać, a on jej jeszcze nie powiedział, że ma dość. Chciała wprowadzić się do niego i pomóc mu zorganizować przestrzeń do życia. Tak się wyraziła. Spytała, czy nie myślał o uczeniu. Miałbyś z tego pewniejszy dochód, oznajmiła. Jej argumenty przemawiały do niego słabiej



niż kiedyś. Do Jacksonów opiekunki przychodziły już tylko dwa razy w tygodniu. Jackson znów miał kłopoty ze wstawaniem z łóżka, ale były one spowodowane raczej tym, że bardzo przytył, niż skutkami udaru. Kabina prysznicowa dla niepełnosprawnych stała nieużywana. Codziennie pod wieczór Maisie nalewała gorącej wody do miski, dodawała trochę mydła i oliwki, i zanosila do salonu z myjkami i ręcznikiem.

Handlarz złomem przyszedł do sadu Fletcherów po resztki przyczepy kempingowej; wywlócił karoserię i koła, zostawiając na ziemi strzępy poczerńiałego plastiku, które szybko zarosły jeżynami wybujałymi gęsto wzdłuż płotu. Kwiczoły już zaczęły odlatywać. Irene wróciła z przystanku dłuższą drogą, za pocztą i działkami. Było ciepło jak na luty, więc na szczycie wzniesienia rozpięła płaszcz. W alejce zobaczyła Jonesa. Spodziewała się, że zawróci, ale skinął głową i zrobił krok w jej stronę. Wymówił jej imię. Przystanęła. Jones patrzył na nią spokojnie, wyczekująco. Co za pogoda, powiedział. Kiedyś tak nie bywało, przyznała. Jones kreślił butem linię w wapiennej ziemi alejki. Andrew pojechał autobusem? Kiwnęła głową. Powiedziała, że zostawiła Andrew na przystanku i będzie on w ośrodku cały dzień. Mam okazję nadgonić trochę prace domowe, dodała z uśmiechem. Jones kiwnął głową. Cały czas na nią patrzył. Znalazłaby się pomoc, rzucił. Nie jestem pewna, co masz na myśli, odparła. Radzę sobie z domem. Pokręcił głową. Nie. Chciałem powiedzieć, że znalazłaby się pomoc, gdyby on ci robił krzywdę. Irene poczuła, że nogi się pod nią uginają, ale uczucie minęło i jakoś ustała. Widziała Clive'a, który kopał na swojej działce. Zdawał się zerkać w ich stronę. Ale nie mógł słyszeć, o czym rozmawiają. To nie tak, powiedziała Irene. Mówiła szeptem. On nie rozumie. On nie robi tego specjalnie. Jones zdjął kapelusz, podrapał się po głowie i nałożył kapelusz z powrotem. Pewnie

niepotrzebnie się wtrącam, powiedział. Ale dosyć już miałaś od Teda. Nie musisz tego znosić. Jones był ostatnią osobą, z którą chciałyby prowadzić taką rozmowę. Dokąd on miałby pójść? – zapytała. On nikogo nie ma. Jones nie chciał tego zrozumieć. A kogo ty masz? – spytał. Wzięła głęboki oddech, zgarnęła płaszcz na piersi i pozapinała guziki. Jones miał rację: niepotrzebnie się wtrącał. Nic dodać, nic ująć. Uniosła rękę na znak, że rozmowa skończona, i odeszła. Co on sobie myśli. Jakie ma prawo.

Gdy Jackson osunął się dostatecznie na poduszce, mógł zobaczyć przez okno flagę na wieży kościoła, po której rozpoznawał siłę i kierunek wiatru, a w marcu pierwszy tegoroczny wiatr zachodni wyduł flagę sztywno w bok. Jacksonowi przypomniały się chorągiewki na wrzosowisku, kiedy szukali tej dziewczynki. Komitet działkowy wyciągnął z ubezpieczenia pieniądze za spalone domki i było trochę szumu, gdy postawiono nowe. Teraz każdy sfajczy sobie budę, jak ma za nią dostać coś takiego, orzekł Clive. Susanna Wright wzięła działkę obok Clive'a. Działka stała pusta zaledwie parę miesięcy, więc była całkiem zadbana. Susanna obeszała ją wraz z Clive'em, rozprawiając o domku, nowych ścieżkach i trawniku ze stołem i fotelami. I o wymianie kilku brakujących szyb w szklarni. Clive kiwał głową, ale się krzywił. Coś mi się zdaje, że masz inną sugestię, rzekła Susanna. Clive wyciągnął kilka strzępów plastikowej torby po paszy spomiędzy chaszczki jeżyn obrastających szklarnię, okręcając je wokół pięści. Sugestię to nie, powiedział, tylko pewną obserwację. Susanna czekała. Teraz działki bierze dużo nowych ludzi, podjął Clive. A oni lubią porządkować. Chcą mieć ładnie. Wygodnie. To kupa roboty. Przez te porządki zapominają o sadzeniu. Susanna pokiwała głową. Z ziemi pod chaszczami sterczały odłamki szkła, więc przykucnęła, żeby je pozbierać. I to był mój błąd poprzednim razem? To kwestia priorytetów, odpowiedział. Wsadzasz

rośliny w odpowiednim czasie, podsypujesz ściółkę, pielisz, podlewasz, trzeba się narobić. Ale potem czujesz się jak w raju. Ogród pełen zdrowych roślin, warzyw, kwiatów to jest najlepsze miejsce na świecie. Na co ci ławki, trawniki, równe ścieżki. Oczka wodne, podchwyciła. Dzwonki wiatrowe, Clive? Popatrzył na nią. Tylko spróbuj zawiesić tutaj dzwonki wiatrowe, zagroził. Zaraz je zdejmę. Susanna śmiała się, ale Clive nie żartował. Zrozumiałam, powiedziała. Cieszę się. Nie chcę się wtrącać, dodał. Ależ proszę cię bardzo, wtrącaj się. Wtrącaj się ile chcesz. Spojrzał jej w oczy i podał rolkę wystrzępionego plastiku. Pojemniki na śmieci są na parkingu, powiedział, a odchodząc mamrotał jeszcze coś o wiatrowych dzwonkach. Zegary przesunięto do przodu i wieczory otwarły się na światło. Wyłaniające się powoli ze wzgórz pastorały paproci rozwijały się ku niebu. Klatkowe bażanty w majątku zaczęły składać jaja, które zabierano do wylęgarni, gdzie były myte i sortowane. Su Cooper dostała wymówienie z pracy w BBC, z dużo niższą odprawą niż ta, którą proponowano jej rok wcześniej.

Martin Fowler pracował przy ladzie stoiska mięsnego w supermarkecie, gdy zadzwoniła do niego córka z prośbą, by przyjechał do szpitala, a kiedy tam dotarł, był już dziadkiem. Czy ktoś mi może wytłumaczyć, dlaczego nic nie wiedziałem? – powtarzał w kółko, tuląc w wielkich łapskach istotkę o buzi podobnej do włoskiego orzecha. No to już wiesz, tato, powiedziała Amy. Nie chcieliśmy, żebyś się martwił. Ruth odebrała mu dziecko i cmoknęła go przy tym w policzek. Gratulacje, dziadku, powiedziała. Puste ręce Martina dygotały. Rozejrzał się po sali. Chłopak Amy siedział na skraju jej łóżka i gapił się przeważnie na swoje nogi. Martin widział go po raz pierwszy. Imienia nie był pewien. Nie tak to sobie wszystko zaplanował. Zastrane plany, burknął. Nie chciał powiedzieć tego na głos.

Odkasznął i oznajmił, że idzie zaczerpnąć świeżego powietrza. Chłopcu dali na imię Luke i zaprosili Martina do odwiedzania wnuka. Zaproszenie wygłosiła Ruth. Na początek Amy i Luke mieli zamieszkać u niej, dopóki chłopak Amy nie znajdzie im własnego kąta. Ciekawe, czemu jeszcze tego nie załatwił, pomyślał Martin. Ale nie spytał. Minęły dwa tygodnie, zanim wybrał się do Harefield. W prezencie przywiózł ubranka, które już nie pasowały. Dziecko było jak podmienione: znikł zezowaty mikrusik ze szpitala. Ten malec miał już swoją wagę i krzepę. Ruth zaniósła go na górę, żeby uciął sobie drzemkę, a Martin został sam na sam z Amy. Była okazja do przeprosin, ale minęła. Usiedli i zaproponował, że zrobi herbatę.

Irene знаła się na sprzątaniu. Cokolwiek się działo, cokolwiek przerastało ludzkie pojęcie, Irene sprzątała. Robiła to za pieniądze oczywiście, ale wzięła sobie za punkt honoru także czystość we własnym domu. Lata minęły, odkąd ktoś przyszedł tam z wizytą, z powodu Andrew, który wiecznie coś niszczył i reagował na widok gości w sposób nieprzewidywalny. Ale Irene utrzymywała dom w takim stanie, jakby lada chwila ktoś miał do niej wpaść. Co wszak było możliwe. A nie wypada przecież trzymać gości w progu, ani udawać, że właśnie się wychodzi. Zobaczyliby sprzęt komputerowy zajmujący cały salon, przedpokój i kuchnię, wszędzie kable, dziwaczny system lampek nad drzwiami. Ujrzeliby porozszczepiane framugi, połamane drzwiczki kuchennych szafek. Ale nikt nie zarzuciłby Irene, że nie ma czysto. Tego nie można było o niej powiedzieć. Irene wielu rzeczy nie rozumiała. Ale na sprzątaniu znała się jak mało kto. Na brzegu rzeki, poniżej jazu, rosła nieduża kępa dzikich porzeczek. Kiedy krzaki zakwitły pod koniec maja, Irene zeszła ze ścieżki i zebrała pełny koszyk kwiecica. W domu przez tydzień siadała sobie sama przy kuchennym stole i napawała się aromatem intensywnie różowego

naparu, wspominając jego pierwszy smak z dzieciństwa. Herbata porzeczkowa zapowiadała bliskie lato. Znowu ktoś zepchnął Kamienie Milenijne z cokołów i tym razem jeden z nich pękł. U Gladstone'a wybuchła bójka, podobno z powodu Facebooka. W telewizji pokazywali wybuchy, pożary, walące się budynki, wypadki drogowe. Na działkach obrodził bób, który z miękko wyścielanych strąków wytrząsano do rondli. Aksamitna wyściółka strąka bobu była jednym z przykładów rozrzutności natury. Praca przy zbiorze fasoli okazała się rozkosznie męcząca. Geoff Simmons w swojej pracowni brał z blachy jeden po drugim świeżo wypalone garnki i roztrzaskiwał je o podłogę. Działał metodycznie, rytmicznie. Rytm go uspokajał. Poprosił ją, żeby więcej do niego nie przyjeżdżała, a ona nie przyjęła tego dobrze. Nie widział powodu, żeby zatrzymywać prace, których ona dotknęła. Whippet został uwięziony za drzwiami i robił raban. Skorupy naczyń były cienkie, białe i czyste. Ona chyba nie zrozumiała, jaką wartość przedstawia dla niego praca. Rozbijał garnki równomiernie po całej podłodze. Gdy skończył, zabrał psa na powolny spacer, zostawiając drzwi otwarte. Czego ona od niego oczekiwała. Poziom wody w zbiorniku był niski, a rzeka zwolniła bieg między żwirowymi nasypami. Toma Jacksona znowu widziano na spacerze z Ashleigh Wright.

Rankiem mgła zawisła nad łąkami. Dawniej taką mgłę uznano by za znak. Jackson załomotał laską w ścianę i Gordon poszedł dowiedzieć się, czego chce. Sprawdza, czy zauważyliśmy, że jest pogoda na koszenie, oznajmił braciom. Powiedziałem mu, żeśmy zauważyli. Maisie spytała Gordona, czy mówił to Jacksonowi, na co ten odparł, że oczywiście nie. Jackson patrzył przez okno na mgłę podnoszącą się wokół kościelnej wieży i odczuwał ból w barkach na myśl o długim dniu koszenia; ten zapach soku

kapiącego na ziemię, te długie, spokojne wieczory, niebieściejące na przyjęcie łakomych jaskółek. Jackson zmitygował się; włączył radio. Łatwo popaść w nostalgię, gdy samemu nie wykonuje się tej roboty. Posłał przez drzwi modlitwę swoim chłopcom. Czekał ich długi dzień. Odwrócił się od okna. Pani Simpson ze szkoły przeszła na wcześniejszą emeryturę z przyczyn zdrowotnych. Powody dyskretnie przemilczano, ale w powszechnym odczuciu taki fakt należało uczcić. Dostała masę kartek okolicznościowych, częściowo odczytanych przez wychowanków. Cooper napisał artykuł o niej w „Echu”. Tygodnie były długie i bezchmurne, a słońce wypalało sobie szlak przez kolejne dni. Rodzina mieszkająca w majątku Culshawów wystawiła posiadłość na sprzedaż. Na skraju buczyny borsuk przewrócił jeża na grzbiet i rozpruwał mu brzuch. Plansze do dekoracji studni stały prawie tydzień, frekwencja była wyższa niż w poprzednich latach i przez cały weekend grała orkiestra dęta Jima Stephensona ze szkoły średniej. Do czwartku wiatr wysuszył glinę, a płatki kwiatów zaczęły blaknąć. Zapadła decyzja o zwinięciu dekoracji. Matka Richarda wróciła ze szpitala, więc Richard wziął urlop. Dwa razy dziennie przychodziły opiekunki, żeby umyć i przebrać chorą, a także dopilnować brania leków, więc chociaż zawsze się spieszyły, Rachel prędko zorientowała się, że nie jest tu potrzebna. Prawie codziennie zaglądały Irene i Winnie, ale ich lokalne ploteczki przeważnie nic jej nie mówiły. Planowała zostać do przyjazdu Richarda w przyszłym miesiącu, ale w końcu wyjechała wcześniej. W zbiorniku nr 2 nurkowie schodzili do pracy przy klapach przepustów u podstawy wież. Ekipa konserwatorska obserwowała ich na monitorach zainstalowanych w furgonetce. W białym świetle ukazały się bańki powietrza, pióropusze mułu, a potem pierwszy zawór zasuwowy. Głos nurka z wnętrza hełmu brzmiał wyraźnie i blisko, jakby mówiący znajdował się tuż przy furgonetce. Mężczyźni stojący na

szczyt tamy trzymali końce lin i wpatrywali się w pustą powierzchnię wody.

Pewnego wieczoru w środku lata Gordon Jackson zabrał Susannę Wright na przejażdżkę swoim land roverem. Wspomniała kiedyś, że chciałaby zobaczyć z bliska elektrownię wiatrową, a on to potraktował jako zachętę do wyjścia z propozycją. Tak to się odbyło. Gordon nigdy nie wyrywał się pierwszy. Czekał, aż stworzy się sytuacja. Na Susannę czekał od lat. Pospieszna rozmowa, żart, oferta pomocy. Oczywiście. Ale nigdy się z niczym nie zdradził. To nie było w jego stylu. Był tak ostrożny, że nawet nie musiał o tym myśleć. Nie składał propozycji, nie narażał się na odmowę. Miał przekonanie, że odmowa rodzi najwięcej plotek. Kto jej raz doświadczył, ten był podwójnie wstrzemięźliwy. Gordon jedynie sterował sytuacją w stronę ewentualności, która z czasem stawała się możliwością, a możliwość – faktem dokonanym. Dobry owczarek nie potrzebuje szczekać – tak to zawsze widział. Teraz patrzył na Susannę. Długo to trwało, ale wydawała się zainteresowana. Wyglądała przez okno samochodu i miała zamyśloną minę. Chciał nachylić się i pocałować ją w szyję, ale się pohamował. Ładna z niej kobieta, obserwował ją od dawna. Od dłuższego czasu była sama. Mimo woli pomyślał o śniadaniach w jej kuchni, wieczorach przed telewizorem. Zatrzymał land rovera tam, gdzie nowa droga najbardziej zbliżała się do turbin, i zapytał, czy tu może być. Czy jest gotowa. Kontakt wzrokowy, uważna cisza. Te rzeczy miały swój schemat. Wysiedli i spojrzeli w górę na turbinę. Wiatr przycichł i skrzydło wiatraka obracało się powoli. Słońce stało nisko i długie cienie kładły się po ziemi. Gordon spojrział na Susannę. Czuł ciepły zapach jej skóry i domyślał się, jaki ma smak. Stojąc przy nim, Susanna powiedziała, że to jej pochlebia, ale nie jest zainteresowana. Dla niego był to szok, ale nie dał

nic poznać po sobie. Nie udał, że nie rozumie, o co jej chodzi. Skinął głową i wzniosł ręce w geście amatora wyścigów, który stracił małą stawkę. Postukał się w nos na znak, że mają teraz wspólny sekret, ale Susanna uniosła brwi i odsunęła się. Zrobiła telefonem parę zdjęć wiatrakom. Podczas jazdy powrotnej ze wzgórza Gordon był skrępowany, nie tyle samą odmową, ile obawą, że teraz zacznie się gadanie i wszystkie jego machinacje wyjdą na jaw. Nie mógł na to pozwolić. Dni robiły się coraz krótsze, ale tak były wypełnione, że nikt tego właściwie nie zauważył. Wykluwały się młode grzywacze, które rodzice karmili ptasim mleczkiem. Owce zaczęły linieć wokół szyi – znak, że nadeszła pora strzyżenia. Will Jackson wyjechał w góry, żeby je ściągnąć do zagrody. Zabrał syna. Chłopak już umiał obchodzić się ze zwierzętami. Wiedział, gdzie ich szukać i jak je zaganiać od tyłu. Wiedział, że rozumieją grzechot kubła. Pracowali zgodnie we dwóch i do obiadu wszystkie owce były zamknięte w zagrodzie. Postrzygacze już czekali. Z dalekiego końca doliny, od farmy Thompsona, niósł się odgłos cysterny pompującej poranny udój: niski pomruk w ciężkim, letnim powietrzu. Matka Richarda umarła, gdy on był za granicą. Zdołał wrócić dopiero dwa dni później. Do tego czasu jego siostry zdążyły opróżnić sypialnię, wywietrzyć cały dom i załatwić sprawę z zakładem pogrzebowym. Richardowi nie zostało wiele do zrobienia. Powiedziały mu, że rozumieją sytuację. Podały adres zakładu pogrzebowego, nie proponując swojego towarzystwa. Matka umarła w łóżku, prawdopodobnie we śnie, jak orzekł lekarz. Richard został do pogrzebu i widział, jak chowają matkę w grobie, w którym już leżał ojciec. Czekają nas trudne rozmowy, powiedział siostrom. Ale na nie jeszcze nie pora, odparła Sarah.



W sierpniu młode nietoperze przestały ssać mleko matek i kolonie osesków się rozpadły. Trajektorie ich lotów były zawiłe i trudne do zaobserwowania. Młode nietoperze śmigwały nad pastwiskami, porywając w locie żuki gnojowce i ćmy. Dorosłe dobierały się w pary. Na kamiennej ścieżce wzdłuż zbiornika nr 5 padalec wygrzewał się w słońcu i porwała go samica myszołowa, żeby nakarmić pisklęta. Richarda i Cathy znów widziano razem: jedli lunch w nowym organicznym pubie w Harefield. Dziwiono im się, że jeżdżą tak daleko. Wyciągano z tego wnioski. Mecz krykieta został odwołany z powodu pogody, ale drużyna Cardwell nie przyjechała na piwo jak poprzednimi laty. Su i Austin Cooperowie obchodzili dwudziestą rocznicę. Austin już się przekonał, że niechęć Su do rodzinnych uroczystości jest szczerą, więc tym bardziej zaskoczyła go kartką okolicznościową i rezerwacją stolika w restauracji w mieście. Susanna Wright zgodziła się popilnować im dzieci. Kiedy wsiedli do samochodu, oboje lekko wilgotni i zaróżowieni po wzięciu prysznic, Su zacisnęła zęby i nastawiła się na to, że Austin będzie wspominał. Zawsze wspominał. Nieraz widziała, jak w sytuacjach rodzinnych – przy zabawie z chłopcami w lesie, przy kolacji z jej rodzicami, na przedstawieniu w świetlicy, nawet w małżeńskim łóżku – przymyka oczy, jakby odkładał daną chwilę do przyszłych wspomnień. Chyba wolał wspomnienia niż samą chwilę. Teraz jednak spojrzął na nią i nie powiedział nic. Przejechali przez wieś. Nisko stojące słońce przebłyskiwało między drzewami, przez okna samochodu wpadał do środka zapach końca lata. Su myślała o ich pierwszym spotkaniu, kiedy jako asystentka redaktora w radiostacji przyjechała do wsi zrobić reportaż o obrzędzie dekorowania studni i nieoczekiwanie wdała się w rozmowę z tym niezdarnym, nieśmiałym mężczyzną, który chodził z torbą pełną aparatów fotograficznych, dyktafonów i notesów. Opowiedział jej więcej niż potrzebowała wiedzieć,

a potem zaczął wypytywać ją o dziennikarstwo radiowe, o BBC i jej dalsze plany reporterskie. Umiał słuchać o wiele lepiej niż większość znanych jej mężczyzn, zwłaszcza dziennikarzy. Po zakończeniu uroczystości przy studni poszli na drinka, a potem na spacer, który przywiódł ich do małego tarasowego domku Austina w mieście. Z latami ta opowieść się uprościła, chociaż nigdy nie była zbyt skomplikowana. Su zerknęła na męża. Ciekawe, pomyślała, czy którekolwiek z nich zdobyłoby się jeszcze kiedyś na taką impulsywność. Zaparkowali i przeszli do restauracji. Po drodze Su wsunęła rękę w dłoń męża. Zatrzymała go w miejscu i wspiąwszy się na palce, pocałowała w policzek, szepcząc mu do ucha „dziękuję”. Zrobił zdziwioną minę, odwzajemnił jej pocałunek i poszli dalej.

W ostatnich dniach lata jajeczka ciemnozielonych perłowców na polanie w buczynie zmieniły kolor z żółtego na fioletowy, a potem szary. Wówczas wykluły się z nich larwy. Jaskółek już nie było. Zostały po nich tylko kruszące się, utkane błotem gniazda, czekające powrotu ptaków na wiosnę. Firletki obrastały krawędzie drogi do miasta, marszcząc schludne białe kwiatuszki, w miarę jak pęczniały ich puszki nasienne. W buczynie młode lisy były już gotowe do opuszczenia nory. Na Martina wypadła kolej zrobienia dekoracji dożynkowej w kościele, ale on, pomimo licznych zapewnień, że nie zawiedzie, zniknął w ostatniej chwili. Sprawę wzięły w swoje ręce Irene i Winnie. Rzeka zawracała pod końskim mostem i płynęła równo do jazu na młyńskim stawie. Lynsey Smith wróciła z Leeds i wprowadziła się z powrotem do rodziców. Było to rozwiązanie tymczasowe, ale miała tyle rzeczy, że musiała wynająć furgonetkę, żeby je zwieźć. W Leeds mieszkała po dyplomie z chłopakiem, ale im nie wyszło. Facet był od niej starszy, wykładał na uniwersytecie i doszedł do wniosku,

że romans dobiegł końca. Tłumaczył Lynsey, że jest za młoda na założenie rodziny, że potrzebuje czasu, aby odkryć siebie, wyrwać się w świat, przeżyć przygody, a nie gnić w Leeds z podstarzałym wykładowcą zdrowia publicznego. Gdy rozmowa się zaogniła, zarzucił jej zaborczość i stwierdził, że czuje się osaczony. Lynsey długo nikomu o tym nie mówiła. Było jej wstyd, jak się potem przyznała Sophie. Miała poczucie, że zawiodła swojego faceta. On przysyłał jej czasem esemesa, ale gdy odpisywała, nigdy nie odpowiadał. Sophie radziła jej dać temu spokój. Rodzice nie zadawali pytań, ale domyślali się, że coś jest nie tak. Matka Lynsey była cierpliwa, ale ojciec głośno utyskiwał na wyrzucanie pieniędzy na głupie studia. Zaproponowali jej pracę w sklepie, na co się zgodziła, bo tak było łatwiej. Towarzystwo Kształcenia Pracowników uczyło się drugi rok języka włoskiego, a entuzjaści powołali klub konwersacyjny, siedząc w pewien środowy wieczór u Gladstone'a. Tony na ich cześć zamówił kilka skrzynek peroni. Cathy zapukała do pana Wilsona i spytała, czy nie trzeba wyprowadzić Nelsona na spacer, a pan Wilson zaprosił ją na herbatę. Zanim zdążyła usiąść, podał jej swój formularz sponsora i oświadczył, że będzie wspierała jego pływanie na rzecz Czystej Wody. Na jej pytanie, czy ma wybór, odpowiedział wymownym spojrzeniem. Ci biedacy, powiedział, nie mają wyboru w sprawie czystej wody do picia. Poprosiła o pióro. Pan Wilson dodał, że przepływa zaledwie cztery do pięciu długości basenu, więc najlepiej będzie, jak Cathy zadeklaruje przynajmniej pięć funtów za jedną. Fuknęła, ale zaraz zrozumiała, że on nie żartuje. Słyszała już jego wykłady o funduszu Czysta Woda, więc dała spokój i zadeklarowała pięć funtów za długość basenu. Tylko proszę nie przesadzać, powiedziała. Żal by było uszkodzić to biodro. Nalał herbatę. Nic się nie bój. Fizjoterapeutki są zdolne, ale cudów nie czynią. Kiedy podawał jej herbatę, nagle poczuła od niego charakterystyczny zapach, więc spytała, czy palił papierosy.

Na działkach przez długie dni deszczu szerokie liście kabaczków i fasoli poczerniały od zgnilizny, tawuła oklapła, a ziemię pokrył śluz jesiennych liści naniesionych wiatrem od buczyny. Clive obcinał suche gałęzie i zgrabiał je na kupę. Jones przekopywał swoją działkę, zostawiając nagą ziemię. Ruth i Susanna rozmawiały skryte pod dużym parasolem, patrząc na dynie dojrzewające na ściółce. Susanna miała za sobą dobry pierwszy sezon. Wprawdzie pomidorów i papryki w szklarni wyrosło niewiele, a marchewki się nie przyjęły, ale były ziemniaki, fasola, kabaczki i groszek, a teraz jeszcze te jaskrawe, pęczniejące dynie. Działka nie była piękna, ale Susanna już miała plany na przyszły rok i czuła się gotowa do wyzwań. Ruth sporo jej pomogła. W domu Ashleigh wypełniała kwestionariusz zgłoszenia na studia i Susannie przypomniało się, jak to było z Rohanem, jak szybko minął ten ostatni rok. Ashleigh zerwała z synem Jacksona, żeby skupić się na maturze, ale Susanna u żadnego z nich nie dostrzegła większego skupienia. O północy chmury zgęstniały i księżyc przygasł. Wdowiec mało się pokazywał w ostatnich miesiącach, a przy tych paru owocach, które wyhodował, pomagał mu Jones. Ludzie zaczęli szemrać, że coś tam się stało, że było włamanie, ale przyciśnięty do muru Jones wyznał, że gospodarz wyjechał i zostawił mu klucz. Podobno wdowcowi zaproponowano półroczne wykłady za granicą i zabrał ze sobą córkę. Żeby się doksztaciła. Jones, jak się okazało, sporo wiedział o tym człowieku, ale nie chciał zdradzić nic więcej. W psotną noc jakaś dziewczyna z innej wsi przebrała się w białą bluzę z kapturem, granatowy bezrękawnik, czarne spodnie i tenisówki i zrobiła sobie makijaż zombie. Została odwieziona do rodziców i skarcona. W majątku Culshawów trwały prace budowlane, podobno nowi właściciele przerabiali dom na hotel z domkiem mieszkalnym. Tamy poddano inspekcji po dziesięciu latach i trzy okazały

się uszkodzone: stalowe pręty sterczały z betonu, który się wykruszył. W „Echu Doliny” ukazał się reportaż o sponsorowanym pływaniu; odnotowano w nim, że pan Wilson wykazał się nieoczekiwanym hartem, przepływając dwadzieścia jeden długości. Odebrał serdeczne gratulacje.

W listopadzie padało dzień w dzień. Z początku ludzie sobie z tego żartowali, ale w trzecim tygodniu dopadło ich poczucie niesamowitości. Wrzosowiska podeszły wodą, która spływała z nich potokami i dostawała się wszędzie. Woń zawilgłej ziemi zaczęła się dobywać spomiędzy desek podłóg i wszystko spowiło wodniste, zielonkawe światło. Les Thompson wyprowadził swoje stado z obory przez zabagnione podwórko. Wilgotne powietrze wkrótce zaparowało od natłoku ciał. Z wyniosłego brzegu rzeki przy stawach rybnych uniosła się czapla: dźwigając ciężkie skrzydła i wlokąc za sobą cienkie nogi, poleciała wzdłuż rzeki. Rohan Wright podróżował, ale wrócił i zamieszkał u matki. Dopytywała się, jakie ma plany, ale nie dał się pociągnąć za język. Przesiadywał przy laptopie, obrabiając swoją muzykę. Czasem spotykał się z Lynsey, gdy pracowała w należącym do jej rodziców sklepie z artykułami rolniczymi albo za barem u Gladstone’a. Rozmawiali wtedy o kolegach z paczki. Sophie odbywała kolejny staż w Londynie, załatwiony przez znajomego ojca, i namawiała Lynsey do przyjazdu w odwiedziny. Ona ma teraz inne towarzystwo, powiedziała Lynsey. Wiesz, ile potrafią wydać w jeden wieczór na mieście? Mnie na to nie stać. W ramach próby sprostania cięciom budżetowym planowanym przez radę hrabstwa, rada parafialna postanowiła gasić latarnie uliczne w godzinach od dwudziestej czwartej do piątej rano, chociaż nie obyło się bez większej dyskusji, w trakcie której Miriam Pearson została pouczona, że wyrażenie „czarna dziura Kalkuty” jest nie do przyjęcia. Po raz pierwszy wprowadzono opłaty za wejście na zabawę w dzień Guya

Fawkesa, ale nikt zbytnio nie protestował. Przepowiednie o dusigroszach tłoczących się za ogrodzeniem na pokazie fajerwerków okazały się bezzasadne, bo ludzi przyszło nawet więcej niż w poprzednich latach. Cathy zapukała do pana Wilsona i spytała, czy będzie mogła w najbliższej przyszłości wyprowadzić Nelsona na spacer. Pan Wilson odpowiedział, że nie wie. Stał w drzwiach i nie zaprosił jej do środka, a Nelson biegał w kółko po hallu. Cathy przypomniała panu Wilsonowi, że już go przeprosiła, ale nigdy nie dałaby mu takich pieniędzy. Odpowiedział, że chodzi o zasadę. Że pieniądze są pilnie potrzebne, a ją na pewno stać na taki datek. Cathy zarzuciła mu, że nie ma pojęcia, na co ją stać, a na co nie, i w ogóle to nie jego sprawa. Dodała, że nie wiedziała, iż podpisuje czek in blanco. Nie chodzi o pieniądze, powiedział, tylko o zasadę; za jego młodości ludzie dotrzymywali słowa. Davidzie, odrzekła, nie mogę znieść, że się o to gniewamy. Zamknął jej drzwi przed nosem, a Cathy wróciła do domu i usiadła w kuchni. Po kilku minutach usłyszała trzaśnięcie drzwi i zobaczyła pana Wilsona pnącego się z mozołem pod górę z Nelsonem. Wypisała czek na sto pięć funtów na rzecz całkiem innej organizacji dobroczynnej i wsunęła kopertę przez szparę na listy w jego drzwiach. Wiedziała, że zachowuje się małostkowo, ale chyba nie bardziej niż on.

Któregoś ciepłego dnia w początkach grudnia małe kratkowce wybudziły się z hibernacji w domku Sally Fletcher i widziano je na ligustrowym żywopłocie. Ich zmatowiałe, pomięte skrzydełka chciwie chłonęły wodniste słońce. Nad rzeką strażnik wodny przerzedził zarośla przetacznika wzdłuż brzegów koło łąki pod szkołą. Geoff Simmons w swojej pracowni wymieszał szkliwo, w które wrzucił nasiona traw i skrawki liści, a na koniec przesunął umoczonym w szkliwie pędzelkiem po suchych miejscach pozostawionych przez jego kciuk i palec wskazujący.

Gdyby istniał sposób na niezostawianie śladów, natychmiast by go zastosował. James Broad pracował w Manchesterze, ale od czasu do czasu pokazywał się we wsi. Przyjeżdżał się powspinać, przywożąc ze sobą kolegów ze studiów objuczonych linami i uprzężami, z kupą pieniędzy, które przepuszczali u Gladstone'a. Jakoś zawsze wiedział, kiedy za barem zostanie sama Lynsey. Zaczynał pozyskiwać reputację alpinisty. Słynął z tego, że długo i starannie studiuje szlak, a potem wspina się w takim tempie, jakby go niosła wzwyż sama siła rozpędu. Wspina się jak w furiackim pościgu, napisali o nim w pewnym piśmie. Mniej zauroczeni twierdzili, że James po prostu nie ma siły utrzymać się w jednej pozycji. Jego tempo pociągało za sobą ryzyko, które budziło tyleż sprzeciwu, co podziwu, ale jakoś jeszcze nie spadł. Tuż przed Bożym Narodzeniem James przywiózł ze sobą nową dziewczynę, żeby przedstawić ją matce, która się tego nie spodziewała. To fakt, że nie jest taka ładna jak ta poprzednia, mówiła później do Cathy matka Jamesa. Ale przynajmniej jestem w stanie wymówić jej imię. Wydaje się miła. No i oczywiście jest czarna, ale dla mnie to nie problem. James zaprowadził swoją dziewczynę na wrzosowisko i opowiedział jej, jak to było z zaginioną dziewczynką. Wysłuchała go i orzekła, że to nie jego wina. Pokiwał głową i stwierdził, że wszyscy mu to mówią. Wieczorem spotkał się z Rohanem u Gladstone'a. Bar obsługiwała Lynsey. W Wigilię James odwiózł dziewczynę do Northampton. Jego matka powiedziała do Cathy, że właściwie nie ma nic przeciwko temu. W kościele odbyło się kolędowanie, które słychać było aż na rynku.

Matka Richarda zostawiła straszny bałagan w papierach. Samego testamentu szukał parę miesięcy. Pozamykał jej konta bankowe, zakończył liczne prenumeraty pism i wpłaty na instytucje charytatywne, których biuletyny wciąż wpadały przez szparę w drzwiach. Miewał teraz dłuższe

przerwy między kontraktami, ale jeszcze nie powiedział siostrom, że zrezygnował z wynajmowanego mieszkania w Balham, z którego korzystał, będąc na wsi. Wiedział, że siostry chcą sprzedać dom i podzielić pieniądze – Rachel mówiła mu, że pilnie potrzebuje forsy, w co nie chciało się wierzyć – ale radził im przeprowadzić remont, zanim wystawią go na sprzedaż. Któregoś popołudnia obgadał to z Cathy – i rozczarował się, bo ani w ząb nie potrafił odczytać jej reakcji. Był taki moment w ich rozmowie, kiedy mogła powiedzieć, że cieszyłaby się, gdyby Richard bywał we wsi częściej albo nawet przeniósł się tu na stałe, ale rozproszył ją telefon i nie powiedziała nic. Później uświadomił sobie, że mógł zapytać ją o to wprost – wtedy jednak lądował już w Genewie, dopinając pas i ustawiając oparcie fotela w pozycji pionowej. W sylwestra Cathy zapukała do pana Wilsona i spytała, czy Nelson nie potrzebuje wyjść na spacer. Napili się herbaty i zjedli ciastka, po czym Cathy szybkim krokiem przemaszerowała z psem uliczką koło kościoła, minęła sad i dotarłszy do końskiego mostu, ruszyła wzdłuż rzeki. Gdy doszła do lasu Hunterów, spuściła psa ze smyczy, podpierając się ręką o mur w miejscu, gdzie kamień zerodował do wodnistego połysku.



## 12

O północy z nastaniem nowego roku z miast za doliną wystrzeliły fajerwerki, ale we wsi nikt się nawet za nimi nie obejrzał. Pożary z dwóch poprzednich sylwestrów wprawiły ludzi w stan niepokoju. Świetlica świeciła pustkami, bo każdy pilnował swojego obejścia, sześciu policjantów patrolowało teren, a straż pożarna czuwała w pogotowiu. Pół godziny po północy napięcie zelżało. Kilka osób odpaliło własne fajerwerki i odśpiewano z opóźnieniem *Auld Lang Syne*. Ze starego kamieniołomu dobiegł huk eksplozji i puste magazyny wyleciały w powietrze. Straż pożarna dojechała tam szybko, ale nie mogła zbliżyć się do ognia z obawy przed materiałami, jakie mogły znajdować się w środku. Budynki spłonęły do cna, a rankiem unosiła się z nich jeszcze cienka strużka dymu. Zastanawiano się, czy podpalaczem nie był ojciec zaginionej dziewczynki, ale on podobno miał alibi. Policja to sprawdziła. Nie chciałbym być na miejscu faceta, który idzie do tego gościa i zadaje mu takie pytanie, zauważył Martin. Irene miała remont w domu, bo Andrew w końcu przyzwyczał się do nowego miejsca. Roboty były poważne, więc Irene na ten czas zamieszkała u Winnie. Trzeba było powymieniać framugi drzwi, naprawić instalację elektryczną. A najbardziej pożądane było wielkie malowanie. Cały dom trzeba odnowić, powiedziała Irene do Winnie.

Sprowadziła sobie też kuchnię na miarę, z myślą o żywieniu turystów. Planowała pensjonat bed and breakfast. No bo co ja bym sama robiła w takim dużym domu? – spytała retorycznie. Zanudziłabym się na śmierć. Odrobina towarzystwa dobrze mi zrobi.

Cathy zapukała do pana Wilsona i spytała, czy Nelson nie powinien wyjść na spacer, ale zanim skończyła mówić, pan Wilson był już prawie za progiem. Nelson, już na smyczy, skakał z entuzjazmem przed swoim panem. Pan Wilson, jak zwykle elegancki, tym razem wyróżniał się czymś nowym – może ostrzejszymi kantami spodni, a może krócej przystrzyżonymi włosami. Skręcili w lewo przy kościele, minęli sad i niskie łąki, a gdy przeszli końskim mostem na drugą stronę rzeki, Cathy spytała pana Wilsona, czy nie chce się zatrzymać na mały odpoczynek. Już miał zaprzeczyć, ale poszedł po rozum do głowy i gestem zaprosił Cathy, żeby pierwsza usiadła na ławce. Siedzieli, słuchając szumu wody kotłującej się pod końskim mostem i furkotu gawronów, które podfruwały do platanów i sfruwały z nich. Nelson węszył w wysokich trawach na brzegu rzeki. Słońce stało wysoko i dzień był prawie ciepły w zaciszu wiszącej skały. Cathy wystawiła twarz do słońca. Po raz pierwszy w tym roku delectowała się przebywaniem na dworze. Uprzytomniła sobie, że pan Wilson siedzi przy niej całkiem nieruchomo. Emanował pewnością siebie. Znajdował się bardzo blisko niej, co Cathy dopiero teraz zauważyła, i nagle uniósł rękę z podołka i położył jej na kolanie. Ręka leżała tam swobodnie, a oni oboje na nią patrzyli, jakby równie zdziwieni. Cathy ujęła jego dłoń, nieoczekiwanie miękką i ciepłą, i delikatnie złożyła mu ją z powrotem na podołku. Przez chwilę żadne się nie odzywało. Wybacz, powiedział. Ale nie masz chyba za złe mężczyźnie, że się zachwyca, prawda? Uśmiechnęła się i pokręciła głową. Człowiek po prostu czuje się czasem samotny, dodał

spoglądając w dal na rzekę. Wiem, Davidzie, odpowiedziała cicho, każdy tak ma. Rzeka kotłowała się pod końskim mostem. Nelson buszował w wysokich trawach. Cathy sięgnęła do kieszeni płaszcza po plastikową torebkę.

Lynsey Smith wprowadziła się do nowego chłopaka, który mieszkał w jednym z nowych domów na dalekim krańcu miasta. Był starszy od niej i pracował jako geodeta dla firmy eksploatującej kamieniołomy. Był właścicielem domu i dwóch samochodów. Lynsey myślała, że to będzie przelotny romans, ale polubiła związaną z tym facetem gwarancję stabilizacji. Dom miał schludny, umiał gotować i dawał jej przemyślane prezenty. Zachęcał ją, żeby starała się o przyjęcie do szkoły pielęgniarstwa, o której przebąkiwała od matury. Na imię miał Guy, a poznali się, gdy Lynsey pracowała u Gladstone'a. Powiedziała o tym Rohanowi pewnego wieczoru, kiedy przyszedł do baru sam. Jest czarujący, chociaż nie stara się być czarujący, stwierdziła. Wiesz, co mam na myśli? Rohan kiwnął głową. Nie miał pojęcia, dlaczego Lynsey mu to mówi. Widziałam, że jest zainteresowany i że interesuję go ja, a nie to, co może ode mnie dostać, rozumiesz? Miły gość, powiedział Rohan. Gratulacje. Wiem, że to nagle, ale wydaje mi się, że słusznie robię. Twoim zdaniem to zbyt nagle? Moim zdaniem powinnaś zaufać swojemu instynktowi, Lynsey. No właśnie, a to mi po prostu wygląda na coś słusznego, chociaż przyszło tak nagle. W naszym wieku takie rzeczy po prostu się wie. No i fajnie będzie się wyprowadzić, ten powrót do domu to był koszmar. A co u ciebie? Jak twoja mama? Twoja mama, powtórzył odruchowo Rohan. Bał wiosenny, z którego dochód przeznaczono na reperację muru cmentarza, przebiegł bez większych niż zwykle incydentów. W skarpie wyżłobiono nowe schody prowadzące w dół do nowego mostu dla pieszych koło herbaciarni, ale nie

minęło parę tygodni, a ziemia znów została wdeptana poniżej poziomu desek umacniających stopnie. Para mysikrólików uwiła gniazdo na świerku w głębi ogrodu pana Wilsona, za wysoko, żeby mógł on podziwiać misterną plecionkę z gałązek i mchu.

Matka Richarda zachowała większość rzeczy po zmarłym mężu, więc Richard musiał teraz porządkować rzeczy obojga. Cathy przyszła mu w tym pomóc. Wyrzucali na łóżko papiery ze spiętrzonych w szafie pudeł. Niektóre możesz chyba wyrzucić bez przeglądania, powiedziała Cathy. Na dachu pracowali robotnicy prostujący komin i przekładający dachówki. Słyszał było, jak ostrożnie szurają nad głową. Co rusz zrzucona z góry pęknięta dachówka śmigła za oknem, by roztrzaskać się w drobny mak przed frontowymi drzwiami. W papierach było mnóstwo śladów ojca: jego pismo, nazwiska dostawców, z którymi współpracował, nawet słaba woń oleju silnikowego i tytoniu, więc chociaż minęło już dwadzieścia lat, Richard wrócił myślami do pogrzebu. Przyjechał tylko na ten dzień i czuł się wyobcowany z całego obrzędu. Na odjezdnym zobaczył się z Cathy i Patrickiem, po raz pierwszy od lat, i nie wiedział, czy ich skrzępowanie tłumaczyć sobie tą długą przerwą, czy też ich nieumiejętnością złożenia mu kondolencji. Ułatwił im sprawę, wypytując Patricka o pracę, a oboje zagadując o synów. Cathy objęła go sztywno, a Patrick podał mu rękę. Widział wtedy Patricka po raz ostatni. Parę lat później dostał telefon od matki, że Patrick padł na ulicy. Matka obraziła się, kiedy ją poprawił, że pewnie po prostu upadł. Przecież cię przy tym nie było, powiedziała, to skąd możesz wiedzieć. Kolejna dachówka sfrunęła z dachu i rozbiła się w kawałki. Cathy szperała w papierach rozrzuconych po łóżku. Tu mogą być jakieś listy, powiedziała. Może znajdzie się coś, co zainteresuje twoje siostry. Nim się zorientowała, poczuła jego palce przez cienką wełnę

kardiganu: sunęły po jej kręgosłupie. Nie zeszywniała ani się nie odsunęła, czego spodziewałby się, gdyby zdążył pomyśleć zawczasu. Przeciwnie, jakby zmiękła pod jego dotykiem i lekko wygięła grzbiet. Była już w takim wieku, że mogłaby mieć wnuki. Powinno być za późno na te rzeczy. Robotnicy na dachu zrywali kolejne wyszczerbione płytki i ciskali je na dół.

W początkach maja grupa studentów na sponsorowanej wycieczce zgubiła się w gęstej mgle, schodząc z Kamiennych Sióstr. Dotarli jakimś cudem na tyły cementowni, a gdy im pokazano na mapie, dokąd zawędrowali, nie chcieli uwierzyć. Ktoś podpalił stodoły Hunterów i pojemniki na śmieci za herbaciarnią, ale nic nie łączyło tych incydentów z sylwestrowymi pożarami. Nie było dowodów na działanie tej samej osoby. Pod buczyną wykluwały się pisklęta dzikich bażantów. Wyłaziły na świat skulone i rozpierzchały się wokół gniazd, grzebiąc w poszukiwaniu pożywienia i nie zważając na wołania matek. Bliźniacy byli na szkolnej wycieczce w centrum turystycznym, a po powrocie Lee zaczął się dopytywać o Rebeccę Shaw. Pytał jakby mimochodem, grzebiąc w puszcze z herbatnikami, więc i Su przybrała lekki ton wyjaśnień. Słuchał i kiwał głową. Domyśliła się, że większość tej historii słyszał już w szkole. No i co się z nią stało? – zapytał. Nie wiadomo. Nigdy jej nie znaleźli. Czyli żyje, powiedział Lee z ustami pełnymi ciastka. Możliwe, że tak, przyznała Su. To całkiem prawdopodobne. Więc już dawno powinna się ujawnić. Nikt nie chowa się tak długo. Ja bym mógł, oznajmił wesoło Lee. Rozpracowaliśmy to z Samem. Są tunele pod wzgórzami, są kopalnie i tak dalej. Tam można by się schować, a w nocy wychodzić na poszukiwanie jedzenia. Można by wychodzić za każdym razem innym wyjściem i nikt by się nie połapał. Można by tak żyć latami, jakby się chciało. Gdyby na przykład wybuchła

wojna albo ktoś by nas ścigał. Ona mogła tak zrobić. A teraz tylko czeka na odpowiedni moment, żeby sprawić wszystkim niespodziankę. Ile ona może teraz mieć lat, mamó? Su zmroziło. Siadła przy stole i przytknęła rękę do policzka Lee, żeby popatrzył na nią i się skupił. Bardzo poważnie poprosiła go, żeby pod żadnym pozorem nie wchodził do kopalń i jaskiń. Nigdy. Kazała mu obiecać. Jej mina przeraziła Lee. Obiecał, że nigdy więcej tam nie wejdą. Padał deszcz i rzeka wezbrała, a głogi przy niskich łąkach rozkwitły białą pianą. Tawuła pleniła się gęsto wzdłuż ścieżek, cienie ciemniały pod drzewami. Rzeka kotłowała się pod końskim mostem. Richard i Cathy zdziwili się spokojem, z jakim poszli do łóżka. Gdyby to sobie wcześniej wyobrażali – Cathy przyznała się, że trochę fantazjowała, a Richard bąknął tylko, że coś takiego przeszło mu przez myśl – to raczej z potykaniem się po schodach, szarpaniem ubrań, obijaniem się o meble. A nic takiego nie nastąpiło. Padło ostrożne pytanie i przemyślana odpowiedź, ubrania zostały poskładane na fotelu, kołdra uchylona i naciągnięta na nagie ciała. Powolne zakłopotanie w niczym nie przypominało pośpiechu zaślepionych nastolatków kochających się na wrzosowisku. A przecież było nie mniej pięknie. Było tak, pomyślał Richard, jakby to długie czekanie zneutralizowało konieczność pośpiechu. Nie miał pojęcia, czy Cathy czuje się podobnie. Szczytowała, mamrocząc cicho powtarzające się słowa, których nie mógł zrozumieć, z twarzą uniesioną pod słabe światło wpadające przez okno. Potem on chciał coś powiedzieć, ale przytknęła palec do jego ust, uśmiechnęła się i znów spojrzała na okno. Uwijały się za nim małe jaskółki czy może oknówki. Richard pomyślał, że powinien już umieć je rozróżnić. Cathy na pewno by umiała. Wahał się, czy ją zapytać.

W czerwcu wypadły sześćdziesiąte piąte urodziny Austina Coopera i Su w prezencie zgodziła się przewędrować z nim pierwsze trzy dni szlakiem Greystone. Austin od lat namawiał żonę na tę wycieczkę, ale teraz, gdy się zgodziła, denerwował się bardziej niż ona. Rano po raz trzeci sprawdził ich plecaki i spytał Su, czy na pewno ma ochotę iść. Roześmiała się i powiedziała, że to chyba ona jemu powinna zadać to pytanie. Starzejesz się, stwierdziła i wypchnęła go za próg. Zatrzymali się do zdjęcia w centrum turystycznym, po czym weszli na długie, niskie zbocze. Przez chwilę trzymali się za ręce, ale Austin szybko poczuł potrzebę użycia obu zabranych kijków. Wejście na pierwszy szczyt zajęło im godzinę i zatrzymali się tam, żeby porobić zdjęcia. Światło było dobre, więc zobaczyli z góry wieś, rzekę i lasy przy głównej drodze. Przed nimi przez wrzosowisko wiódł prosty szlak z kamiennych płyt: po jednej jego stronie były zbiorniki, na horyzoncie autostrada, a na dalekiej grani kręciły się turbiny elektrowni wiatrowej. Starsi mają pierwszeństwo, powiedziała Su, dźgając męża palcem w plecy. Cooper miał ochotę porwać ją na ręce i zanieść w porośnięte wrzosami zagłębienie. Ale musieli ująć jeszcze kawałek przed zmierzchem, więc nie było czasu na takie figle. Nie był zresztą pewien, czy jego kręgosłup by to wytrzymał. Po raz pierwszy od dziesięciu lat przy Kamiennych Siostrach pasły się owce, młoda trawa była gęsta i zielona, i nic nie zdradzało, że w tym miejscu koczowali niegdyś młodzi ludzie ze swoimi transparentami, ogniskami i tańcami. Lynsey Smith zaręczyła się, co zdziwiło nawet ją samą. Wszystko układało się dobrze, z tym że nigdy nie planowała tak odległej przyszłości. Czuła się przy Guyu tak swobodnie, że kiedy się oświadczył, najwyraźniej nie oczekując odmowy, wystarczyło jej to do powiedzenia „tak”. Dużo się mówiło o ślubie, którego termin był bliski. Panowało przekonanie, że wszystko dzieje się bardzo szybko. O Guyu niewiele było wiadomo, ale

Lynsey uchodziła za rozsądną kobietę, która nie popełni głupstwa. Fajnie wam razem? – zapytała Sophie, gdy Lynsey wyraziła obawę, że może za wcześnie na ślub. On jest dobry, odpowiedziała Lynsey. Jest troskliwy. Plansze z dekoracjami studni już zdjęto i oskrobano do czysta. Glina i materiały dekoracyjne leżały na kupie w rogu łąki. Plansze wyszorowano, osuszono i dwaj synowie Jacksona odnieśli je do stodoły Hunterów, gdzie miały czekać do przyszłego roku. Olivia Hunter napisała egzaminy maturalne, ale nie zostało to uczczone przyjęciem. Wiedziała, że nie zda, a przed marudzeniem rodziców broniła się deklaracją wyjazdu za granicę na roczny wolontariat. W rzeczywistości nie miała zamiaru wyjeżdżać, ale nie wymyśliła lepszej wymówki. Przesiadywała w swoim pokoju, montując filmiki na YouTube. Na łąkach Thompsona bele siana pstrzyły ściernisko jasnozielonymi walcami.

Zbiorniki powysychały, a przelewy spływowe wznosiły się w górę jak kominy, sięgając wysokości niewyobrażalnego w tym momencie poziomu wody. Słońce paliło bezlitośnie, ziemia pękała. W buczynie samiec borsuka stał i patrzył, jak samica zatacza przed nim koła. Oboje wydawali niskie odgłosy mlaskania. Samiec krył samicę przez kilka minut, kęsając ją w kark. W nagiej ziemi zostały chaotyczne ślady pazurów. Piskłeta grzywaczy wypadały z gniazd. Były to ich pierwsze próby latania. W starym kamieniołomie przy głównej drodze rozkwitły lnice, niskopienne i maślanożółte w bladym wieczornym słońcu. Rohan Wright po raz drugi wyniósł się z domu. Miesiącami szukał podobno pracy, która się zmaterializowała dopiero wtedy, gdy Susanna usiadła z nim do studiowania formularzy zgłoszeniowych. Rohan zapytał matkę, czy próbuje się go pozbyć, na co odpowiedziała, że kocha go bezgranicznie, o czym on doskonale wie, ale nie chciałaby, żeby wyrósł na dziwaka, który całe życie



mieszka z mamusią. Susanna potem opowiedziała to Cathy i obie się uśmieły, ale nagle Susanna zmieniła temat i zagadnęła o Richarda. Cathy ukryła uśmiech i powiedziała, że jest okej. Jest dobrze. Układa im się. Susanna czekała na więcej. No i? – spytała. No i tyle. Jest dobrze. To dobry człowiek. Ale to chyba nic wielkiego. Chociaż... Susanna czekała. Chociaż co? Odnoszę wrażenie, że on to niepotrzebnie wyolbrzymia, że jest o krok od popełnienia jakiegoś głupstwa w rodzaju, na przykład, oświadczyn. A to by było takie złe? – spytała Susanna. Cathy przewróciła oczami. Skończyłam z małżeństwami, powiedziała. Nie chcę się znowu w to pakować. Podoba mi się niezależność, rozumiesz? To mój dom, moi synowie, mój czas. A czuję, że on może mieć na myśli coś innego. Rohan poszedł na rozmowę, dostał pracę i przeprowadził się do znajomych w Manchesterze. Wzdłuż rzeki i alejki śmigały cicho dorosłe nietoperze, znikając, nim ktokolwiek je zobaczył.

W sierpniu Lynsey Smith wzięła ślub w urzędzie stanu cywilnego w mieście. Przyjęcie odbyło się w hotelu Culshawów. Byli na nim James, Rohan i Sophie, którzy po sesji zdjęciowej zostali na trawniku, usiłując sobie przypomnieć ostatnią wspólną okazję. To musiało być latem po maturze, orzekł Rohan. Ja nie zdałam matury, przypomniła mu Sophie. No tak, przyznał. A patrz, co z ciebie wyrosło: nowa gwiazda telewizji. Wrodzony talent, do tego nie potrzeba dyplomów. A więc tak to się teraz nazywa? Zobaczyli Liama wchodzącego do gmachu z małym szkrabem na rękę i starszym dzieckiem uczepionym drugiej dłoni. Skinął im głową, ale nie podszedł się przywitać. Musieli wysłuchać mów okolicznościowych, zanim mogli się zabrać do jedzenia. W pewnym momencie Sophie zakryła ręką kieliszek Jamesa na znak, żeby zwolnił tempo. Spojrzenie, które jej posłał, było obce i nieprzyjemne. Pił dalej, i to tak szybko, że późniejszym

wieczorem Sophie musiała poprosić Willa Jacksona, żeby go odwiózł do domu Rohana, gdzie się zatrzymał. Mecz krykieta w Cardwell rozegrano do końca po raz pierwszy od trzech lat i tradycji stało się zadość: wygrali gospodarze. Synowie Jacksona odebrali jagnięta matkom i przenieśli je na ustronne pastwisko. Przez trzy dni i trzy noce hałas, który robiły owce, słychać było w całej wsi. Od połowy miesiąca wieczory zapadały wcześniej i były chłodniejsze. Wieczorna rosa zalatywała wonią pleśni. Dom matki Richarda jeszcze nie został wystawiony na sprzedaż, a Richard usiłował wytłumaczyć siostrom, że jeśli chcą wziąć za niego dobrą cenę, powinni poczekać na zmianę tendencji rynkowej. Siostry zjechały się na weekend z mężami, bo ich dzieci były już dość duże, by zostać na noc u kolegów. Po wieczorze wypełnionym jedzeniem, pićm i wymianą najświeższych wiadomości, powróciła wreszcie kwestia domu. Rachel wydała rozpaczliwe westchnienie, które przyswoiła sobie jako dwunastolatka, a jej mąż, Tom, oznajmił towarzystwu, że wszyscy mają dość chodzenia na palcach wokół tego gówna. Richard spytał go, czy nie mógłby się wyrażać nieco dosadniej, a Tom nie od razu dopatrzył się w tym ironii. Sarah zwróciła im uwagę, że takie tony są całkiem niepotrzebne, na co Tom odparł jej dość ostro, że owszem, potrzebne. To gdzie ja mam mieszkać? – zapytał Richard. Dokąd pójdę? To był zawsze mój dom. Nikt cię nie wyrzuca, powiedział Tom. Ale czas pogadać o pieniądzech. Ciebie tu i tak nigdy nie było, mruknęła Sarah. Wszyscy wiedzieli, ile dom jest wart przy cenach rozdmuchanych przez zamożne osoby dojeżdżające do pracy i wtórny rynek mieszkaniowy. Richard przypuszczał, że jako wolny strzelec nigdy nie dostanie tak dużej hipoteki. Dlaczego wy mi to robicie? – spytał bezradnie. Wyszedł z domu i przez plac skierował się do buczyny. Miał ochotę porozmawiać z Cathy, ale chciał się najpierw uspokoić. Gdyby mu tylko dali trochę więcej czasu. Kilka miesięcy, rok. Gdyby jemu i Cathy dalej się

tak dobrze układało, wprowadziliby się tam razem. To zdawało się nieuchronne. Po tylu latach. Ale jeszcze za wcześnie, by o tym wspominać. Nie chciał, żeby Cathy pomyślała sobie, że chodzi mu tylko o dom. Pragnął, żeby zrozumiała, ile dla niego znaczy. To zresztą teraz już słyszała. Sama nawet powiedziała coś w tym sensie. Gdyby tylko jego siostry przestały naciskać na sprawę domu. Oczywiście nic im nie mówił o Cathy. Nie potraktowałyby tego poważnie.

Lynsey rzuciła pracę u Gladstone'a, po części dlatego, że Guy nie był zadowolony, że wystawia się na pokaz za barem od rana do nocy. Zaczęła uczęszczać do college'u pielęgniarstwa w Derby. Guy kupił jej nowy samochód, żeby mogła tam codziennie dojeżdżać, nie martwiąc się, że auto wysiadzie po drodze. Dojazdy zajmowały jej dużo czasu, ale lubiła te samotne wyprawy. Kamieniołomy i alejki zarosły gęsto wierzbowką kiprzycą o wywiniętych fioletowych kwiatkach i lotnych nasionach. U Irene zjawili się pierwsi goście i weekend, jak powiedziała Winnie, przebiegł pomyślnie. Niestety, dodała, goście nie byli zbyt rozmowni. Właściwie wcale nie chcieli rozmawiać, wielka szkoda. Dużo czasu spędzali w pokoju. Ale wyjeżdżając, bardzo chwalili pensjonat. Winnie spytała ją, czy ma więcej rezerwacji, na co Irene odpowiedziała, że odkąd Andrew założył jej stronę internetową, kalendarz szybko się zapełnia. Widocznie naprawdę się postarał, powiedziała. Andrew mieszkał teraz w mieście, w lokalu wspomagany, i wydawał się bardzo z tego zadowolony. Odbywał jakiś kurs w college'u. Irene odwiedzała go prawie co tydzień, a on pisał do niej maile. Pod koniec miesiąca Ashleigh Wright wyjechała na studia i Susanna została sama w domu z trzema sypialniami. Zmiana dokonała się nagle i nie było na nią rady. Susanna zaczęła się dowiadywać o możliwość zamiany domu na coś mniejszego, ale chociaż

nie było nic do wzięcia, musiała dalej płacić podatek od sypialni. Dużo czasu spędzała na działce, gdzie zbierała fasolę i pierwsze kabaczki, i szykowała ziemię na przyszły rok. W zimne wieczory Ruth szła z nią spacerem z działki na kolację, a gdy za dużo wypła zostawała na noc. Na plantacji iglaków nad posesją Hunterów mysikróliki już tuczyły się na zimę.

W październiku dom starego Tuckera został wystawiony na sprzedaż, ale pobył na rynku najwyżej miesiąc. Przyjechała ciężarówka od przeprowadzek i zabrała wszystkie rzeczy. Nieliczne owoce z sadu przywłaszczył sobie Jones. Od strony ziemi Hunterów rozlegał się warkot dwutaktowych silników i wizg pił łańcuchowych wgrzyzających się w drewno, a potem trzask gałęzi i huk następnego padającego drzewa. Młode liski z buczyny wypuszczały się na nowe tereny i ginęły masowo na szosach. Strażnik wodny powyławiał pułapki na raki najeżone szczypcami gramolących się nawzajem po sobie skorupiaków. Przesypał je z grzechotem do wilgotnego worka. Raki to był rarytas, chociaż jego córki nie chciały ich tknąć. To prawda, że z wydłubywaniem mięsa był pewien kłopot, ale trud, jego zdaniem, się opłacał. Jaskółki, które odleciały kilka dni wcześniej, były już bliżej niż dalej od południowej Afryki, gdzie miały przezimować na żerowiskach przed wiosennym powrotem na północ. Zauważono, że Richard spędza noce u Cathy, ale nikt nie czuł potrzeby tego komentować. Uważano, że mają do tego prawo. Rano Richard wstawał pierwszy i poruszając się cicho po domu, parzył kawę. Potem wracał do łóżka, spragniony Cathy. Już zapomniał, że można tak bardzo kogoś pragnąć, a może tak naprawdę nigdy tego nie zaznał. Był niespokojny, dopóki nie złączył się z nią ciałem. Kiedy robili to jako para nastolatków, wysoko na przeciwległym stoku wzgórza, z widokiem na zbiornik nr 12

i autostradę, czuli się oboje jak w stanie nieważkości, unosili się nawzajem w górę i szeptali. Teraz, trzydzieści lat później, nabrali masy, ale rozkosz była ta sama. Jej ciało przygniatało jego ciało, czemu poddawał się bez reszty, dopiero teraz czując, jak często bywał zahamowany. Z innymi kobietami, nawet gdy było to na poważnie, zawsze czekał na to, co będzie potem. Zawsze zakładał, że będzie jakiś dalszy ciąg. Wmawiał sobie, że tak nie jest, ale teraz miał jasność, że czekał na Cathy. Czekał na to. Postarzeli się i wrócili do siebie, zdumieni tym, na co jeszcze ich stać. Tym, że pewne rzeczy wychodzą im lepiej niż dawniej. Gdy przyciągała go przy parapecie i brała w siebie, gdy ich palce się splatały, a żaluzjowe okno klekotało we framudze, widział w jej oczach, że myśli dokładnie tak samo. Nie trzeba było mówić tego głośno. Właśnie tak wyobrażał sobie ich współżycie. Jako otrzeźwienie. Kiedy ona spała, on gotował obiad, który potem zjadali i wracali do łóżka. Będą jeszcze pytania natury praktycznej w nadchodzących miesiącach, ale na razie te pytania mogły poczekać. Kiedy zasypiali tej nocy, powiedziała mu, że powinni uważać. Wyszepiała mu to do ucha. Miał wrażenie, że rozumie, o co jej chodzi.

Na szczycie wrzosowiska złożono wieniec z maków przy szczątkach bombowca lancaster. Już tylko parę osób we wsi pamiętało czasy nalotów: bombowce noc w noc orzące niebo, poświatę płonących miast na horyzoncie i ten smród. Na pokazie fajerwerków czwartego listopada zdarzył się przykry incydent: dwie race przewróciły się na miękkiej ziemi po zapaleniu lontów i wybuchły tuż nad głowami tłumu. Nikt jednak nie został ranny i pokaz postanowiono kontynuować. Geoff Simmons w swojej pracowni ładował pokryte szklivem naczynia do pieca na drugie wypalenie. Padał deszcz i po jednej ze ścian ciekła woda. Pod większością przecieków stały wiadra, ale dywany przemokły. Pachniało butwiejącym

papierem i naczynia wypalały się dłużej. Whippet zdechł i Geoff już nie bardzo wiedział, co zrobić z godzinami oczekiwania na wyjęcie naczyń z pieca. Otworzył drzwi i wpuścił do środka podmuch wiatru, a kurtyna deszczu zafalowała i chlusnęła przez próg. Nikt nie nadchodził uliczką. Rzeka zakręcała pod końskim mostem i płynęła dalej w stronę jazu. Nie mówiło się za dużo o zaginionej dziewczynce, ale często o niej myślano. Co się mogło stać. Może rodzice niechcący zrobili jej krzywdę, mogli ją popchnąć albo przewrócić bez żadnej złej myśli, a potem wpaść w panikę i usunąć ciało w bezpieczne miejsce, zanim przybiegli do wsi po pomoc. A może rodzice skrzywdzili ją z rozmysłem, popchnęli, przewrócili albo uderzyli kilkakrotnie w tył głowy, po czym już nie wstała, więc zanieśli ją wysoko na wzgórze i złożyli gdzieś, gdzie, jak myśleli, nikt jej nigdy nie znajdzie.

Richard i Cathy byli w łóżku, kiedy ona powiedziała mu, że chyba nie powinni tego ciągnąć. W pierwszym odruchu pomyślał, że powinna była poczekać z tym, aż się ubiorą. Znał schemat takich rozmów, bo odbyli ich już wiele – ale nigdy w łóżku. Ostatnio kiedy on był za granicą. Argument stanowiła zwykle geografia. Chociaż Cathy powoływała się na argument bardziej nieuchwytny. Że próbują odtworzyć coś z przeszłości. Że to nie zadziała. Że oboje bardzo się zmienili, a wciąż myślą o sobie jak o nastolatkach, więc w końcu znienawidzą się za te zmiany. Wydawała się pewna swego. Przewidywała problem. Ale czy teraz to jest dla ciebie problem? – zapytał. Nie, ale będzie, ja to czuję, odpowiedziała. Chcę nas oboje przed tym ustrzec. Nie umiał oponować. Kiedy zaczęli się ubierać, poczuł nagłe zażenowanie, zgarnął swoje rzeczy i przeszedł z nimi do łazienki. Odkręcił kurki. Na dole oznajmił Cathy, że nie zostanie na kawę. Jeszcze raz powtórzył, że oczywiście rozumie. Przywitał się z panem

Wilsonem, który stał z psem w otwartych drzwiach, i odszedł uliczką pod górę. Kolędnicy wędrowali od drzwi do drzwi z latarniami na drągach, kwestując na miejscowe hospicjum. W żółtawym świetle dryfowały obłoki ich oddechów, a głosy przeciskały się przez ciężkie powietrze. Richard utknął na moment w rozśpiewanej gromadzie i zmuszony był włączyć się w śpiew. „O, małe miasto Betlejem / Jak cicho leżysz tam”.

W oborze u Thompsona trwało dojenie ostatnich krów. Ludzie byli już zmęczeni. Skąpe rozmowy rwały się, a przez ostatnie dziesięć minut słychać było tylko rytmiczne chlustanie, pstrykanie maszynierii i sporadyczne postękiwania krów. Ponad zbiornikiem pikowała czapla, zawisając w powietrzu tuż przed dotknięciem dziobem lustra wody, po czym przybrała charakterystyczną pozę i zastygła w bezruchu. Lisy robiły raban w buczynie. Rozlegające się nocą poszczekiwanie i piski budziły dawny lęk. Lisy oznaczały swój teren i walczyły, dopóki nie dobrały się w pary. Pod boiskiem krykietowym skoczogonki w liczbie co najmniej miliona liniały, żerowały i gramoliły się ku światłu, a jedna samiczka złożyła ostatnie jajeczka w swoim życiu. Mysikróliki odżywiały się zawzięcie w gałęziach modrzewia na dziedzińcu kościoła. Richarda i Cathy widziano na wrzosowisku z psem pana Wilsona, który nie był przyzwyczajony do tak długich spacerów. Richard tłumaczył Cathy, że podjęcie próby życia w związku to nie jest taki zły pomysł. Oboje byli niezależni finansowo, to, co łączyło ich kiedyś, wcale nie minęło, oboje pochodzili z tej wsi, to było ich miejsce, którego znajomość też była czynnikiem wiążącym. Richard wkuł te argumenty na pamięć, odliczał je na palcach. Wyglądało na to, że peroruje już dłuższy czas. Cathy mu przerwała. Richardzie, to nie to samo, co spisanie umowy przedwstępnej. Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda? Richard zaczął się śmiać, ale nagle

zrozumiał, że Cathy nie żartuje. I nie wiedział, gdzie oczy podziać. Nadal trzymał zagięty mały palec, który oznaczał punkt piąty. Zaczynało boleć, ale nie umiał się poddać.



# 13

O północy nad sąsiednią doliną rozbłysły fajerwerki, ale we wsi panowała atmosfera napięcia i nie palono ogni. Dopiero następnego dnia odkryto, że stare zabudowania koło zbiornika nr 7 są osmalone i kopcą. W telewizji pokazywali grupę ochotników poszukujących innej zaginionej dziewczynki: szli po stoku rzadkim szeregiem i patrzyli pod nogi. W świetlicy wystawiono *Kopciuszka*. Wiadomo było, że próby rozpoczęły się późno i z niedostateczną frekwencją, tak że Susanna musiała w ostatniej chwili ściągnąć nowe osoby. Publiczność miała taką samą treść jak aktorzy. Gdy Olivia Hunter wyszła na scenę i zaczęła recytować swoją kwestię, światła nad widownią jeszcze się paliły i trwało szuranie krzesłami. W ciągu pierwszych paru minut trzeba było podpowiedzieć Olivii dwa razy, ale jej promienna radość bycia na scenie była tak oczywista, że chyba nikt nie miał jej za złe niezajomości tekstu. Uwaga, obwieściła groźnie. Oto nadchodzi Zła Macocha – już! Nastąpiła długa pauza, po której na scenę wyszedł szurając podszewami Les Thompson, zarośnięty, umalowany, bez sztucznej szczęki. Publiczność szemrała tak głośno, że przez chwilę nie było słychać suflera. Nikt nie wiedział, że Les Thompson wystąpi w tej roli, ale grał z taką radością, wchodząc na scenę i schodząc z niej bez oglądania się na scenariusz, że wszyscy uznali go za

gwiazdę wieczoru. Zdystansował nawet Susannę i Ruth Fowler, które grały Brzydkie Siostry i długo ćwiczyły butne riposty. Po spektaklu Lesa otoczył tłum chętnych do zrobienia sobie z nim zdjęcia. Potem odbył się bankiet, na którym Gordon Jackson pogratulował Olivii opanowania w sytuacji chaosu. Powiedział jej, że taka postawa wymaga wielkiej dojrzałości. Odruchowo wyciągnął rękę i zatknął jej za ucho luźny kosmyk włosów.

Na działkach do zebrania została najwyżej stwardniała zielenina: szpinak o grubo żyłkowanych liściach, parę garści musztardy, pożółkły jarmuż. Trzymał ostry mróz. Lisy w buczynie siedziały cicho. Nory miały dobrze przygotowane, ciepłe, grubo wymoszczone i lisice leżały w nich po ciemku. Dom starego Tuckera przerobiono na chatę dla letników, wymieniając instalację elektryczną, kładąc nowy tynk i malując elementy drewniane na szarozielono. Ogród przed domem nie wymagał teraz większej pielęgnacji. Stały tam siewniki ze żwirem, mieszanka traw i ława piknikowa z grzejnikiem. Gałęzie drzew w buczynie pokryły się śniegiem, który strzepywało sączące się przez nie słońce. Rzeka naniosiła gałęzi pod koński most i przelewała się swobodnie przez jaz. Ojca zaginionej dziewczynki znów przesłuchano w związku z pożarami i aresztowano. Czaple w swojej kolonii odbudowywały gniazda. W ostatki pan Wilson zaprosił Cathy na naleśniki. Musiała mu pomóc dźwignąć żeliwną patelnię na płytę grzejną, ale potem uparł się, żeby usiadła przy stole i dała się obsłużyć. Pierwszy naleśnik zlepił się i został rzucony na podłogę Nelsonowi. Drugi się udał, ale Nelson tak natarczywie się go domagał, że i ten wylądował na podłodze. Pewnie myślisz, że łatwo dają się naciągnąć, powiedział pan Wilson, a Cathy nie zaprzeczyła. Pokroiła w ćwiartki cytryny na deseczce, a tymczasem pan Wilson usmażył stertę naleśników i wsadził je do gorącego piekarnika. Potem usiedli razem do jedzenia. Jane to robiła

pyszne naleśniki, powiedział pan Wilson. Z falbanką na brzegach. Wiesz, jak się takie robi? Cathy kiwnęła głową, a Nelson podszedł i oparł łeb na jej kolanach. Powiedziała, że wie, ale nigdy jej się nie udają. Po jedzeniu spacerowali się oboje z Nelsonem do wsi, trzymając się dla odmiany głównej ulicy, biegnącej w kierunku działek i buczyny. Na placu pan Wilson oznajmił, że wstąpi na drinka do Gladstone'a i dołączy do nich, gdy będą wracać, a Cathy spytała, czy nie dokucza mu biodro. Odpowiedział, że nie za bardzo, ale w swoim wieku czuje się zwolniony z buszowania po wrzosowiskach. Roześmiała się i odwróciła, żeby odejść, a wówczas on nachylił się lekko ku niej i wykonał gest uchylenia czapki. Pomachała w odpowiedzi i dała się pociągnąć Nelsonowi na ścieżkę wiodącą przez buczynę, centrum turystyczne i zawrotnie wysokie wzgórza.

Coopera zauważono przed sklepem rzeźnickim: klęczał i przyciskał pięść do klatki piersiowej. Zanim Su dojechała do szpitala, siedział już na łóżku. Tylko trochę strachu, wychrypiał, na co Su bardzo cicho ostrzegła go, że jeśli jeszcze raz wytnie taki numer, ona napędzi mu strachu na całego. Wysokie pokrzywy obrosły martwy dąb na podwórzu Thompsona, wybielały miejscami od słońca. Z dzikich bzów na wale za szkołą poderwało się stado kwiczołów, które wzleciały nad dolinę i skierowały się na północny wschód, ku zbiornikom, wzgórzom, Morzu Północnemu i Norwegii. Sally Fletcher przekonała Briana, żeby pozwolił jej trzymać kury w starym sadzie i poprosiła Willa Jacksona o zbudowanie kurnika. Will uprzedził ją, że kury grzebią wszędzie, więc musi sprawdzić, czy teren jest bezpieczny. Zapłaciła bliźniakom Coopera za usunięcie ostatnich resztek przyczepy campingowej. Uzbierali sześć worków plastiku i rozmiękłych petów. Martin widział Lesa Thompsona w nowym supermarkecie w mieście: stał przy kasie z pełnym koszykiem. Wcześniej

się tam nie pokazywał. Kiedy zobaczył cenę na litrowym mleku, kazał kasjerce odczytać ją sobie głośno. Przyglądał się dłuższą chwilę, a potem schował portfel z powrotem do kieszeni i wyszedł, zostawiając na wpół spakowane zakupy i speszoną kasjerkę. Blade światło sunęło powoli po wrzosowisku, odbijając się w zalanych parowach i wądołach, rozbłyskując na moment przed zsunięciem się chmur.

W kwietniu pokazały się pierwsze jaskółki, śmigające o młodym zmierzchu nisko nad pastwiskami i łowiące owady, które wschodziły wraz z rosą. I nadal warkot przelatującego helikoptera nie był tylko zwykłym odgłosem śmigłowca, bo niósł w sobie to wszystko, co znaczył pewnej nocy. Gordon wziął jakieś zlecenie stolarskie od Hunterów i widziano, jak w przerwach wystawał koło furtki, rozmawiając z Olivią. Wzdłuż lasu przy Kamiennych Siostrach powbijano tyczki miernicze, a Cooper natrafił na nowy formularz wniosku o zabudowę z przedsiębiorstwa eksploatacji kamieniołomów. Dom matki Richarda został sprzedany w ciągu miesiąca i Richard opróżnił go przez weekend, a klucze podrzucił pośrednikowi. Wyjeżdżając do miasta, pomyślał, żeby wpaść do Cathy, ale ostatecznie minął wylot jej uliczki i pojechał dalej główną drogą w stronę kamieniołomu, lasów i zakola rzeki. Młode, ciasno zwinięte pędy jeżyn czekały na dłuższe dni. Pan Wilson zmarł po krótkiej chorobie i o odprawienie nabożeństwa pogrzebowego poproszono Jane Hughes. Nelsona wzięła do siebie Cathy.

Su Cooper roznosiła po wsi w dużej torbie na ramię nowy numer „Echa Doliny”. Torba była ciężka, a runda zajęła Su całe popołudnie. Austin wprawdzie upierał się, że sam da radę, ale zmęczył się już samym drukowaniem. Su uważniej niż on wysłuchiwała zaleceń, które po zawale dał

mu lekarz, i teraz pilnowała, żeby ich przestrzegał. Nie mieściło się w tych zaleceniach dźwiganie torby po stromych brukowanych ulicach. Su traktowała męża z surowością, która zdaniem lekarza mogła się okazać zbawienna. Nie zamierzała pozwolić na to, żeby się wykończył. Padały deszcze i rzeka wezbrała. Zbiorniki się napełniły. Co dzień pod wieczór Maisie Jackson nalewała do miednicy gorącej wody z dodatkiem mydła i oliwy, i niosła ją do salonu razem z myjkami i ręcznikiem. Jackson na jej widok robił minę, w której miłość mieszała się z pogardą. Ignorowała to. Odchylała kołdrę, rozpiniała mu piżamę i wyciskała nad miską gorącą, czystą flanelkę. Jackson, kiedy go myła, uporczywie patrzył w okno, za którym rozciągały się dalekie wzgórza. Kwiczoły odleciały z pól za kościołem.

Na łąkach nad rzeką rozkwitły chabry, których pierzaste główki kłaniały się, gdy ktoś przechodził. W świetlicy na planszach przypięto pinezkami schemat dekoracji, którego kontury przeniesiono nakłuciami na glinę. Irene, która nadzorowała operację, dała w końcu znak do usunięcia arkusza. Na polu Thompsona owinięte bele siana przeniesiono na długą, niską przyczepę i zwieziono na podwórze, gdzie zostały ustawione w piramidę i zarzucone siatką. Thompson pilnie obserwował swoich robotników. Na działce pana Wilsona włócznie szparagów wyłaniały się nieśmiało z tłustej, czarnej ziemi. Po tygodniu Clive ściał i zabrał pierwsze dwa tuziny, pozwalając reszcie wyrosnąć na wysokość paproci, z myślą o przechowaniu na następny rok. James Broad upadł i złamał nogę podczas trawersowania zbocza pod Skałami Czarnego Byka. Ze ściany zdjęła go ekipa ratowników górskich. Lynsey na tę wieść zwolniła się na jeden dzień z zajęć w college'u i przyjechała go odwiedzić. Spał, kiedy weszła, więc usiadła i przez kilka minut przyglądała się opatrunkom na jego nodze i otarciom na

ramionach. Poruszył rzęsami. Lynsey przysunęła krzesło bliżej łóżka i wtedy się obudził. Masz tu jakieś praktyki? – spytał. Ponownie spojrzała na jego nogę. Ktoś powinien ci zmienić te opatrunki, powiedziała. Ale ja ich nie tknę. Pewnie masz tam jakiś syf. Poza tym śmierdzisz. Widzę, że dobrze ci idzie na kursie pielęgniarstwie. Ze stosunku do pacjenta masz piątkę? Świetnie. Idzie mi świetnie. A jak tam wspinaczka? Super. Wspinaczka jest super. Gorzej ze spadaniem. Roześmiała się wreszcie, a James jej zawtórował, ale nagle skrzywił się i przestał śmiać. Wzdrygnęła się. Żebra? – spytała. Brawo, siostrze. Tak, żebra. Nie połamane, ale poobijane. Nie odezwała się. Wstała, nachyliła się nad nim powoli i pocałowała go w usta. Nie miała takiego zamiaru, ale gdy już zaczęła, nie mogła przestać. Odwzajemnił pocałunek, a jego dłoń dotknęła jej policzka. Cofnęła się. Nie otarła ust, ale równie dobrze mogła to zrobić. Lynsey, powiedział. Nie, James. Wyglądała tak, jakby miała powiedzieć coś więcej, ale zapięła torebkę i wyszła.

Kiedy Gordon Jackson pierwszy raz spał z Olivią Hunter, przypominała mu się historia na wzgórzu z jej matką. Przez chwilę poczuł skrupuły. Olivia miała podobny głos, tylko mniej do powiedzenia. Wydawała się mniej pewna tego, czego chce, niż kiedyś jej matka. Ale czegoś chciała, a nie fair byłoby tłumaczenie jej, dlaczego Gordon ma opory. Rodzice Olivii wyjechali, a wszystkie przerobione stajnie stały puste. Gordon pracował nad Olivią od jakiegoś czasu i sytuacja dojrzała. Olivia stanęła naga ledwo weszli do pokoju. Patrzył na nią z przyjemnością, ale ją to wyraźnie krępowało. Uklękła na łóżku. Miała nieskazitelną skórę. Napiętą. Gordon generalnie uważał, że jest w formie, ale teraz, patrząc na Olivię, poczuł się staro. Wyciągnęła rękę i sięgnęła do jego paska. Ujął ją za ramię i położył. Całowała go tak mocno, że unosił się nad łóżko. Przez otwarte

okno wpadał zduszony zapach lawendy i odgłos quada na wzgórzu. W igłakach kwiczoły znosiły pokarm do gniazd: pisklęta rosły szybko i z każdym dniem domagały się więcej. Na działkach wykopywano wczesne ziemniaki, blade i gładkie jak jaja czapli na ciepłej, ciemnej ziemi.

Sierpień był suchy i bezwietrzny, z pól podnosił się kurz i bardzo bano się pożaru na wzgórzach. Młode grzywacze wyszły z gniazd i ćwiczyły latanie: z wielkim trzepotem odrywały się od gałęzi i ze sztywno rozpostartymi skrzydłami lądowały ślizgiem na polach. Borsuki większą część nocy spędzały na powietrzu, buszując coraz bliżej granic swojego terytorium. Oznaczały teren i rankiem znajdowano tam małe kupki odchodów. Geoff Simmons w swojej pracowni zawijał naczynia w bibułkę i folię bąbelkową, po czym pakował je w kartonowe pudełka. Dla klientów były to wazony, dzbanki i filiżanki, ale dla niego po prostu puste naczynia. Nalepiał na pudełka kartki z adresami i zanosił na pocztę. Drzwi zostawiał uchylone. Dom Jonesa stał pusty. Nikt nie wiedział, dokąd Jones się udał i nie było zgody co do tego, kiedy go ostatni raz widziano. W jego oknach było ciemno, spadające liście zatkały rynnę, deszcz zalewał okapy i plamił tynk na fasadzie. Za przeszklonymi drzwiami rosła sterta poczty, którą wciąż dostarczano. Przez krótki czas zastanawiano się, czy Jones przypadkiem nie leży w środku martwy. Ale Brian Fletcher znał adres jego siostry i dowiedział się, że Jones ją nadal odwiedza, więc dociekania się skończyły. Co Jones robi ze swoim domem, to jego sprawa, mówili ludzie. Irene zajrzała tam raz, drugi, ogarnęła ogród od ulicy i załatwiła człowieka do czyszczenia rynien. Na boisku krykietowym mecz z Cardwell skończył się przegraną.

We wrześniu Rohan i James przyjechali z Manchesteru, a Sophie z Londynu, i spotkali się wszyscy z Lynsey, żeby spędzić wspólnie dzień. Zaplanowali to jeszcze w Boże Narodzenie – tak długo trwała organizacja. Pierwotny plan był taki, żeby pójść na spacer, ale ponieważ James chodził nadal o kulach, wybrali się na przejażdżkę. Spotkali się u Hunterów na niedzielnym śniadaniu i zasiedli we czworo przy stole z kawą i croissantami. Stuart pracował poza domem, ale Jess kręciła się po kuchni, zadając pytania i wspominając, jak to jeszcze niedawno siadywali na tych samych wysokich stołkach jako nastolatki. Nie mamy pewnie czasu obejrzeć zdjęć? – zagadnęła. Bo mam świetne z waszego ostatniego dnia szkoły. Grzecznie odmówili, tłumacząc, że muszą już jechać. Jess stała w progu i patrzyła, jak pakują się do samochodu Sophie. Za jej plecami kuchnia drżała od ciszy. Olivia już zdążyła wyjść na cały dzień. Jess posprzątała po śniadaniu. Minęli centrum turystyczne, kierując się ku drogom dojazdowym przy wyżej położonych zbiornikach. Nie mieli specjalnego planu. Sophie spytała Jamesa, jak źle jest z jego nogą, na co odpowiedział, że nie jest kompletnym kaleką, ale więcej niż trzech kilometrów przejść nie zdoła. Ale to się poprawi, prawda? O ile nie strzełę jakiegoś głupstwa. W rodzaju upadku ze Skał Czarnego Byka, takie głupstwo masz na myśli? No właśnie. Jeśli nie zrobię tego drugi raz, wszystko się wygoi. Chyba, że cię tu przewrócimy i skoczemy ci na nogę? No tak, to też by nie pomogło. Rozumiem. Tylko sprawdzałam. Sophie podjechała nową drogą do turbin wiatrowych i zaparkowała na szczycie. Widać stąd było siedem zbiorników schodzących tarasowo ku wsi i rzece za wsią, a w przeciwnym kierunku – autostradę. Wiał silny wiatr i samochód dygotał. Powinno wywiać kaca, powiedział Rohan i wszyscy pootwierali drzwi. Jamesowi trzeba było pomóc złapać równowagę. Lynsey i Rohan szli po jego bokach, osłaniając go od wiatru. Posuwali się powoli granią.



Nad ich głowami wirowały wiatraki. Wiatr roztrącał strzępiaste chmury, między którymi błyskało słońce. Troje z nich szło powoli, ale Sophie co chwila wyrywała się naprzód, pstrykała im zdjęcie telefonem i czekała aż ją dogonią. Szosa zmieniła się w drogę, a droga w ścieżkę i James zaczynał krzywić się z bólu. Widać już było stare zabudowania zarządu wodnego nad zbiornikiem nr 7. Zatrzymali się i James oświadczył, że chyba ma dość. Od strony autostrady psuła się pogoda, więc postanowili wracać. Nie był to wprawdzie Ironman, ale jak na pierwszą próbę może być, powiedział Rohan. Następnym razem spróbujemy dojść trochę dalej, no nie? James nie odpowiedział, bo zaciskał zęby z bólu. Lynsey nie puszczała jego ramienia. Za rok, powiedziała Sophie. Przejdziemy we czwórkę cały szlak Greystone. Cały? To co najmniej dziesięć dni marszu. No to już rezerwujcie czas. Chyba się nie boisz? Dziesięć dni poza domem, powiedziała Lynsey. Nie dodała, że Guy byłby niezadowolony, ale wszyscy zrozumieli, o co jej chodzi. Zanim doszli do samochodu, było uzgodnione, że wycieczkę urządzają na wiosnę, ale tylko Sophie naprawdę w to wierzyła. Podjechali z powrotem do Sophie, żeby Rohan i Lynsey mogli zabrać swoje samochody, i zjedli lunch w pubie nad rzeką. Załamanie pogody minęło i było dość ciepło, żeby usiąść na zewnątrz. Rohan opowiadał trochę o swojej muzyce, a Sophie usiłowała wyjaśnić, na czym polega start-up, w który była zaangażowana w Londynie. Telefon Lynsey zaczął dzwonić kilka razy; za trzecim czy czwartym razem powiedziała, że musi wracać do domu. Nagle James dramatycznym gestem wskazał coś po drugiej stronie rzeki. Nic tam nie było, ale gdy Rohan i Sophie się odwrócili, nachylił się i delikatnie pocałował Lynsey w policzek. Pokręciła gwałtownie głową, a on się uśmiechnął. Chodźmy, powiedział, zdejmując buty i skarpetki, które umieścił na stole. Nie zaczekał na resztę, nie odliczył do trzech, ale nim dokuśtykał do skraju wody, znaleźli się przy nim na bosaka. Sophie

i Rohan wzięli Jamesa pod rękę i pomogli mu zejść ze skarpy. Lynsey niosła jego kule. Nawet pod koniec długiego lata spływająca ze wzgórz woda była szokująco zimna, więc pobrnęli na drugi brzeg na wstrzymanym oddechu. Pośrodku nurtu przystanęli. Mieli rozjechać się z parkingu w różne strony, a troje z nich czekała długa droga. Woda opływała ich kostki i zakręcała pod mostem. W ogródku piwnym kos wydziobywał okruchy pod ich stolikiem. Rzeka była zimna i w ciągłym ruchu, a oni stali i patrzyli na wzgórze.

Dni zrobiły się krótsze, światło zamgliło się i zgęstniało. Meble ogrodowe pozabierano pod dach. Osty wzdłuż brzegów rzeki stały wysokie i zbrązowiałe, sztywno drapiąc powietrze. Wieczorami w buczynie widać było ostatnie małe czerwńczyki wiszące głową w dół na trawach przy szlaku. Słońce świeciło ukośnie zza wzgórze, gdy Les Thompson wyprowadził krowę z obory na ogrodzone nocne pastwisko. Zamknął za sobą furtkę i zawrócił do obory, żeby ją umyć. Powietrze metalicznie pachniało nadciągającym deszczem, naelektryzowane i zwarte. Mrowienie poprzedziło pierwsze krople przynoszące ulgę. Susanna Wright zrezygnowała z mieszkania w Close i wprowadziła się do Ruth Fowler nad sklepem w Harefield. Były razem już od miesiący, a tych, co to zauważyli, dziwiło tylko, że czekały z tym tak długo. Nie afiszowały się, ale i nie ukrywały. Dalej obrabiały każda swoją działkę. W dni zmiany gości Irene miała mnóstwo roboty w przerobionych stodołach Hunterów. Najpierw ściągała pościel, pakowała ją w worki i otwierała okna, żeby wywietrzyć materace. Zmywała mopem podłogi, odkurzała pomieszczenia i ścierała kurze, przemieszczając się między trzema lokalami, w miarę jak wysychały w nich podłogi. Śpiewała przy pracy. Zapowiadali deszcz, ale na razie wietrzyk był ciepły i pachniał wrzosem. W mniejszej sypialni ostatniej

stodoły Irene zatrzymała się na modlitwę, jak to robiła od lat. Naszła ją dawna potrzeba sprawdzenia pod łóżkiem. Poukładała czystą pościel na wszystkich łóżkach, umieściła na kuchennych stołach powitalne koszyczki, a w oknach ustawiła świeże kwiaty. To była prosta praca, ale i do niej warto było się przyłożyć. Ludzie wiedzieli, że mogą liczyć na Irene. Schowała klucze do kieszeni i odeszła podjazdem, chrzęszcząc żwirem pod stopami. Miała jeszcze godzinę do przyjazdu swoich gości na bed and breakfast. Zdąży na chwilę przysiąść. Rzadka okazja.

Na działkach pierwsze mrozy ścięły zimowe plony i rozłupały ziemię. Cathy myślała, że Richard skontaktuje się z nią po sprzedaniu domu matki, a może nawet znajdzie pretekst do powrotu na wieś. Ale nie dawał znaku życia, a kiedy zadzwoniła, sygnał był dziwny, co mogło oznaczać, że Richard jest za granicą. Odebrał dopiero za trzecim razem. Pogadali parę minut i wreszcie Cathy powiedziała mu, że za nim tęskni. Uświadomiła sobie, że tęskni. Tak powiedziała. Rzeka wezbrała i zamuliła się od torfu. Pojawiło się w niej sporo lipieni, tylko trzeba było wiedzieć, gdzie szukać. Ian Dowsett czyhał z wędką w kanale między stawami młyńskimi, larwę z ciężarkiem ukrył za kamieniem i czekał na okazję do ataku. Już zaczynał czuć zimno przez wysokie gumowce. Nie potrafił ustać w zimnej wodzie tak długo jak kiedyś. Zbiorniki były pełne i wiatr dmący przez dolinę wychlustywał fale wody przez tamy. U stóp przykościelnego modrzewia mysikróliki zbiły się w gromadkę przed zimnem. Jeszcze nie zapomniano o zaginionej dziewczynce. Nazywała się Rebecca, Becky, Bex. Szukano jej wszędzie. W owczarniach na farmie Jacksona ludzie brnęli przez gęsty smród wystraszonych owiec, wdrapywali się na stryszki, wciskali za spiętrzone bele siana, a potem, już na dworze, chciwie łykali świeże nocne powietrze, idąc przez pola do innych obejść. Szukano jej w jaskiniach

i kamieniołomach, w zbiornikach i na całych wzgórzach. Na próżno. Niektórym jeszcze się śniła. W tych snach łapała autobus na stację i wsiadała w pociąg, który się wykolejał. Biegła szosą i spotykała mężczyznę z samochodem, który ją wiozł na prom. Albo po prostu biegła – do szosy, na dworzec autobusowy, do miasta, gdzie jest pełno kryjówek. Były też sny, w których znajdowano ją na wrzosowisku w noc zaginięcia i odprowadzano do rodziców. Rodzice dziękowali zdawkowo, a znalazca mamrotał, że nie ma za co.

Chmury prześlizgiwały się po tarczy księżyca i srebrne światło prześwitów migotało na polach. Kos buszował pod żywopłotem pana Wilsona, dziobiąc w liściach w poszukiwaniu czegoś do jedzenia. Strażnik rzeczny porozbijał lód na młyńskim stawie, żeby ślizgawka nie kusiła dzieciaków. Wystarczyło kilka uderzeń potężnym drągiem od rusztowań, żeby pokazała się woda. Po czarnej powierzchni pływały szkliste sztaby lodu. Pod okapami kościoła zwisały ciasno zwinięte hibernujące nietoperze otoczone nieruchomą ciszą. Geoff Simmons w swojej pracowni zmywał z rąk cały dzień roboty. Czysta woda lała się równym strumieniem na stwardniałą glinę, spływając mlecznymi strugami w odpływ umywalki, na umieszczone pod nim sito, które odcedzało glinę, tak że z otwartej rury na zewnątrz woda wypływała znów czysta. W kościele odbywało się kolędowanie przy świecach, wśród woni ściętego modrzewia i ostrokrzewu. Molly Jackson odśpiewała solo zwrotkę *Cichej nocy*, choć głos jej trochę drżał, bo z obu stron nawy obserwowali ją rodzice. Kiedy skończyła, wszyscy zajrzeli do śpiewników, szukając słów drugiej zwrotki. Śpiew niósł się przez noc aż do rzeki, do szkoły, na boisko krykietowe. Rzeka płynęła pusta i czysta, zakręcając pod mostem. Niebo było pochmurne, a wieczór ciemny; ludzie przemykali po ulicach z opuszczonymi głowami. Okna

domów świeciły ciepło, a plac rozbrzmiewał gwarem z pubu. Trzasnęły drzwi samochodu, ktoś zawołał „dobranoc” i szosę omiotło światło reflektorów, sunące koło działek, za bukowym lasem i centrum turystycznym, i w dal pomiędzy wzgórzami widoczne jako czarna sylweta. Zbiorniki powlekała płaska, metaliczna szarość. W kamieniołomie nad wodą wisiała sznurowa huśtawka. Jackson słyszał z łóżka kościelne śpiewanie. „Cicha noc, święta noc”.

# Dziękuję

Bamford Quaker Community, Barbarze Crossley, Benjaminowi Johncockowi, Chrisowi Powerowi, Davidowi Jonesowi, Edwardowi Hoganowi, Éireann Lorsung, Fairholmes Visitor Centre, Gill O'Neill, Gillian Roberts, Helen Garnons-Williams, Jane Chapman, Jin Auh, Julianowi Humphriesowi, Katrin Moye, Katy Wakelin, Kim Day, Markowi Dayowi, Melissie Harrison, Nicky'emu Wilkinsonowi, Nicoli Dick, Nigelowi Redmanowi, Peak District National Park Media Center, Richardowi Birkinowi, *Rosie Garton*, Sarah-Jane Forder, superintendentowi Jonathanowi Morganowi, Tracy Bohan.

# Przypisy

1. Bal wiosenny (ang. Spring Dance, Morris Dance) – tańce organizowane na powitanie wiosny, często z elementami teatralnymi (przyp. tłum.). [↵](#)
2. Psotna noc (ang. Mischief Night) – tradycyjna noc psikusów w wigilię Halloween (przyp. tłum.). [↵](#)
3. Noc ognisk (ang. Bonfire Night) – święto upamiętniające wydarzenia z 4 i 5 listopada 1605 r., kiedy to wykryto spisek mający na celu wysadzenie w powietrze parlamentu angielskiego wraz z królem Jakubem I. Zamachowcem miał być Guy Fawkes, stąd też inna nazwa tego święta: dzień Guya Fawkesa (przyp. red.). [↵](#)
4. Universities and Colleges Admissions Service – organizacja powstała w 1992 r., z siedzibą w Wielkiej Brytanii, zajmująca się głównie procedurą składania podań kandydatów na uczelnie brytyjskie (przyp. tłum.). [↵](#)
5. Łk 2, 43–49; Biblia, Brytyjskie i Zagraniczne Towarzystwo Biblijne, Warszawa 1975 (przyp. tłum.). [↵](#)
6. Office for Standards in Education – Biuro Standardów Edukacji (przyp. red.). [↵](#)

TYTUŁ ORYGINAŁU: *Reservoir 13*

Copyright © 2017, Jon McGregor  
All rights reserved

PROJEKT GRAFICZNY OKŁADKI: Mariusz Banachowicz

ZDJĘCIE NA OKŁADCE: © Jana Land/Shutterstock

REDAKCJA: Anna Suligowska-Pawełek

Wydanie I elektroniczne

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie Zecer

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark). Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela jest zabronione.

**Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”**

ul. Wiejska 12a, 00-490 Warszawa

[www.czytelnik.pl](http://www.czytelnik.pl)

© Copyright for the Polish translation by Jolanta Kozak, 2018

© Copyright for the Polish edition by Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, Warszawa 2018

ISBN 978-83-07-03432-4